HOLISTIC .NEWS

Nr 1/2020
Cena 12 zł, w tym 8% VAT

BILET NA KSIĘŻYC
USTROJOWE MENU
MURAMI PODZIELENI
GRANICE POPRAWNOŚCI
OSTATNI ŻOŁNIERZ WYKLĘTY
WIDMO OPOWIEŚCI PODRĘCZNEJ
ROSYJSKI NIEDŹWIEDŹ W AFRYCE

9 772544 607007 03 >
ISSN 2544-607X INDEKS: 427713

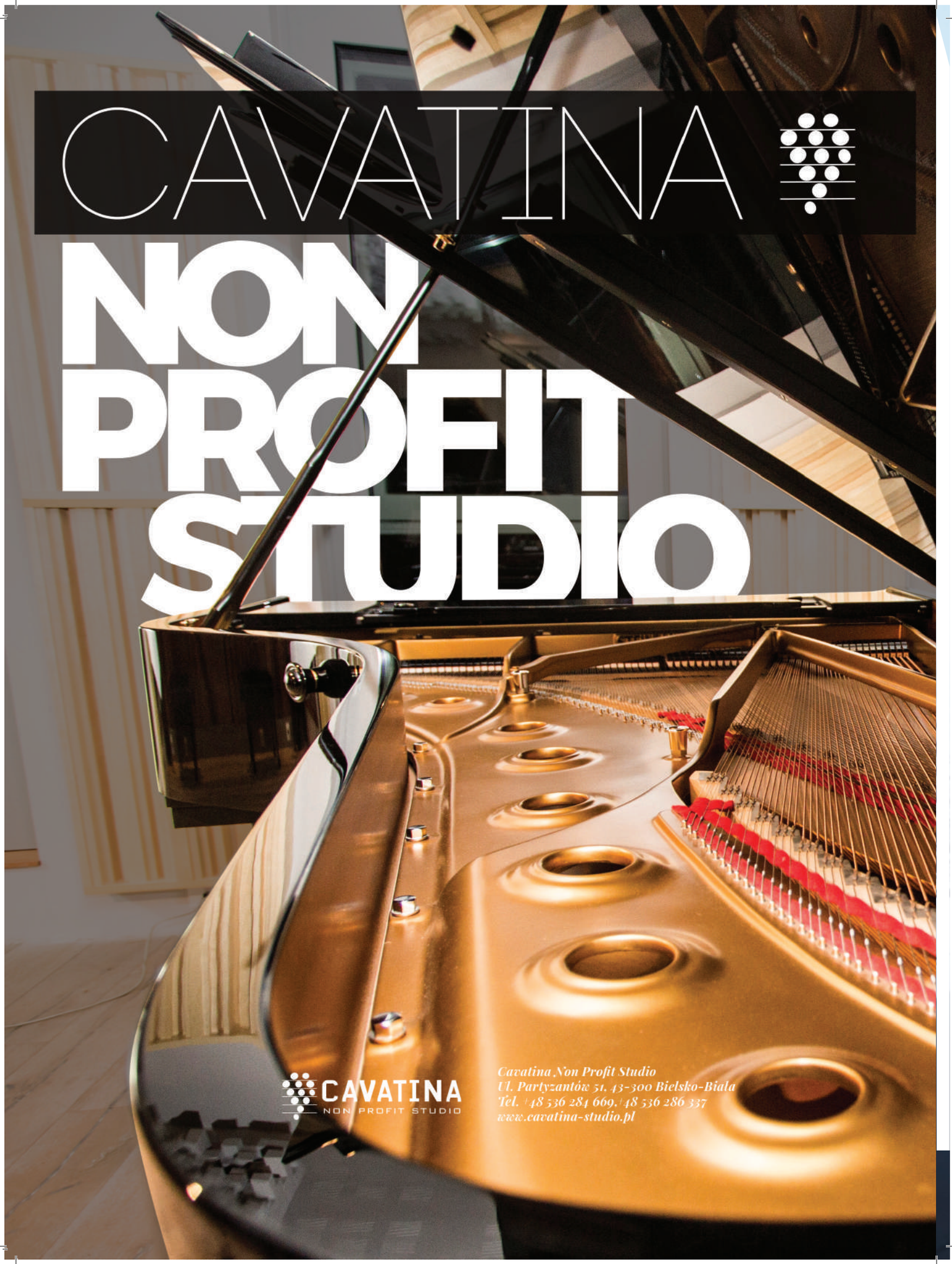
CAVATINA
NON
PROFIT
STUDIO
CAVATINA
NON PROFIT STUDIO
Cavatina Non Profit Studio
Ul. Partyzantów 51, 43-300 Bielsko-Biała
Tel. +48 536 284 669, +48 536 286 337
www.cavatina-studio.pl

MURAPOL
NAJLEPSZE MIEJSCA NA ŚWIECIE
Andrzej Bargiel
pierwszy narciarz,
który zjechał z K2
murapol.pl
Nowe mieszkania z pakietem
antysmogowym i systemem SMART HOME

MATERIAŁ SPONSOROWANY

Ładniejsza strona budownictwa

Rozmowa z Marcinem Trzcińskim z firmy Dohal

Rozmach i śmiałe wizje architektoniczne projektantów są możliwe do osiągnięcia dzięki rozwojowi nowoczesnych materiałów budowlanych. Futurystyczne fasady oraz przeszklenia stanowią wyzwanie dla wykonawców pod względem konstrukcyjnym i logistycznym. Często właśnie od nich w dużym stopniu zależy uzyskanie efektu przewidzianego w projekcie.

Jakie technologie najchętniej wybierają inwestorzy?

Aluminiowo-szklane zabudowy, są doskonałym rozwiązaniem nie tylko na elewacje, ale także do wewnątrz dużych obiektów handlowych czy biurowców. Do ślusarki aluminiowej coraz częściej przekonują się też klienci indywidualni, którym zależy na dużych ciepłych przeszkleniach, czy funkcjonalnych elementach przesuwnych. Osiągnięcie zamierzonych efektów wymaga oczywiście zastosowania odpowiednich materiałów. Niemały wpływ na ostateczny efekt ma dobór systemu profili aluminiowych oraz szkła.

Co decyduje o tym, że budynek wygląda jak na wizualizacji?

Pamiętajmy, że projekt architektoniczny i budowlany są dopiero początkiem całego procesu. Na ich podstawie inżynierowie z firmy realizującej fasadę lub wnętrze przygotowują projekt wykonawczy i warsztatowy. W oparciu o ten dokument, następuje obróbka materiałów coraz częściej w technologii CNC. Wymaga to zarówno odpowiedniego parku maszynowego, ale i również, a może i przede wszystkim doświadczonego personelu. O końcowym efekcie decyduje także spójność jakości wykonania – w przypadku biurowca dotyczy to zarówno wspomnianej fasady, przez wewnętrzne przeszklenia boksów biurowych, dedykowane rozwiązania sufitowe, a na detalu i małej architekturze kończąc.

Jakie realizacje można uznać za szczególnie spektakularne?

Spektakularne projekty powstają zwykle w wymagających warunkach. Osobiście stosuję zasadę, że tam gdzie jedni widzą problem, my dostrzegamy kolejne wyzwanie. Można wskazać wiele takich realizacji, ale z najświeższych przykładów warto wymienić krakowski Equal Business Park, wrocławski Diamentum Office, czy obecnie na ukończeniu, chyba jeden z najładniejszych obiektów, które dotychczas realizowaliśmy – wrocławski Carbon Tower.

www.dohal.pl

tel. : +48 12 654 80 18
email: info@dohal.pl
ul. Czeczeńska 3
31-998 Kraków

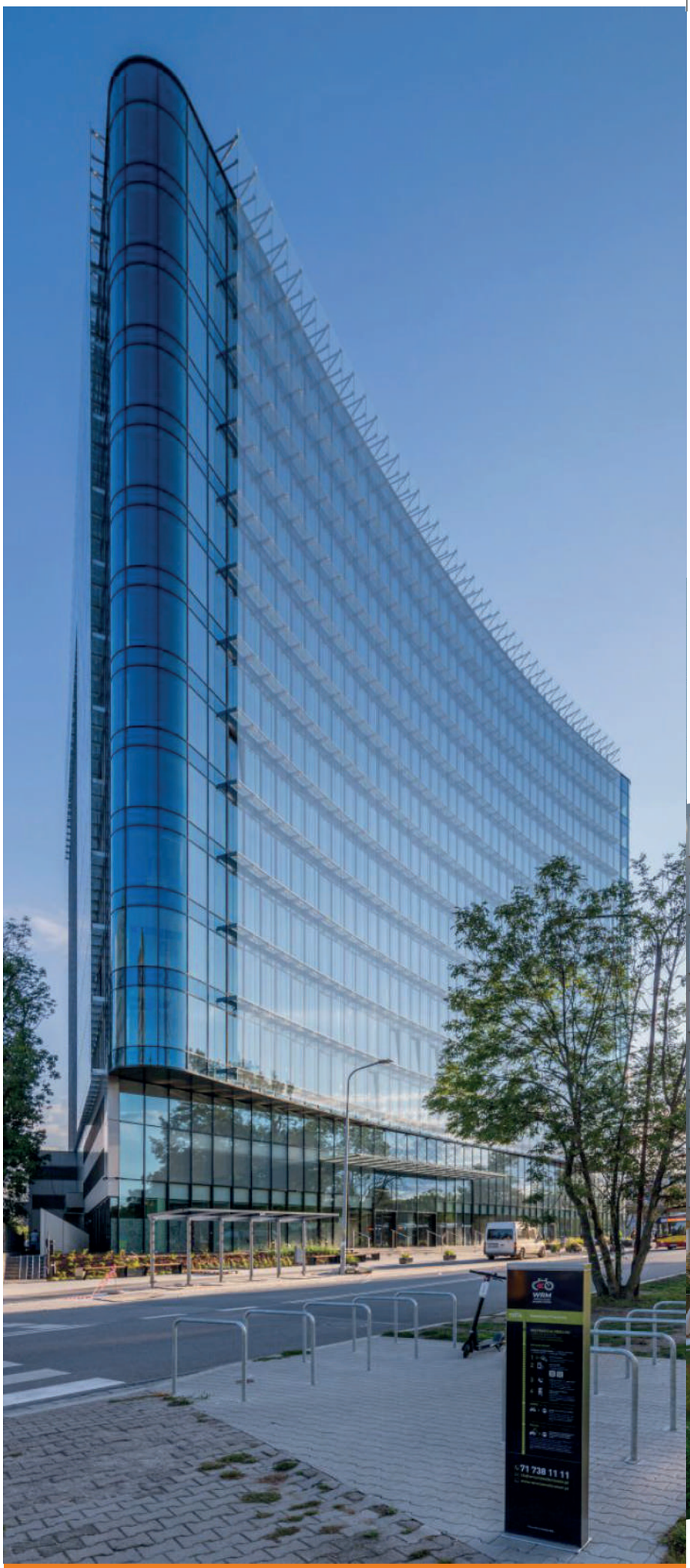

*Na zdjęciu CARBON TOWER we Wrocławiu

MURAPOL

WYBIERZ NOWE MIESZKANIE

I DOŁĄCZ DO 40 TYS. LOKATORÓW

NASZYCH OSIEDLI W CAŁEJ POLSCE

pakiet **antysmogowy**

szeroki wybór układów i metraży

blisko parków i miejsc rekreacji

opcja **smart home**

przestronne balkony lub tarasy

Warszawa | Kraków | Łódź | Poznań | Wrocław
Katowice | Toruń | Gdańsk | Gdynia | Gliwice
Tychy | Mikołów | Wieliczka | Siewierz

murapol.pl

HOLISTIC

SPIS

xDEMOKRACJA

12 **Ustrojowe menu** – Jarosław Kuisz
Alternatywy dla demokracji liberalnej

16 **Widmo *Opowieści podręcznej***
– Z Davidem Wallace'em-Wellsem rozmawia Paweł Pieniążek
Czy na Zachodzie pojawią się ekodyktatury?

22 **Zbudujmy ateńską demokrację** – Jakub Janiszewski
Belgijski eksperyment z lottokracją

26 ***Allahu akbar* w prefekturze policji** – Ludwika Włodek
Demokratyczne państwo nie może chronić obywateli przed terrorystami

32 **Zaadoptuj sobie trolla**
– z Mateuszem Bajkiem rozmawia Zbigniew Rokita
Komu w Polsce na rękę są rosyjskie trolle?

36 **Niepewna władza w czasach zmian** – Agnieszka Lichnerowicz
Żyjemy w czasach przejściowych, nowe porządki dopiero się rodzą

40 **Kapitalizm, który nadzoruje** – Paweł Pieniążek
Czy można uciec przed obserwacją?

ŚWIAT

44 **Ulica murem podzielona** – Agnieszka Pikulicka-Wilczewska
Stawianie murów zawsze zwiastowało upadek imperiów

50 **Posprzątać Amerykę** – Jakub Janiszewski
Pamiętnik z czasów marnych, czyli życie za grosze

54 **Wszyscy święci od przekraczania granicy** – Ola Synowiec
Gwałciciel, przemytnik, diler – do nich modlą się nielegalni migranci z Meksyku

62 **Bilet na Księżyc** – Anna Maślanka
Blisko 100 tys. osób zarezerwowało loty na Srebrny Glob

66 **Ludobójcza noblistka?** – Michał Lubina
Była sumieniem świata, teraz sama ma wiele na sumieniu

72 **Rohingya** – Kevin Freier, Magdalena Chodownik
Fotoreportaż o birmańskich muzułmanach, którzy uciekają ze swojego kraju

82 **Rosyjski niedźwiedź w Afryce** – Agata Kasprolewicz
Moskwa w wyścigu po bogactwa

88 **Cyfrowo podzieleni** – Ewa Dziardziel
Bez internetu człowiek wypada z gry o przyszłość

TREŚCI

CZAS

92 **Może coś zostaje** – Dorota Brauntsch
A Chierowski stał w deszczu i moknął

94 **Z dziejów czasu** – Michał Milczarek
Nieprawda, że czas wszędzie płynie tak samo

DEBATA

98 **Dzień, w którym Ana odeszła** – Stasia Budzisz
Historia kobiety, która po latach ucieka od przemocy

104 **Integracja to my sami** – Małgorzata Nocuń
Wszystkie dzieci trzeba traktować tak samo

106 **Janusz Waluś, czyli w niewoli jednej decyzji**
– z Cezarym Łazarewiczem rozmawia Martyna Słowik
Łagodny, oczytany, z poczuciem humoru – poznajcie zabójcę

110 **Wariactwo poprawności** – Ziemowit Szczerek
Gdy lewicowy aktywista i radykalny mułła mówią jednym głosem

114 **Czarny, ale nasz** – Kaja Puto
To nie tolerancja. To robienie dobrze swojej polskości

EDUKACJA

118 **Daleko od szosy, daleko od szansy** – Remigiusz Okraska
Przepaść między miastem i wsią będzie się pogłębiała

124 **Jak uratowałam przemysł farmaceutyczny** – Magdalena Chodownik
O peregrynacji uniwersyteckiej przez tysiące kilometrów

128 **Uwierzyć w szczepionki**
– z Sethem Mnookinem rozmawia Jakub Janiszewski
Jak szczepionki padły ofiarą własnego sukcesu

RYTMIKA

134 **Czy najntisowy rock znowu zbuntuje świat** – Jacek Świąder
Wraca Rage Against The Machine

Żyjemy w nowej epoce, antropocenie. To czas, który stawia przed nami pytanie: Czy idea ludzkiego postępu musi nieść ze sobą widmo katastrofy? W pierwszym odcinku podcastu „Radio Antropocenu" odpowiedzi na nie poszukują australijski filozof Clive Hamilton oraz profesor Jan Zalasiewicz kierujący pracami brytyjskiej Grupy Roboczej do spraw Antropocenu

Zapraszamy do słuchania podcastów Agaty Kasprolewicz w HOLISTIC.news

Listen On SOUNDCLOUD | Listen on Spotify | Słuchaj w Google Podcasts | Listen On DEEZER | Listen on Apple Podcasts

International Building Projects Team Poland
AGC Glass Poland Sp. z o.o. - ul. M. Jachimowicza 11 - 58-306 Wałbrzych, Polska, Biuro: ul. Małowiejska 30, 04-962 Warszawa
Phone : +48 22 872 02 23 - Mobile : +48 606 380 606 - dariusz.podobas@eu.agc.com - www.agc-glass.eu - www.agc-yourglass.com

Your Dreams, Our Challenge

Magazyn Holistic, ISSN 2544-607X
INDEKS: 427713
Wydanie: marzec 01/2020 (4)

Redaktor naczelny: Jarosław Kociszewski

Redaktor: Przemysław Henzel

Wydawca: Deweloper Media Sp. z o.o.
Adres redakcji: ul. Wielicka 28B, 30-552 Kraków
tel.: 33 333 91 13, e-mail: redakcja@holistic.news

Projekt graficzny i skład: Arkadiusz Kantor, Karol Bronowski

Fotoedycja: Katarzyna Bieniaszewska, Arkadiusz Kantor

Okładka: Paweł Kuczyński
Ilustracje: Jakub Ferenc, Arkadiusz Kantor, Paweł Kuczyński, Maciej Łazowski, Maria Regucka, Agnieszka Sozańska, Michalina Tańska, Martyna Wilner

Współpracownicy:
Magdalena Chodownik, Jan Hartman,
Jakub Janiszewski, Agata Kasprolewicz, Paweł Konar,
Agnieszka Lichnerowicz, Agnieszka Pikulicka-Wilczewska, Ola Synowiec

Biuro marketingu i reklamy:
Aleksandra Trela, aleksandra.trela@holistic.news, tel.: +48 537 169 511
Agnieszka Obstarczyk, agnieszka.obstarczyk@holistic.news, tel.: +48 795 478 075
http://adholistic.news

Korekta: Firma Korektorska UKKLW

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

Dystrybucja: Polperfect Sp. z o.o. – EMPIK, RUCH, INMEDIO, RELAY
Dystrybucja promocyjna: LCD Media Sp. z o.o., Distribution Point Group Sp. z o.o.

Szukaj nas na:
www.holistic.news

@holisticnews

https://facebook.com/portalHolisticNews/

https://soundcloud.com/holisticnews

https://twitter.com/news_holistic

https://www.youtube.com/c/HOLISTICNEWS

Czy jesteśmy zadowoleni ze świata, w którym żyjemy? Odpowiedź nie będzie prosta i po każdym „tak” lub „nie” padnie „ale...”. To daje pole do dyskusji i poszukiwania nie tylko odpowiedzi, lecz także – a może przede wszystkim – rozwiązań. To zadanie *HOLISTIC.news.*

Naszą ambicją jest, aby magazyn i portal nie tylko skłaniały do refleksji czy dostarczały informacji, ale również inicjowały debaty na temat miejsca polityki w życiu i sposobów jej uprawiania, środowiska, w którym żyjemy i które zostawimy po sobie, czy edukacji kształtującej naszych następców. Stąd przeplatająca się i w dużej mierze uzupełniająca tematyka magazynu, który przekazujemy w Wasze ręce, dostępnego na co dzień w portalu

Chcielibyśmy nie ograniczać się do słów i obrazów. Stąd w numerze informacje i apele organizacji realnie pomagających potrzebującym w Syrii i nie tylko czy poruszający fotoreportaż o losie Rohingya, uważanych obecnie za najbardziej prześladowaną grupę etniczną na świecie.

Niekiedy rozwiązania, albo przynajmniej pomysły, są na wyciągnięcie ręki. Wystarczy o nich pomyśleć, wskazać je i nie pozostawać biernym. Na przykład, skoro mówimy o kryzysie demokracji liberalnej, zastanówmy się, jak ona wygląda i jakie mamy możliwości działania. Poświęcony temu dział xDemokracja zaczyna się już na następnej stronie.

Jarosław Kociszewski
redaktor naczelny

Ustrojowe menu

Coraz więcej osób zadaje sobie po cichu pytanie, czy istnieje alternatywa dla liberalnej demokracji. Odpowiedź brzmi: tak, istnieje

TEKST: JAROSŁAW KUISZ

Na liberalizmie powieszono wszystkie możliwe psy. Nie będzie przesadą powiedzieć, że w ostatnich latach – w opinii wielu – stał się on odpowiedzialny niemal za całe zło współczesnego świata. Liberałom przypisuje się winy hojnie: za niedostatki globalizacji i europeizacji czy hiperegoizm i zwykłą chciwość współczesnego człowieka. Opublikowana została nawet *Czarna księga liberalizmu* (z przedmową byłego premiera Francji Michela Rocarda) wzorowana na *Czarnej księdze komunizmu*. Ba, niektórzy wczorajsi zwolennicy ideologii, według której wolność jednostki jest nadrzędną wartością, publicznie składali samokrytykę – niczym ich XX-wieczni ideologiczni wrogowie, komuniści.

Co Heraklit mówi o Hitlerze

To mogłyby być tylko didaskalia wielkich sporów światopoglądowych, ale nimi nie są. Na początku XXI w. jedną z nieoczekiwanych konsekwencji ostrej fali krytyki liberalizmu okazało się bowiem stawianie jak najbardziej poważnych pytań o kryzys „liberalnej demokracji". Za pytaniem stała wątpliwość: czy mamy ją czym zastąpić?

To drażliwa kwestia. Wiadomo, że niektórzy z obrońców demokracji liberalnej odpowiedzą: „Tak, mamy do wyboru jeszcze faszyzm! Albo komunizm!". Wyrażają tym samym przekonanie, że jakakolwiek modyfikacja ustroju obecnie dominującego na Zachodzie zafunduje nam powtórkę najgorszych doświadczeń ubiegłego stulecia.

Być może. W końcu taki sceptycyzm znajduje uzasadnienie historyczne. Niemniej od Heraklita z Efezu wiemy, że niepodobna wejść dwa razy do tej samej rzeki. Jeśli czekają nas ustrojowe turbulencje czy wręcz kataklizmy, to nowe despotyzmy na pewno nie będą wyglądały w 100 proc. tak samo jak III Rzesza czy Związek Radziecki.

Z marszu można wskazać na zasadnicze różnice. Na przykład: obecnie w wielu krajach – w tym w Polsce! – problemem nie jest eksplozja demograficzna i konieczność jakiejkolwiek ekspansji na nowe terytoria, ale, przeciwnie, dramatyczny niż demograficzny. Nie bez powodu w krajach tak różnych jak Stany Zjednoczone i Dania karierę robią populistyczni politycy, którzy na granicach wolą stawiać wyższe lub niższe mury. Obiecują chronić własne państwa, a nie podbijać terytorium sąsiednich krajów i narażać komfort życia starzejących się społeczeństw.

Skoro więc nic dwa razy się nie zdarza, nie możemy zignorować pytań o to, czy istnieją alternatywne wobec demokracji liberalnej rozwiązania ustrojowe. Szczególnie że – uwaga – odpowiedź brzmi: tak, takie rozwiązania istnieją.

Granice demokracji

W 1997 r. w obiegu pojawił się nowy termin: „nieliberalna demokracja". Jako pierwszy posłużył się nim Fareed Zakaria, intelektualista i dziennikarz, obecnie wielka gwiazda CNN. W bestsellerowej książce *Przyszłość wolności* z 2003 r. Zakaria analizował szerzej proces, który już od kilku lat toczył się w różnych częściach globu. W krajach takich jak Rosja pod rządami Władimira Putina demokratyczne procedury teoretycznie mogą funkcjonować, za burtą lądują jednak wartości liberalizmu. Wybory odbywają się (i nawet nie muszą być fałszowane), ale

Jayesh/Getty Images

Termin „nieliberalna demokracja" wywołał burzliwą dyskusję. **Krytycy dowodzili, że „demokracja" bez „liberalizmu" nie jest już demokracją**

wolność jednostki nie jest respektowana. W nieliberalnej demokracji przeciętni obywatele nie mogą być współgospodarzami kraju. Mają nie wtrącać się do sprawowania władzy, a jedynie co kilka lat przyklepywać przy urnach mandat rządzących. Mniejszości powinny zaś siedzieć cicho.

Termin „nieliberalna demokracja" wywołał burzliwą dyskusję. Krytycy przede wszystkim dowodzili, że „demokracja" bez „liberalizmu" oraz kanonu jego wartości (jak choćby wolność słowa) nie jest już demokracją. Spór trwa do dzisiaj. Trudno jednak z pozycji historyka państwa i prawa powstrzymać się od komentarza, że w dużej mierze spór ów polega na różnym rozumieniu słowa „demokracja".

Jedni posługują się nim w klasycznym pojmowaniu demokracji, w sumie ograniczonym do odbywającego się co kilka lat procesu wyborczego. Inni zaś mają na myśli demokrację w jej dojrzałej postaci, ustrój w dużej mierze ukształtowany w kontrze do totalitaryzmów. W takim rozumieniu demokracja to nie tylko wybory, lecz także skrupulatnie pilnowany trójpodział władzy wraz z całym zestawem instytucji gwarantujących przestrzeganie praw jednostki (tzw. bezpieczników ustrojowych), jakimi powinny być trybunały konstytucyjne, rzecznicy praw obywatelskich czy organizacje trzeciego sektora.

Choć jedni i drudzy uczestnicy sporu posługują się więc słowem „demokracja", wypełniają je odmienną treścią.

Spécialité de la maison

Od czasu publikacji pracy Zakarii w Wiśle i innych rzekach upłynęło wiele wody, a w obiegu pojawiło się mnóstwo nowych koncepcji, innych niż liberalna demokracja. Niedawno politolog z Uniwersytetu Cambridge David Runciman postanowił w bardziej systematyczny sposób przeanalizować to nowe „menu". W książce *Jak kończy się demokracja* przypatrzył się kilku propozycjom, w szczególności: pragmatycznemu autorytaryzmowi, „rządom wiedzących" (epistokracja) oraz uwolnionej technologii. Co zawiera owa karta dań ustrojowych?

Pierwsza z potraw – pragmatyczny autorytaryzm – stała się modna, gdyż obiecuje połączenie skuteczności politycznej z gwarancją zbiorowej godności. Zamiast rozmemłanej demokracji z wiecznie spierającymi się jednostkami zapowiada porządek i sprawczość polityczną. Odpowiada tym samym na wyzwania wynikające z tempa współczesnego życia w globalnym świecie, kusi szybkimi sukcesami.

Obietnice sukcesów mogą dotyczyć też takich kwestii jak ekologia. Silna władza jest w stanie bowiem spróbować bez żadnych deliberacji raz-dwa rozwiązać problemy zanieczyszczenia powietrza w wielkich miastach. W ten sposób, jak przypomina Runciman, bez trudu państwo chińskie zaprezentowało się jako zaangażowane w walkę ze zmianami klimatycznymi.

Dyplomowani wyborcy

Innym konkurentem dla liberalnej demokracji może być epistokracja. Jej zwolennicy podnoszą, że zamiast dopuszczać do władzy wszystkich obywateli, lepiej postawić tylko na tych, którzy są mędrcami i wiedzą, co z władzą zrobić (na przykład na intelektualistów). Zwykły Kowalski – w owym ujęciu – nie ma w tych niepewnych czasach kompetencji, by zajmować się czymś tak poważnym jak polityka.

Brzmi jak przypisy do Platona? Ależ tego typu głosy pojawiły się po falach rozczarowania decyzjami obywateli, choćby wyborem Donalda Trumpa na prezydenta Stanów Zjednoczonych czy głosowaniem w sprawie brexitu. W Polsce po 2015 r. też można bez trudu znaleźć takie wypowiedzi (w szczególności mało wytworne passusy o „ciemnym ludzie"). Ów kierunek myślenia także podminowuje liberalną demokrację, skoro sprowadza się do stwierdzenia, że rządzić

Można wyobrazić sobie, że obywatele bez przywództwa, instytucji i pośredników sami będą o sobie decydować. **Partie polityczne nie będą już potrzebne**

powinni ludzie mądrzy i poważni (nieliczni), a nie – excusez les mots – głupi i niepoważni (przytłaczająca większość).

Wreszcie w karcie dań znajdujemy „uwolnioną technologię". Technologie cyfrowe sprawiły, że istnieją warunki do eksperymentów ustrojowych i pokusy ich przeprowadzenia słychać na obu biegunach politycznego spektrum. Można bowiem wyobrazić sobie, że obywatele bez przywództwa, instytucji i pośredników wreszcie sami będą o sobie decydować. Rola państwa zostanie zredukowana do minimum, partie polityczne i związki zawodowe nie będą zaś potrzebne. W wersji lewicowej wolność w sieci służyć miałaby zwalczaniu nie tyle państwa, ile globalnego kapitalizmu. Pozostaje uruchomienie wyobraźni, by zbudować ustrój lepszy niż liberalna demokracja.

Kłopoty z ekologami

Czy któraś z tych propozycji „zachwyci" konsumentów? W tej chwili nie znamy odpowiedzi na to pytanie. Nawet mieszkańcy starych demokracji sami mają wyraźnie zamęt w głowach, czego najlepszym przykładem są wspomniane gorące debaty związane z Trumpem i brexitem.

We Francji także właśnie upłynął rok od rozpoczęcia na rondach ruchu „żółtych kamizelek", które dla podratowania demokracji francuskiej wskazywały, że należy niezwłocznie wprowadzić rozwiązania demokracji bezpośredniej na kształt szwajcarskich.

W teorii brzmi to sensownie. Trudno się oprzeć jednak wrażeniu, że wszędzie dobrze gdzie nas nie ma. W samej Szwajcarii, co znamienne, ledwie skończyły się niedawne wybory, a już w publicznym radiu SRF zadawano pytania o... kryzys współczesnej demokracji, który miałby dosięgnąć także Szwajcarię!

A w czym nadzieję na regenerację demokracji upatruje część Helwetów? W „zielonej fali". Ekolodzy odnieśli znaczące sukcesy wyborcze nie tylko w Konfederacji Szwajcarskiej, lecz także między innymi we Francji i Niemczech. Tyle tylko, że polityka ekologiczna może, ale wcale nie musi służyć wzmocnieniu demokracji liberalnej. Zwrócił na to uwagę ostatnio w głośnym wywiadzie dla „Tageszeitung" Frank-Walter Steinmeier. Ostrzegł, że szlachetne pobudki aktywistów z „Fridays for Future" nie mogą usprawiedliwiać oczerniania przez nich liberalnej demokracji. Cotygodniowe snucie apokaliptycznych wizji raczej paraliżuje obywateli i zniechęca do ustroju, w którym żyją. A tymczasem to właśnie współczesna demokracja, jak podkreśla prezydent Niemiec, ma szansę na skuteczne, ewolucyjne poprawianie błędów przeszłości.

Chińskie memento

Cóż, najlepszą puentą do rozważań o rozwiązaniach lepszych niż liberalna demokracja są dramatyczne sceny z Hongkongu. Służby mundurowe w imieniu władz chińskich (pekiński ustrój najbliższy jest pragmatycznemu autorytaryzmowi) zdobywają kolejne przyczółki uczelni, zatrzymują protestujących studentów. A zamaskowana młoda dziewczyna do kamery telewizyjnej i smartfonów tłumaczy łamiącym się głosem, ze łzami w oczach, że „chce tylko żyć normalnie". Oczywiście mając na myśli zestaw praw i wolności liberalnej demokracji, wedle znanego w Hongkongu wzoru brytyjskiego.

Studentka prawdopodobnie skończy w więzieniu. Gdy porównam jej apel z wątpliwościami tych, którzy w liberalnych demokracjach żyją na co dzień, gorzkie myśli cisną się do głowy.

Jarosław Kuisz
jest redaktorem naczelnym „Kultury Liberalnej" i starszym wykładowcą na WPiA UW. Autor książki *Koniec pokoleń podległości* (Fundacja Kultura Liberalna 2018). W roku akademickim 2019/2020 fellow w Wissenschaftskolleg zu Berlin.

Jayesh/Getty Images

Widmo opowieści podręcznej

Wśród części zachodnich społeczeństw widać sympatie dla klimatycznego przywództwa Xi Jinpinga w Chinach. Czy na świecie pojawią się ekodyktatury? Bez wątpienia. Być może też na Zachodzie

Z DAVIDEM WALLACE'EM-WELLSEM ROZMAWIA PAWEŁ PIENIĄŻEK

ILUSTRACJE: PAWEŁ KUCZYŃSKI

„Jest znacznie gorzej, niż myślisz" – brzmi pierwsze zdanie książki *Ziemia nie do życia. Nasza planeta po globalnym ociepleniu* Davida Wallace'a-Wellsa. Wydany w 2019 r. esej szybko stał się bestsellerem. Wallace-Wells podkreśla, że nigdy nie był ekologiem i dalej się za niego nie uważa. Całe życie mieszkał w Nowym Jorku i nie czuł bliskości z przyrodą. Interesowała go jednak bliska przyszłość. Okazało się, że jest ona nierozerwalnie połączona ze zmianami klimatu.

Wallace-Wells, opierając się na licznych prognozach i badaniach, opisuje naszą nadchodzącą ponurą przyszłość w świecie stojącym u progu katastrofy klimatycznej.

PAWEŁ PIENIĄŻEK: Pisał pan, że w ciągu 30 lat doprowadziliśmy planetę na skraj katastrofy klimatycznej, a teraz mamy kolejne 30 lat, by jej uniknąć. Co, jeśli nie podejmiemy tych wysiłków?

DAVID WALLACE-WELLS: Najprostsza odpowiedź brzmi: temperatura będzie dalej się zwiększać. Jej wzrost może nawet przyspieszyć. Już teraz żyjemy w świecie cieplejszym o 1,1 stopnia Celsjusza niż na początku rewolucji przemysłowej. Średnia temperatura na planecie jest najwyższa, odkąd pojawili się na niej ludzie. Żyjemy w sytuacji klimatycznej zupełnie bez precedensu.

Jeśli nie zmienimy naszego kursu, do 2040–2050 r. temperatura może wzrosnąć do 2 stopni Celsjusza. Wówczas wiele dużych miast we wschodniej Azji i na Bliskim Wschodzie stanie się w trakcie lata tak gorących, że wyjście na ulice będzie się wiązało z ryzykiem szoku termicznego lub śmierci.

Jeśli wzrost osiągnie 2,1 stopnia Celsjusza, prawdopodobnie nieodwracalnie znikną pokrywy lodowe. Trudno byłoby je odzyskać, powstają przez setki lat. Z czasem doprowadzi to do wzrostu poziomu mórz o przynajmniej 80–85 m. To wystarczy, by zatopić dwie trzecie kluczowych miast na świecie.

ONZ spodziewa się przynajmniej 200 mln uchodźców klimatycznych, ale może być ich nawet miliard, czyli tyle, ile ludzi dzisiaj mieszka łącznie w Ameryce Północnej i Południowej.

Rozumiem, że to nie jest najgorszy scenariusz.

Obecnie zmierzamy do wzrostu temperatury pod koniec stulecia przynajmniej o 3, ale prawdopodobnie o 4 czy 5 stopni Celsjusza. Według niektórych ekonomistów ocieplenie na poziomie 4 stopni spowodowuje, że globalny PKB może być niższy o 30 proc. To dwa razy więcej niż spowodował Wielki Kryzys.

A do tego efekt będzie stały.

Otóż to. W niektóre miejsca na Ziemi będzie uderzało jednocześnie sześć katastrof naturalnych. Będzie przynajmniej dwa razy więcej wojen. I tak dalej.

Niemal każdy aspekt naszego obecnego życia zostanie w pewnym stopniu dotknięty przez wzrost temperatury i niemal w każdym przypadku będą to bardzo negatywne skutki. Już niebawem możemy się obudzić w świecie, który będzie dla nas nie tylko zupełnie nie do poznania, lecz także nie do przyjęcia – będzie w nim więcej nieszczęść i cierpienia, niż ludzkość kiedykolwiek doświadczyła w swojej historii.

Jest jakaś czerwona linia, której nie możemy przekroczyć?

Prawdziwe czerwone linie są na tyle daleko, że na razie nie ma sensu o nich myśleć. Jedynie utrata pokryw lodowych może stać się realnym zagrożeniem – w ciągu 20, 30 lat.

Są inne dramatyczne procesy, które możemy rozpocząć, radykalnie przyspieszając w ten sposób ocieplenie. Według szacunków, jeśli koncentracja dwutlenku węgla w atmosferze będzie dwa razy wyższa niż dzisiaj, planeta może stracić możliwość formowania chmur. To z kolei mogłoby sprawić, że temperatura klimatu ocieplonego już o 5 stopni wzrosłaby o kolejne 8.

Jest wiele prawdopodobnych scenariuszy, ale niemal wszystkie mogą się ziścić nie wcześniej niż w drugiej połowie stulecia. Wciąż mamy wiele czasu, by zacząć działać i ich uniknąć.

Średnia temperatura na Ziemi jest najwyższa, odkąd pojawili się na niej ludzie. **Żyjemy w sytuacji klimatycznej zupełnie bez precedensu**

Czy da się przystosować do życia w takich warunkach?

Zależy, co przez to rozumiemy. Wątpię, by w tym nowym świecie dało się żyć tak jak dzisiaj. Możemy podjąć kroki, które uczynią świat ukształtowany przez straszne zmiany klimatyczne stosunkowo przyjaznym. Ale możemy podjąć też takie, które uczynią go dość ponurym. Co zrobimy? To pozostaje otwartym pytaniem, na które odpowiedzi udzieli człowiek.

Jakie działania adaptacyjne może podjąć ludzkość?

Wielkość plonów spada równomiernie do wzrostu temperatury. Jeśli do końca stulecia temperatura wzrośnie o 4 stopnie, zachowamy połowę obecnych plonów. W teorii więc możemy stworzyć uprawy odporne na upały i radzące sobie w takich warunkach. Do dzisiaj się to nie udało, mimo że poświęcono tej kwestii wiele uwagi. Ale nie można wykluczyć, że w końcu się uda.

Możemy zbudować wielkie betonowe zapory w miejscach, o których wiemy, że będą zalewane wodą. Z powodu wysokiej ceny tego przedsięwzięcia może być tak, że niektóre części świata zostaną uznane za warte zachowania, a inne nie.

To znaczy, że jesteśmy w stanie się uchronić.

Jeśli masz do czynienia z czymś takim jak pożary w Kalifornii, susze i klęski głodowe, to ludzie nie mają wielu środków zapobiegawczych. Możemy się przenieść w miejsce, które nie jest w zasięgu pożaru, a uprawy przenieść tam, gdzie susze zdarzają się rzadziej. Trudno jednak dokonać tak olbrzymiej relokacji. Prawdopodobnie zachowają się też miejsca, w których pewne formy przystosowania będą możliwe, choć – powtórzę – będzie wiązało się to z większym cierpieniem niż to, które Zachód zna dziś.

Czyli nie możemy czekać biernie, aż nowe nauka i technologie rozwiążą za nas problem?

Nauka jest w tej walce bardzo ważna. Pewnie pojawią się wynalazki, które z dzisiejszego punktu widzenia wydają się magiczne. Problemem jest to, że już mamy magiczne technologie. Czymś takim jest energia odnawialna. W zasadzie tworzymy energię z niczego, a do tego stało się to tanie i skuteczne. Posiadamy maszyny, które są w stanie na dużą skalę pobierać dwutlenek węgla z atmosfery. To wciąż dosyć droga technologia, więc jest używana na skalę laboratoryjną. Ale ona istnieje.

To w czym tkwi problem?

We wdrożeniu tych technologii. Weźmy maszyny do pobierania dwutlenku węgla. Miały rozwiązać nasze problemy. Tylko że ONZ oświadcza, że musielibyśmy je wybudować do 2030 r. Na to są potrzebne środki porównywalne z tymi, które wydano na II wojną światową. To znaczy, że miałby to być biznes dwa czy nawet cztery razy większy niż przemysł paliwowy i gazowy – a ten powstawał przez 150 lat.

To gigantyczne przedsięwzięcie konstrukcyjne wymagające wielkich i skoordynowanych wysiłków, a także inwestycji. Do tego ta technologia nie wystarczy, by rozwiązać problem dekarbonizacji.

Podobnie jest z technologiami codziennego użytku. W Stanach Zjednoczonych sieć energetyczna traci dwie trzecie energii. Jeśli chcielibyśmy wybudować nową sieć, która skuteczniej przekazywałaby energię do domów i fabryk, to nie da się tego zrobić za pomocą pstryknięcia palców.

Skąd więc tak powszechna wiara, że nauka nas zbawi?

To pewne złudzenie związane z naszym doświadczeniem z iPhone'em i tak zwaną gospodarką aplikacji. Te technologie rzeczywiście niemal natychmiast zaczęły funkcjonować w skali światowej, ale tego nie da się powtórzyć we wspominanych wcześniej przypadkach. Wprost przeciwnie – potrzebne są na to dekady.

Zresztą terminarz ONZ w sprawie dekarbonizacji zakłada nie czekanie na nowe technologie, ale spieszenie się z jak najszybszym wprowadzaniem w życie tych, którymi już dysponujemy.

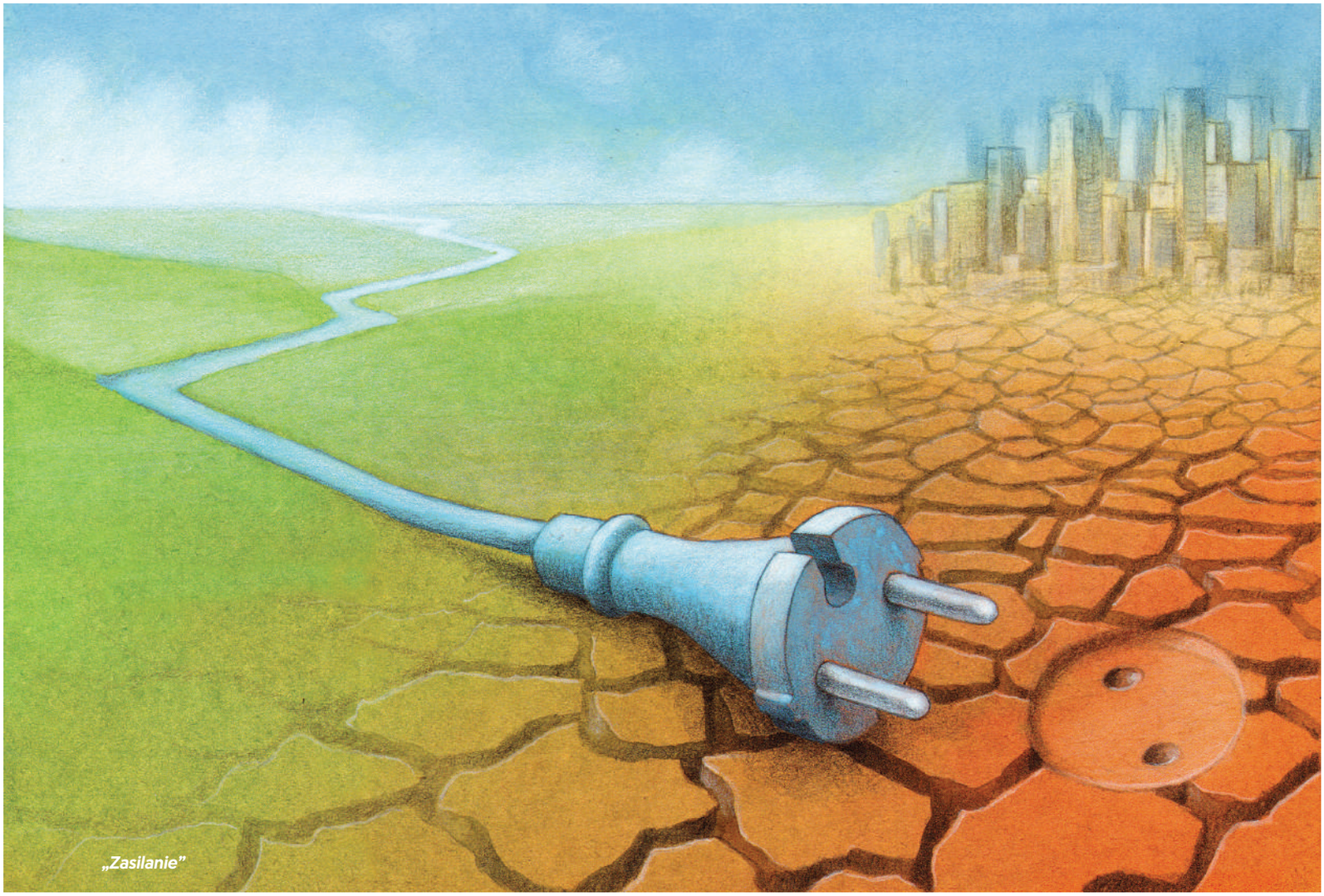

„Zasilanie”

Mówi pan o rozwiązaniach systemowych, a nie jednostkowych. To znaczy, że nie ma dużego znaczenia, że znowu polecę na wakacje samolotem?

Ustabilizowanie klimatu na jakimś konkretnym poziomie, nawet z dosyć wysoką temperaturą, wymaga nie tylko zredukowania emisji dwutlenku węgla, ale także jej całkowitego wyzerowania. Jeśli bowiem uda nam się zatrzymać do końca stulecia na 4 stopniach ocieplenia, to emitując nawet nieznaczną część dwutlenku węgla, wciąż będziemy ogrzewać planetę.

Może pan latać mniej, ja też mogę. Ale trudno się spodziewać, że 8 mld ludzi na całej planecie całkowicie porzuci latanie i nigdy więcej nie wejdzie na pokład żadnego samolotu. Szczególnie że setki milionów osób w świecie rozwijającym się dopiero teraz stają się wystarczająco bogate, by pozwolić sobie na takie podróże.

Odpowiedzią na to wyzwanie musi być nowy rodzaj technologii, która może zastąpić podróże powietrzne w obecnej formie. To wymaga badań, rozwoju, wydatków, regulacji, które mogą zostać osiągnięte w skali krajów za sprawą polityki publicznej. Problem jest zbyt duży i zbyt szybko postępuje, by marzyć o jego rozwiązaniu poprzez indywidualne działania. Działanie polityczne jest najskuteczniejszym, jakie może podjąć jednostka.

Czyli nawyki konsumpcyjne nie mają znaczenia?

Jeśli chcesz ograniczyć swój ślad węglowy, jest to wartościowe, bo daje sygnał ludziom dookoła, że ta kwestia cię zajmuje. Jest to też sygnał dla polityków, że oczekujesz zmian. Ale przede wszystkim jest to ważne, bo stanowi kolejny krok do zmiany polityki, czyli tego, czego potrzebujemy.

Zbyt często w miejscach takich jak Stany Zjednoczone

„Deszcz”

oczekujemy, że wpłyniemy na świat poprzez to, co kupujemy lub zjadamy, a jednocześnie totalnie ignorujemy dziedzinę polityki, która właśnie do takich zadań jest stworzona. To ona pozwala nam się organizować i zmieniać priorytety w skali całego społeczeństwa. Potrzebujemy poważnej transformacji w wielu sferach.

I rządy są zdolne, by przeprowadzić taką transformację?

Obecnie nie dają nam one wielu powodów, aby im ufać. Podjęły bardzo mało działań na rzecz klimatu. Porozumienie paryskie zostało podpisane trzy lata temu i żadna z kluczowych gospodarek nie zmierza w stronę realizacji nałożonych przez nie zobowiązań. A nawet jakby je wypełniły, to i tak temperatura na świecie wzrośnie do końca stulecia o jakieś 3 stopnie.

Porażka porozumień paryskich nie jest niczym zaskakującym, bo to samo spotkało protokół z Kioto z 1997 r., a jeszcze wcześniej porozumienia z Montrealu i Rio de Janeiro. Żadne ze zobowiązań w historii polityki klimatycznej nie zostało zrealizowane.

Dlatego uważam, że trzeba stworzyć nowe zobowiązania polityczne. To wiązałoby się z przeprowadzeniem transformacji, nie tylko na skalę państw narodowych, ale i całego świata. Nie mówię, że potrzebujemy rewolucji, lecz klimatycznego działania, które stanie się naszym centralnym priorytetem, wokół którego będą budowane pozostałe. I na tym froncie widzę pewne nadzieje.

Jakie?

W ostatnich kilku latach obserwujemy wzrost zaangażowania w sprawy klimatyczne polityków na całym świecie. To głównie gesty symboliczne, które wciąż przekładają się w niewielkim stopniu na konkretną politykę, ale są znakiem postępu. Rządzący czują się zmuszeni, by te gesty wykonywać.

Co spowodowało tę zmianę?

Jednym z czynników były protesty klimatyczne, które nasiliły się w 2019 r. W Europie ich symbolem stały się Greta Thunberg i Extinction Rebellion, a w Stanach Zjednoczonych Sunrise. Kolejnym czynnikiem były ekstremalne zjawiska pogodowe, niespotykane zwłaszcza na północnej półkuli.

Wszystko to wpływa na politykę, choć nie oczekuję, że będzie ona wystarczająca. Sądzę jednak, że będzie coraz ambitniejsza.

Jeśli koncentracja dwutlenku węgla w atmosferze będzie dwa razy wyższa niż dzisiaj, planeta może stracić możliwość formowania chmur. **To z kolei mogłoby sprawić, że temperatura klimatu ocieplonego już o 5 stopni wzrosłaby o kolejne 8**

Czy kryzys klimatyczny może doprowadzić do podważenia reguł demokracji liberalnej i załamania jej instytucji?

W świecie dotkniętym przez katastrofalne zmiany klimatyczne mogą wzrosnąć poczucie brakuzasobów i konkurencja o dobrobyt, a narody zwrócą się ku ksenofobii, natywizmowi i wąsko rozumianemu poczuciu własnego interesu. Nie sądzę jednak, by w przyszłości państwa przestały istnieć. Myślę, że w pewnych przypadkach kryzys ekologiczny może je nawet umocnić. Będą gwarantować bezpieczeństwo, gdy liczba zagrożeń wzrośnie. Niektóre państwa mogą zmienić się w upadłe, wiele innych będzie funkcjonować w ograniczony sposób.

W obliczu takiego kryzysu, biedy, dysfunkcjonalnych instytucji i niepewności jutra ludzie mogą być gotowi poświęcić swoje wolności na rzecz gwarancji bezpieczeństwa, w tym ochrony przed klimatem. Możemy się spodziewać nadejścia ekodyktatury?

Nie powiedziałbym, że to się wydarzy na całym świecie, ale w niektórych miejscach bez wątpienia. W państwach ogarniętych chaosem często pojawia się władca chcący rządzić silną ręką. Autorytaryzm może dostarczyć tego, czego brakuje w takich społeczeństwach: porządku, bezpieczeństwa, stabilności i pewnego materialnego komfortu.

Autorytaryzm skraca też proces decyzyjny, nie jest potrzebny żaden konsensus jak w przypadku demokratycznych rządów.

Wśród zachodniej lewicy widać pewne sympatie i entuzjazm dla klimatycznego przywództwa Xi Jinpinga w Chinach. Zdaniem wielu jest to model, którego potrzebujemy, gdyż w jego ramach rządzący może samodzielnie podejmować decyzje i zdaje się działać skuteczniej niż liberalna demokracja – faktycznie polityk nie jest tam spętany politycznymi sporami i biurokracją. Ja mam jednak mieszane uczucia wobec działań Xi w tym zakresie.

Dotychczas z działaniami na rzecz klimatu najlepiej radzą sobie liberalne demokracje, a nie autorytaryzmy. Niemniej skoro część społeczeństw zachodnich sympatyzuje z modelami takimi jak chiński, niewykluczone, że Stany Zjednoczone czy państwa Europy Zachodniej mogą się zmienić w pewną wersję ekodyktatury.

Grozi to wielu z nich?

Ludzie często wpadają w pułapkę, myśląc, że czeka nas jedna opowieść klimatyczna. Tak nie będzie. Mogą występować świetnie działające zielone gospodarki obok całkowicie zdewastowanych.

Czeka nas nowy ład międzynarodowy?

Istnieje kilka możliwych scenariuszy politycznych, ale coraz więcej myślę o modelu na kształt zimnowojennego układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Wówczas kluczowymi państwami były Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Dzisiaj ten drugi kraj zastąpiłyby Chiny. Dwa rywalizujące supermocarstwa mimo wszystkich różnic usiadłyby za stołem, aby dyskutować kwestię o światowym znaczeniu. Być może wypracowałyby konsensus i zastraszyły resztę świata, by porozumienia przestrzegała.

David Wallace-Wells
jest amerykańskim dziennikarzem, zastępcą redaktora naczelnego „New York Magazine". Autor książki *Ziemia nie do życia. Nasza planeta po globalnym ociepleniu* (tłum. Jacek Spólny, Zysk i S-ka 2019).

Zbudujmy ateńską demokrację

Czy wschodnia Belgia pokaże światu drogę do nowej, lepszej demokracji? Bez wyborów, bez partii i ich chronicznych chorób? Eksperyment już się zaczął

TEKST: JAKUB JANISZEWSKI
ILUSTRACJE: MARTYNA WILNER

„Na co czekamy?" – pytał w 2013 r. w swojej książce *Przeciw wyborom* David Van Reybrouck, belgijski historyk i pisarz. „Naszą demokrację niszczy jej ograniczenie do samej tylko procedury wyborczej, choć wybory nigdy nie były pomyślane jako instytucja demokracji. (...) Bez drastycznej zmiany ten system nie przetrwa. Jeśli spojrzeć na spadającą frekwencję i członkostwo w partiach politycznych, na to, jak gardzimy politykami, jak trudno dziś powołać rząd, jak mało ten rząd jest w stanie zdziałać, a jak surowo jest za swoje działanie karany, jeśli spojrzeć, jak szybko rozwija się populizm, technokratyzm i anty parlamentaryzm, a jednocześnie jak obywatele z każdą chwilą coraz bardziej pragną większego uczestnictwa w życiu publicznym i jak szybko to pragnienie przeradza się we frustrację – wtedy nie sposób dalej udawać, że jeszcze trochę wytrzymamy. Kończy się nam czas".

Przeciw wyborom to manifest. Niewielka, przystępnie napisana książeczka, wydana tuż po 535-dniowym kryzysie politycznym w Belgii, gdy po wyborach parlamentarnych nie udawało się stworzyć żadnej koalicji, a tym samym powołać rządu. Van Reybrouck, akademik, historyk, uznany intelektualista, autor monumentalnego dzieła *Kongo – opowieść o zrujnowanym kraju*, tym razem objawił się swoim czytelnikom jako rewolucjonista, według którego demokracja reprezentatywna to przeżytek, sztucznie utrzymywany system nieefektywnego zarządzania.

XIX-wieczny parlamentaryzm – przekonuje Reybrouck – to w gruncie rzeczy system oligarchiczny. Nawet gdybyśmy byli tak naiwni, by sądzić, że reprezentują nas tylko najlepsi – to przecież w dalszym ciągu sprowadza się do rządów arystokracji, tylko inaczej definiowanej.

Demokracja czy elitokracja?

Poza tym kandydat zawsze jest zakładnikiem tych, którzy go wysunęli. To przez nich, nie przez wyborców, będzie rozliczany. Listy wyborcze to publiczna emanacja zakulisowych koterii, a kampania – to populistyczny dramat, pogłębiający społeczne podziały i niechęci.

Współczesny parlamentaryzm tylko pozornie opiera się na antycznym systemie demokracji ateńskiej, w gruncie rzeczy stanowi jej zaprzeczenie. W Atenach rządzili obywatele, to był system, w którym uczestniczyły dziesiątki tysięcy. Obrady eklezji – rzekomego odpowiednika współczesnych izb niższych – były tak naprawdę otwarte dla wszystkich uprawnionych, a kworum wynosiło tu 6 tys. uczestniczących w obradach. Owszem, inne kluczowe ciała były wybierane, ale żadne w trybie głosowania. Skład Rady Pięciuset – odpowiedzialnej za tworzenie aktów prawnych, które akceptowała eklezja – wyłaniano w drodze losowania. Podobnie sąd ludowy – heliaja.

Nie znano tu wynalazku kampanii wyborczej.

Decyzja losowa czyniła udział we władzy przejrzystszym i sprawiedliwszym. Loteria uniemożliwiała tworzenie się elitarnych klanów i rodów. Przeciwdziałała układom i koteriom. Nie patrzyła na zasobność portfela. Nikomu niczego nie gwarantowała. Była prawdziwą władzą ludu, bo do najważniejszych ciał państwowych trafiała losowa „próbka" społeczeństwa. A nie elity.

Dlaczego do tego nie wrócić? – pytał Van Reybrouck. Skoro nie ufamy już partiom politycznym, skoro w kształtowaniu się opinii bierze udział coraz więcej rozmaitej maści podmiotów, dlaczego nie uwolnić się od wyborczej gry pozorów?

Bo lud jest głupi, a politycy to „specjaliści"? Wolne żarty!

Nawet jeśli politycy są specjalistami w jakiejś dziedzinie, to w trakcie jednej kadencji parlamentu stają przed koniecznością podjęcia setek wiążących decyzji w sprawach, o których nie mieli wcześniej zielonego pojęcia. Nic nie stoi na przeszkodzie, by ci sami eksperci piszący dzisiaj analizy dla

partii politycznych pisali je dla bardziej demokratycznych, zróżnicowanych, obywatelskich parlamentów. Te zaś, oparte na współczesnych spisach narodowych, mogłyby dużo precyzyjniej odzwierciedlać rzeczywistą strukturę społeczną: losowano by po prostu według klucza, tak by zachować reprezentatywność.

Być może nie byłaby to w pełni „bezpośrednia" demokracja. Ale system ateński też taki nie był. Problemem nie jest „reprezentacja" jako taka, lecz sposób jej wyłaniania. Wybory powszechne tworzą i utrwalają elity, losowanie przeciwnie – przeciwdziała elitaryzmowi. Tylko ten drugi system może naprawdę czynić władzę bardziej otwartą, dostępną, przejrzystą i bliższą obywatelowi. Przede wszystkim jednak uwalnia od rywalizacji politycznej, tak niszczącej dla współczesnych systemów politycznych i dla samych społeczeństw.

Ateński model w XXI w.

Podwaliny nowej demokracji już są. Reybrouck przywołuje opublikowany wiosną 2013 r. esej Terrilla Bouriciusa, amerykańskiego politologa z Vermontu, który podjął próbę przełożenia ateńskiego systemu losowania na współczesne realia cywilizacyjne. Jego zdaniem do efektywnego zarządzania państwem wystarczyłoby sześć wzajemnie kontrolujących się ciał kolegialnych (największe liczyłoby 400 członków), z czego pięć wybierano by w drodze losowania, a jedno stanowiłoby po prostu rodzaj otwartych dla wszystkich debat, tak by każdy zainteresowany, z lobbystami włącznie,

mógł na jakimś etapie przedstawić swoje argumenty odnośnie do stanowionego prawa.

W ustalaniu składu niektórych ciał kolegialnych korzystano by ze spisu wyborców, inne wymagałyby już spełnienia pewnych wymogów kompetencyjnych. Tam, gdzie uczestnictwo byłoby najbardziej wymagające i pracy byłoby najwięcej – płaciłoby się diety.

Tylko w jednym, quasi-sądowym ciele udział byłby obowiązkowy, ale obrady trwałyby zaledwie jeden dzień, po jego upływie wygasałby też mandat. Uczestnictwo w pozostałych demokratycznych kolegiach zależałoby od obywatelskiej woli i chęci.

System Bouriciusa, choć w gruncie rzeczy bardzo skomplikowany i nigdy niesprawdzony w praktyce, ewidentnie wzbudził w Van Reybroucku entuzjazm. „Na co czekamy" – powtórzył w swojej książce tuż po przytoczonym szczegółowym opisie współczesnej koncepcji demokracji losowanej.

Koniec teorii, teraz eksperyment

W kwietniu 2019 r. David Van Reybrouck mógł już otworzyć szampana, ale trudno powiedzieć, czy to zrobił. Wiadomo jedynie, że napisał tekst dla europejskiego „Politico" pod tytułem *Belgijski eksperyment demokratyczny*.

Rzecz dotyczyła najmniejszej oficjalnej wspólnoty belgijskiej – niemieckojęzycznej, liczącej 75 tys. dusz, z rzadka wspominanej, bo zdominowanej przez walońską i flamandzką większość. Jej parlament przegłosował uruchomienie Ostbelgien Model, czyli politycznego eksperymentu zakładającego utworzenie nowego, losowo wybieranego systemu politycznego, w którym zasiadać mają szeregowi obywatele.

Kluczową rolę mają w nim odgrywać 24 osoby wylosowane na półtora roku do Rady Obywateli. Ich kadencje nie będą jednak zaczynały się w tym samym momencie: co pół roku losowanie wyłoni nowych osiem osób, a mandat jednej trzeciej wygaśnie, trochę jak w amerykańskim senacie. Niczym ateńska eklezja Rada Obywateli będzie miała prawo do ustalania agendy, a więc typowania spraw, którymi należy się zająć. To może być kwestia posiłków w lokalnych szkołach albo termoizolacji budynków szpitalnych.

Rada nie będzie jednak samodzielnie rozstrzygała o rozwiązaniach. Do rozstrzygnięcia każdej ze spraw powoła osobne Zgromadzenie Obywateli, liczące, zależnie od przedmiotu regulacji – do 50 osób. Kadencję Zgromadzenia też określi Rada. Może być krótka, najlepiej paromiesięczna. Do Zgromadzenia trafią kolejni wylosowani. Będą pracować w weekendy, tak by ich poczucie obywatelskiego obowiązku nie kolidowało z życiem zawodowym. Kto nie chce – nie musi podejmować wyzwania, wylosuje się kogoś innego.

Rada i Zgromadzenia swoje ustalenia komunikują lokalnemu parlamentowi (normalnemu, wyłonionemu w zwykłych wyborach). Ten ma obowiązek ich wysłuchać i odnieść się do proponowanych rozwiązań w okresie nie dłuższym niż rok. Ale może je odrzucić lub dowolnie zmienić, bo „system obywatelski" jest jedynie głosem doradczym.

Wschodnia Belgia, czyli laboratorium

Skomplikowane? Owszem, ale twórcy twierdzą, że takie musi być. W końcu chodzi o to, by odejść od dysfunkcyjnego systemu reprezentacji i maksymalnie rozproszyć władzę. System wzajemnie kontrolujących się ciał o zróżnicowanej kadencyjności nadaje się do tego najlepiej. Poza tym częste powoływanie Zgromadzeń na krótkie, parotygodniowe kadencje daje większe szanse uczestnictwa znaczącemu odsetkowi obywateli wschodniej Belgii: im częstsze losowanie, tym większa szansa, że tym razem padnie na ciebie.

Niewiążące? Na razie. W kraju, w którym konstytucja wprost mówi o władzy parlamentu pochodzącego z wyborów powszechnych, nie dało się stworzyć żadnego organu o charakterze innym niż doradczy. Właściwie to polityczna szara strefa – nieujęta w konstytucji i zawieszona w próżni, obok istniejącego porządku instytucjonalnego. Projektując nowe, obywatelskie ciało polityczne dla Belgii wschodniej, zakładano, że to rozwiązanie testowe, wymagające pogłębionej analizy. To ma być – w myśl słów Karla-Heinza Lambertza, obecnie urzędującego prezydenta parlamentu wschodniej Belgii – laboratorium, w którym bada się innowację na użytek całej europejskiej wspólnoty.

„Nigdzie indziej na świecie zwykli obywatele nie będą tak konsekwentnie angażowani w kształtowanie przyszłości swojej społeczności" – pisał zachwycony Van Reybrouck w swoim artykule dla „Politico". „Byłem w parlamencie tej nocy, gdy posłowie ze wszystkich sześciu partii przekroczyli ideologiczne podziały, by przyjąć ustawę. Był to odważny ruch, znak dla innych polityków – którzy patrzą na swoich wyborców bardziej jak na zagrożenie niż potencjał – że

> Jeśli spojrzeć na to, jak gardzimy politykami, jak trudno jest coś sensownego zdziałać w polityce, jak szybko rozwija się populizm, **to widać, że bez drastycznej zmiany nasza demokracja nie przetrwa**

obywatelom należy ufać, nie bać się ich, nie kręcić".

To, o czym Van Reybrouck nie napisał – choć miał do tego pełne prawo – to jego personalny wpływ na całe przedsięwzięcie. Patronem politycznym modelu wschodniobelgijskiego jest bowiem szef rządu niemieckojęzycznej wspólnoty Oliver Paasch, który czytał *Przeciw wyborom*. I zwrócił się do Van Reybroucka z prośbą o pomoc w uczynieniu wschodniobelgijskiej demokracji bardziej obywatelską.

Sam Van Reybrouck demokracją bezpośrednią i formami partycypacji obywatelskiej zajął się na długo przed publikacją *Przeciw wyborom*. W 2010 r. powołał nieformalną grupę G1000 złożoną z badaczy, intelektualistów, artystów i aktywistów. I to właśnie oni posłużyli za intelektualne zaplecze Ostbelgien Model. Ściągnęli do Belgii grono ekspertów z całego świata. Takich, co już wcześniej, na różnych polach i w różnych formach, przećwiczyli demokrację obywatelską in praxis.

Losowanie parlamentu uwolni demokrację od rywalizacji politycznej, **tak niszczącej dla współczesnych systemów politycznych i społeczeństw**

Fala idzie przez świat

„Spotkaliśmy się w lipcu zeszłego roku w Eupen, w stolicy tego niemieckojęzycznego regionu Belgii, i zastanawialiśmy się, jak to zrobić" – opowiada w radiu TOK FM dr Marcin Gerwin, polski ekspert zaproszony przez G1000, inicjator gdańskich paneli obywatelskich. „Najbardziej klasyczny pomysł zakładał, że powołuje się jednoizbowy senat obywatelski, który przez określoną kadencję, za określoną dietę, będzie pracował nad projektami. Obaliliśmy ten model, bo ma tysiące wad. Kto przez rok będzie w stanie poświęcić się pracy politycznej kosztem swojego życia. Musieliśmy opracować coś, co pozwoliłoby ludziom płynnie łączyć ich obowiązki zawodowe z nowymi, politycznymi".

To połączenie, w przypadku Belgii wschodniej, może się okazać jednak łatwiejsze, niż przypuszczają sami eksperci. Pozwala na to niewielka skala samego regionu. Politycy zawsze byli tu blisko obywateli i nigdy nie próbowali zawłaszczać instytucji. Przeszukując strony lokalnych władz, wręcz trudno chwilami doszukać się informacji, kto piastuje jaki urząd. Na stronach parlamentu w zakładce „Prezydent" (odpowiednik polskiego marszałka Sejmu) znajdziemy szereg informacji o kompetencjach samego organu, ale nazwisko piastującego obecnie tę funkcję Karla-Heinza Lambertza wymienione jest dopiero w ostatnim zdaniu i to małym drukiem.

W małym regionie wszystko jest mniejsze, ego polityków też. Nawet sesje parlamentu odbywają się tylko popołudniami – nie ma aż tylu spraw do rozwiązania, by debatować dłużej.

Toteż nawet jeśli wschodniobelgijski eksperyment zakończy się sukcesem, nadrzędna wątpliwość pozostanie. Czy da się go powtórzyć na większą skalę? Nie w kilkudziesięciotysięcznym regionie, lecz wielomilionowym kraju? Albo w Unii Europejskiej?

Nikt do tej pory niczego takiego nie sprawdzał. Owszem, nad zmianą prawa aborcyjnego i dopuszczeniem małżeństw jednopłciowych w Irlandii debatowało specjalne zgromadzenie złożone z polityków oraz „zwykłych Irlandczyków" wybranych w drodze losowania, ale zakres jego działania był ograniczony – czasowo i tematycznie. Nikt do tej pory nie próbował wprowadzać obywatelskich paneli do systemu na stałe.

Oczywiście trudno Ostbelgien Model nazwać rewolucją. To raczej innowacja, coś na kształt start-upu, któremu parę głośniejszych nazwisk robi doskonałą prasę. Na razie nie sposób stwierdzić, czy start-up będzie działał i czy komukolwiek się przyda.

Ale nowa obywatelska demokracja to już ruch międzynarodowy. Nad lepszą polityką klimatyczną obradowały panele obywatelskie w Australii i Kanadzie. W 2016 r. z podobną inicjatywą wyszedł Gdańsk, do tej pory odbyły się już trzy edycje. Małe i duże obrady mieszkańców organizowała Kanada, na czele z Kolumbią Brytyjską, gdzie 160 osób przez wiele miesięcy zastanawiało się nad zmianą systemu wyborczego. W Kopenhadze trwa obecnie kolejny już panel dotyczący transportu.

„To się naprawdę zaczęło" – mówi Marcin Gerwin. „Ruszyła fala demokracji deliberatywnej". ○

Korzystałem z książki D. Van Reybroucka, *Against Elections: the case for democracy*, tłum. L. Waters (Seven Stories Press 2016).

Jakub Janiszewski
jest dziennikarzem TOK FM.
Współpracownik „HOLISTIC.news".

PCPM

pcpm.org.pl/pomoc

Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej jest apolityczną fundacją, niosącą pomoc humanitarną, rozwojową i ratunkową. Pomagamy w szczególności ofiarom konfliktów zbrojnych i klęsk żywiołowych bez względu na poglądy polityczne, kolor skóry, wyznanie i orientację. Dziękujemy za wsparcie!

Allahu akbar w prefekturze policji

TEKST: LUDWIKA WŁODEK

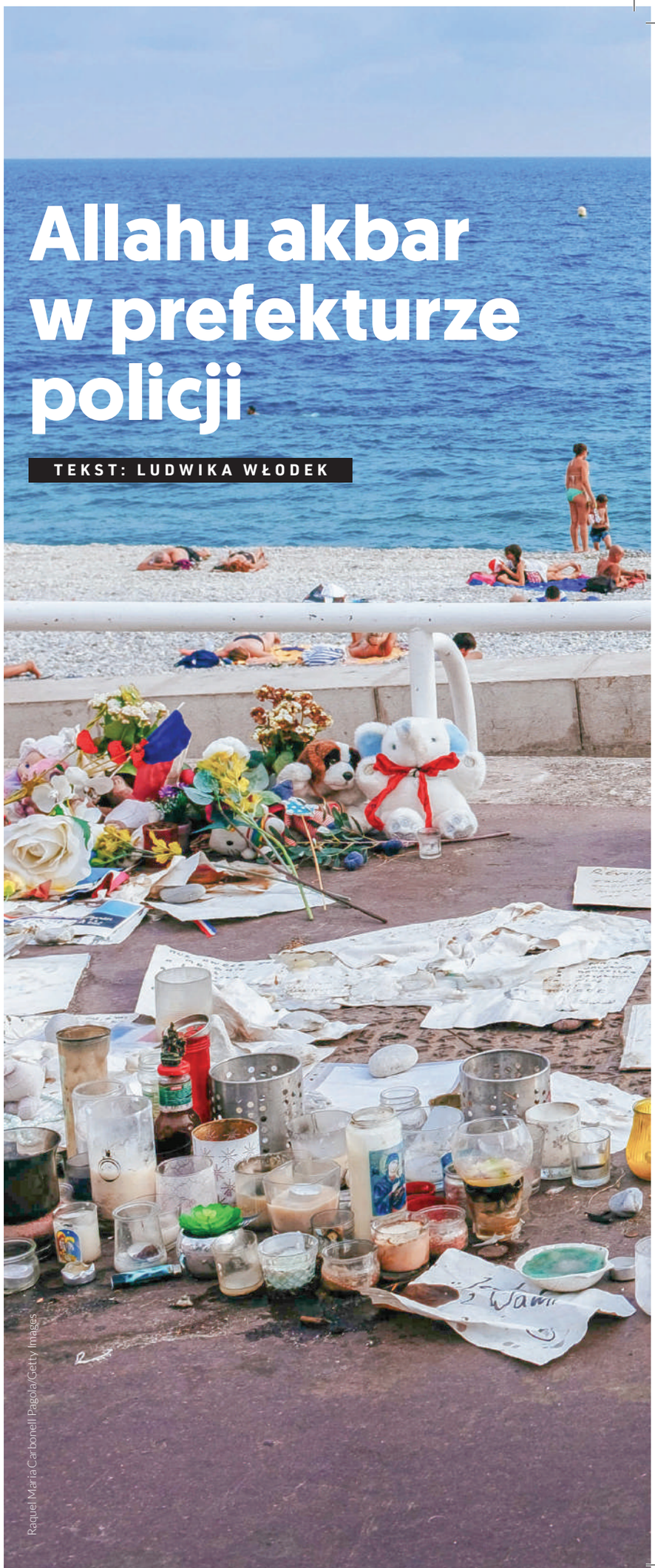

Raquel Maria Carbonell Pagola/Getty Images

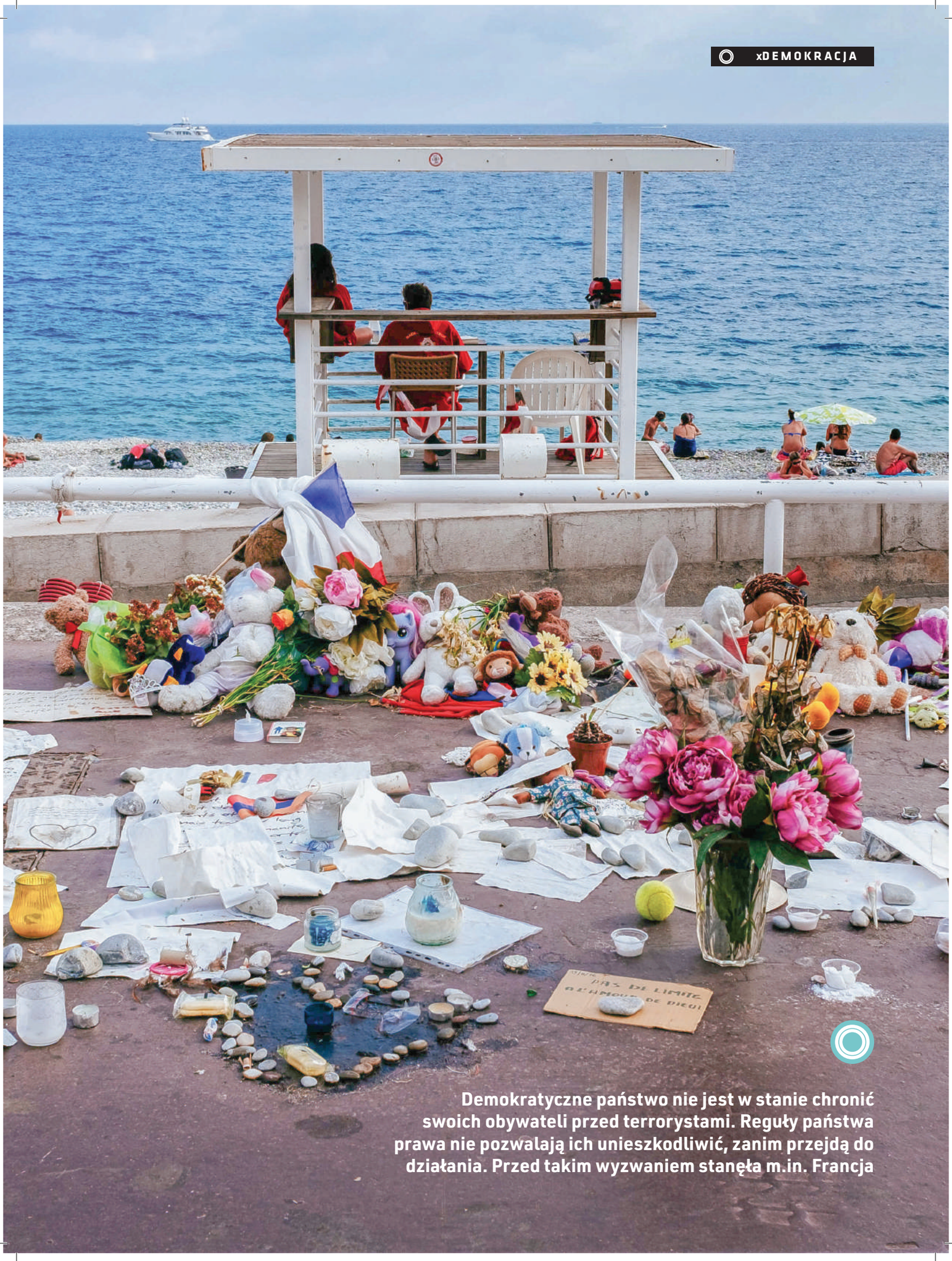

Demokratyczne państwo nie jest w stanie chronić swoich obywateli przed terrorystami. Reguły państwa prawa nie pozwalają ich unieszkodliwić, zanim przejdą do działania. Przed takim wyzwaniem stanęła m.in. Francja

Clement Mahoudeau/IP3/Getty Images

Żona twierdzi, że w nocy z 2 na 3 października spał wyjątkowo niespokojnie. Budził się, w malignie krzyczał „Allahu akbar".

Rano 45-letni Mickaël Harpon wstał jednak jak co dzień i pojechał ze swoich przedmieść do pracy, do centrum Paryża. W południe, w czasie przerwy obiadowej, wyszedł z biura, przeszedł przez łączący wyspę Île de la Cité z piątą dzielnicą most na Sekwanie i w pierwszym sklepie z gospodarstwem domowym, przy ul. św. Jakuba, kupił dwa noże. Jeden długi kuchenny, drugi krótki, ale mocny, do ostryg. Oba z ceramicznami, ostrzami, niewykrywalnymi dla bramek bezpieczeństwa.

Z powrotem szedł nieco okrężną drogą. Najprawdopodobniej po to, żeby schować noże gdzieś pomiędzy fałdy ubrania. Do pracy wrócił o 12.53. Siedem minut później już nie żył.

Niewykryty

W międzyczasie najpierw zamordował dwóch kolegów ze swojego działu. Gdy zjawił się w pracy, ci niczego nieświadomi spokojnie jedli lunch we wspólnym pokoju. Pierwszemu podciął gardło, drugiego zadźgał kilkoma szybkimi ruchami. Następnie pobiegł do sąsiedniego działu, gdzie innemu koledze zadał kilka śmiertelnych ciosów nożem. Próbował dostać się jeszcze do kolejnego pokoju, ale trafiwszy na zamknięte drzwi, zaczął zbiegać schodami prowadzącymi na wewnętrzny dziedziniec. Na klatce schodowej natknął się na koleżankę, którą też zaatakował i ranił tak ciężko, że zmarła z wykrwawienia. Drugą spotkał już przed samym wyjściem na dwór, też ją podźgał, ale ona na szczęście przeżyła.

Na dziedzińcu chciał rzucić się na kolejną ofiarę. Miał być nią młody policjant pilnujący budynku. Gdy Harpon nie zareagował na jego wezwania i zamiast się poddać, szedł w jego stronę z obnażonym ostrzem, ten wystrzelił dwa razy i zabił agresora.

Zamach wstrząsnął Francją nie tylko ze względu na wyjątkowe okrucieństwo sprawcy. Także dlatego, że wszyscy zostali zabici. Zbrodni dokonano w siedzibie instytucji, która ma za zadanie walczyć z przestępczością, także z terroryzmem, czyli w prefekturze policji. A najbardziej szokujące było to, że pracownikiem tej instytucji był sam sprawca – Mickaël Harpon.

Pracował w wydziale śledczym jako informatyk. Jednym z zadań wydziału jest wykrywanie potencjalnych terrorystów. Cała Francja zachodziła w głowę, jak to możliwie, że w miejscu pracy nikt nie zauważył jego przemiany, która ostatecznie pchnęła mężczyznę do zbrodni.

Tylko Bóg ma prawo cię sądzić

Harpon urodził się w Fort-de-France, stolicy Martyniki, jednego z pięciu departamentów zamorskich Francji. W Prefekturze Policji zatrudniono go 16 lat temu. Kilka lat po rozpoczęciu pracy – ze względu na żonę, która jest z pochodzenia Marokanką – przeszedł na islam. Para miała dwoje małych dzieci. Oboje z małżonką byli niedosłyszący.

Mieszkańcy ich bloku, z podparyskiego przedmieścia La Gonesse, wspominają ich jako miłych i niekłopotliwych sąsiadów. Tuż po zamachu na konferencji prasowej minister spraw wewnętrznych Christophe Castaner również zapewniał dziennikarzy, że Mickaël Harpon nie wzbudzał swoim zachowaniem żadnych podejrzeń.

Później nastąpiły trzy dni plotek, publikowano najdziwniejsze historie. Jeden z sąsiadów Harpona, także policjant, opowiedział mediom, że słyszał jak ten krzyczy na cały głos: „Allahu akbar". Potem indagowany przez kolejnych dziennikarzy prostował, że słyszał ten krzyk na klatce schodowej i nie jest w stanie określić, z którego mieszkania dochodził.

Według innych doniesień koleżanki policjantki od dawna skar-

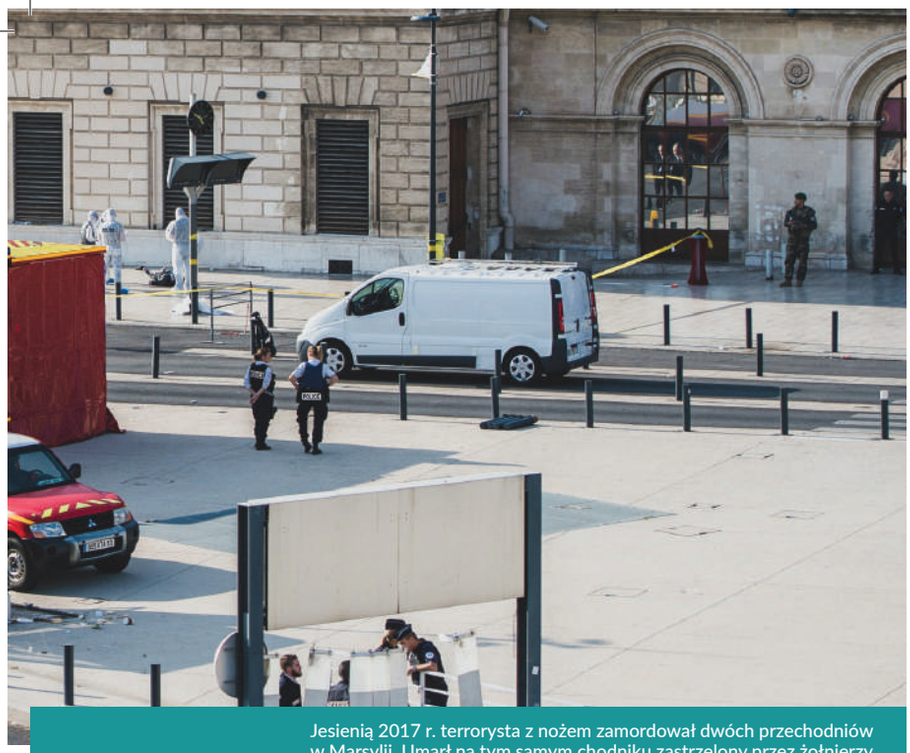

Jesienią 2017 r. terrorysta z nożem zamordował dwóch przechodniów w Marsylii. Umarł na tym samym chodniku zastrzelony przez żołnierzy

żyły się, że Harpon, przychodząc do pracy, przestał się z nimi witać. Ale pojawiły się także teksty, gdzie można było znaleźć zapewnienia innych koleżanek mówiących, że Harpon wcale nie unikał z nimi kontaktu i witał się przez podanie ręki, co dla fundamentalistycznego muzułmanina byłoby nie do pomyślenia.

Niektórzy źródło radykalizacji widzieli w żonie mężczyzny, Ilham, która feralnego ranka wymieniła z nim 33 SMS-y. Wszystkie zakończone „Allahu akbar". W ostatnim napisała do Mickaëla: „Tylko Bóg ma prawo Cię sadzić. Allahu akbar". Kobietę tymczasowo aresztowano, jednak po 70 godzinach została zwolniona. Śledczy nie znaleźli żadnych obciążających ją dowodów. Ona sama zeznała, że była przekonana, iż mąż przechodzi ciężkie załamanie nerwowe. Myślała, że zamierza popełnić samobójstwo, nie zaś pozbawić życia postronne osoby.

Ponoć, ponoć, ponoć

Niebawem powołany parę miesięcy wcześniej na głównego antyterrorystycznego prokuratora republiki Jean-François Ricard oznajmił, że zebrane dowody świadczą, iż Harpon w swoich poglądach zbliżył się do radykalnego islamu. Chodziło już nie tylko o to, że mężczyzna ponoć unikał kontaktu z kobietami. Jego radykalne poglądy potwierdzać miały sądy, które wygłaszał w obecności kolegów z pracy. W styczniu 2015 r. usprawiedliwiał rzekomo terrorystyczny atak na redakcję satyrycznego pisma „Charlie Hebdo". Dokonali go bracia Kouachi w odpowiedzi na to, że tygodnik przedrukował karykatury Mahometa.

Dlaczego żadne z tych podejrzanych zachowań Harpona nie zostało zgłoszone jego przełożonym? Françoise Bilancini, szefowa wydziału śledczego prefektury, tłumaczyła, że podejrzenia owszem, zostały zaraportowane, ale w formie ustnej. Jego bezpośredni przełożeni nie dopatrzyli się w zachowaniu Harpona nic złego, sprawa więc ani nie trafiła wyżej, ani nie zostały po niej żadne ślady na piśmie.

Najmocniejszą poszlaką radykalizacji Harpona były jego regularne wizyty w meczecie położonym kilka kilometrów od

Zamachy się zdarzają i będą zdarzały się nadal. Zmienia się jednak charakter ataków. **Coraz częściej ich sprawcami nie są skoordynowane komanda, ale zradykalizowani desperaci**

jego domu, przy osiedlu la Fauconnière. Meczet ów nie cieszył się szczególnie złą sławą, ale prowadził go imam znany z powiązań z fundamentalistyczną organizacją Bracia Muzułmanie. Na dodatek od półtora roku kazania wygłaszał tam Ahmed Hilali, kaznodzieja wyrzucony z kilku poprzednich meczetów w tym samym departamencie za podburzanie wiernych przeciwko starszym, bardziej zachowawczym imamom i radykalne kazania.

Policja przesłuchała Hilalego i wnet wypuściła. Zatrudniająca go lokalna wspólnota muzułmanów rozwiązała co prawda z nim kontrakt, ale natychmiast zawarła nowy. Hilali zapewniał dziennikarzy, że nie znał Harpona osobiście.

Kontrowersyjny imam pochodzi z Maroka, we Francji mieszka od 2014 r. W 2015 r. otrzymał nakaz deportacji. Powodem były sprawy rodzinne, istniało podejrzenie, że nie posyła córki do szkoły. Udało mu się jednak dostarczyć dowody, że córka się uczy, a on sam dobrze wywiązuje się ze swoich rodzicielskich obowiązków i pobyt mu przedłużono. Obecnie Hilali przebywa we Francji legalnie.

Oznaczony Eską

Od 2015 r. Hilali ma w dokumentach policyjnych teczkę oznaczoną literą „S". We francuskich kartotekach policyjnych przypisuje się ją osobom, które mogą stanowić zagrożenie dla Francji. „S" jak sûreté de l'Etat, czyli bezpieczeństwo państwa.

Podobne teczki, przed popełnieniem zamachu na „Charlie Hebdo", mieli Chérif i Said Kouachi. A także ich znajomy i kompan z więzienia Amedy Coulibaly, który dzień po tym, jak bracia zastrzelili dziennikarzy tygodnika, zabił policjantkę w podparyskim Montrouge, a później napadł na koszerny sklep Hiper Cacher, gdzie zamordował cztery osoby. Dokumenty oznaczone literą „S" miał też Mohammed Merah, sprawca zamachów z Tuluzy i Montauban z 2012 r. Oraz Larossi Abballa, który w 2016 r., w podparyskim Magnanville, włamał się do mieszkania pary policjantów, by zamordować ich na oczach trzyletniego syna. „Eski" mieli również Ismaël Omar Mostefaï, jeden z trzech zamachowców z paryskiej hali koncertowej Bataclan z listopada 2015 r., oraz

Chérif Chekatt, sprawca strzelaniny na targu bożonarodzeniowym w Strasburgu w grudniu 2018 r.

Zwyczaj przypisywania ludziom w kartotekach policyjnych poszczególnych liter rozpowszechnił się pod koniec lat 60. Swoją literkę mają na przykład osoby, którym państwo nie chce przyznać prawa do osiedlenia się we Francji („R" od opposition à résidence), młodzi na gigancie („M" od mineurs fugueurs) czy dłużnicy skarbu państwa („T" od débiteurs envers le Trésor).

Żadna z tych kategorii nie wzbudza jednak tyle emocji i nie jest tak częstym przedmiotem publicznych debat co właśnie „S". Do samej litery jest przypisanych 16 różnych podkategorii: S1, S2, S3 aż do S16. Poszczególne oznaczenia wymagają od służb przedsięwzięcia różnych środków ostrożności. Niektórych należy po wylegitymowaniu tylko zgłosić do bazy, innych zaleca się obserwować, kiedy przebywają na terytorium Francji, innym powinno się przeszukać bagaże. Na przykład S14 oznacza powracających z zagranicy, kiedyś głównie z Afganistanu, teraz częściej z Iraku i Syrii, adeptów dżihadu.

Groźna bezsilność

Nie wszyscy oznaczeni „S" to zradykalizowani muzułmanie. Oznaczenie to widnieje także w kartotekach niektórych działaczy skrajnej prawicy, członków anarchistycznego Black Blocku czy zwykłych chuliganów.

„Przy każdej kontroli dokumentów, po wpisaniu do policyjnej komputerowej bazy danych nazwiska osoby oznaczonej tą kategorią, „Eska" wyskakuje natychmiast. Nie jest to jednak wezwanie do aresztowania" – wyjaśniał mediom Alain Rodier, ekspert z think thanku zajmującego się badaniami nad terroryzmem.

Według dekretu z 2010 r. literą „S" oznacza się osoby, wobec których prowadzone jest dochodzenie mające na celu udaremnienie czynów zagrażających porządkowi publicznemu i bezpieczeństwu państwa. Litera pojawia się w teczce od momentu, kiedy policja trafi na jakiekolwiek niepokojące ślady wskazujące na to, że dana osoba teraz lub w przyszłości może być niebezpieczna. Gdy po ok. roku przypuszczenia się nie potwierdzają, a opatrzony bądź opatrzona tą kategorią wiodą spokojny żywot grzecznego obywatela, litera jest z ich dokumentów kasowana.

„Nadanie »Eski« oznacza, że nic nie mamy na danego klienta, ale że warto sprawdzić, czy nie trzeba przedsięwziąć przeciwko niemu poważniejszych środków" – tłumaczył telewidzom były szef francuskiego kontrwywiadu Bernard Squarcini.

I choć literka „S" w żadnym wypadku nie jest jednoznaczna z nakazem aresztowania, a stanowi tylko sygnał, że takiej osobie należy się uważniej przyglądać, to nawet z tym są kłopoty. Eksperci od bezpieczeństwa szacują, że obecnie we Francji znajduje się od 10 do nawet 20 tys. osób opatrzonych tą kategorią. Tylu ludzi nie da się śledzić. Wszystkich pracowników służb, którzy mogliby się trudnić tym zdaniem, jest we Francji mniej niż 10 tys. A przecież do obserwowania jednego człowieka przez 24 godziny na dobę potrzebny jest nie jeden agent, lecz kilku.

Za każdym razem, kiedy kolejna osoba z kategorią „S" popełnia akt terroryzmu (do tej pory zdarzyło się to we Francji blisko 20 razy), rozpoczyna się polityczna wrzawa. Posłowie opozycji (przoduje w tym Zgromadzenie Narodowe Marine Le Pen) domagają się a to wydalenia wszystkich zakwalifikowanych jako „S", a to nałożenia im bransoletek magnetycznych, pozwalających śledzić ich każdy prok.

To ostatnie także jest fizycznie niewykonalne – brakuje ludzi do wpatrywania się w monitory. Problem jest jednak znacznie poważniejszy niż brak kadr. W demokratycznym państwie prawa, jakim wciąż jest i chce pozostawać Francja, nie można wydalić z kraju osoby, która się tu urodziła i ma obywatelstwo (to przypadek większości „Esek"). Nie można też nałożyć śledzącego czipa komuś, kto nie został skazany prawomocnym wyrokiem sądu, nie dopuścił się żadnego nowego przestępstwa, a za stare odsiedział już wyrok. Nie można uczynić tego osobie, której jedynym „grzechem" jest umiłowanie do salafistycznych stron internetowych oraz podejrzane znajomości wśród adeptów dżihadu czy specyficzny gust odzieżowy.

Wróg może czaić się blisko

To, co wielu wydaje się niepokojące, dla części komentatorów jest jednak oznaką normalności. Politolog Guillaume Bigot po którymś z zamachów dokonanych przez oznaczonego „S" sprawcę zauważył: „To, że większość sprawców to osoby oznaczone »Eską« pokazuje, że służby wywiadowcze działają prawidłowo. Dopiero gdyby wiele ataków przeprowadzały osoby, o których wcześniej w służbach nikt nie słyszał, mielibyśmy czym się niepokoić".

Francuska policja twierdzi, że na każdy wykonany atak terrorystyczny przypada wiele takich, które udało się udaremnić. W ciągu ostatniej dekady Francja bardzo wzmocniła swoje siły antyterrorystyczne. W 2017 r. stworzono specjalne biuro, które ma koordynować pracę wszystkich walczących z terroryzmem instytucji.

Zamachy się zdarzają i będą zdarzały się nadal. Zmienia się jednak charakter ataków. Coraz częściej ich sprawcami nie są skoordynowane komanda, a zradykalizowani desperaci, którzy na własną rękę postanowili odpowiedzieć na apele fundamentalistycznych przywódców – ci ostatni wzywają muzułmanów z całego świata do zabijania niewiernych.

Wszystkich działających w ten sposób potencjalnych terrorystów nie da się powstrzymać. Najlepiej wiedzą o tym sami mundurowi. „Mówienie Francuzom, że jesteśmy w stanie ich ochronić, jest kłamstwem" – tłumaczył „Le Monde" Stephane, policjant, który niedawno zdecydował się zmienić pracę.

Zamachy organizowane przez samotników nie wymagają miesięcy przygotowań czy specjalistycznego sprzętu. Nawet rodziny często nie zdają sobie sprawy ze śmiercionośnych zamiarów swoich bliskich. Więcej kontroli i więcej jednostek antyterrorystycznych w ich wypadku na niewiele się zdaje.

We Francji dużo mówi się o wykrywaniu symptomów radykalizacji. Kilka dni po tragicznych zajściach w prefekturze policji prezydent Macron apelował do całego społeczeństwa o czujność. Jego zdaniem każdy obywatel powinien umieć wychwytywać

Eksperci od bezpieczeństwa szacują, że obecnie we Francji znajduje się od 10 do nawet 20 tys. osób opatrzonych kategorią „S". **Tylu ludzi nie da się śledzić**

w swoim otoczeniu – w szkole, w pracy, w świątyni – wszystkie zaniedbania, odchylenia i najdrobniejsze gesty, które rozmijają się z republikańskimi prawami i wartościami.

Czy to był zamach?

Niebawem po Macronie głos zabrał minister spraw wewnętrznych. Doprecyzował, o jakie najdrobniejsze sygnały radykalizacji może chodzić: „noszenie brody, ostentacyjne odmawianie modlitwy czy przestrzeganie ramadanu".

Te słowa natychmiast wywołały falę krytyki. Wielu lewicowych i liberalnych intelektualistów oraz publicystów oskarżało rządzących o zachęcanie do donosicielstwa i nakręcanie islamofobii.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. Kilka dni później radny Zgromadzenia Narodowego Julien Odoul domagał się, by towarzysząca grupie dzieci zwiedzających siedzibę regionalnej rady Burgundii Franche-Comté muzułmańska matka albo zdjęła chustę, albo wyszła z budynku. Dwa tygodnie później niedoszły poseł tego samego ugrupowania usiłował podpalić meczet w Bayonne, na południu Francji.

Z kolei przewodniczący francuskiej federacji psychiatrów Michel David skarżył się w rozmowie z „Le Monde", że policja wywiera nacisk na jego koleżanki i kolegów po fachu, żeby donosili na pacjentów, zgłaszając przypadki religijnej radykalizacji. David mówił: „Nakłania się nas, byśmy kierowali do zakładów zamkniętych ludzi głoszących podejrzane tezy. A przecież szpitale psychiatryczne nie mogą zastępować więzień ani centrów internowania, naszym obowiązkiem jest przede wszystkim dbać o zdrowie pacjentów".

Reguły państwa demokratycznego nie dadzą się pogodzić z tak rozumianą prewencją. Nie da się unieszkodliwić wszystkich potencjalnych adeptów religijnej radykalizacji. Nie można też w społeczeństwie wywoływać asocjacji pomiędzy islamem a terroryzmem.

Jednak trudno także udawać, że morderstwa dokonywane z hasłem „Allahu akbar" na ustach nie mają nic wspólnego z religią. Zdaniem badacza radykalnego islamu Gillesa Kepela nie należy mieć złudzeń. Fundamentalistyczny odłam islamu nie zrezygnuje z przemocy. Nawet ideologia szeroko akceptowanych na Zachodzie Braci Muzułmanów przewiduje fizyczne likwidowanie niewiernych i budowanie państwa islamskiego. Radykałowie mogą mydlić oczy naiwnym kafirom, ale nie zrezygnują ze swoich dalekosiężnych celów.

I dlatego, zdaniem profesora, zdecydowane działania państwa powinny być wymierzone w fundamentalistycznych kaznodziejów, a nie w omamionych przez nich, zabłąkanych frustratów, którzy w islamie szukają tego, czego nie znaleźli w świeckim społeczeństwie: akceptacji, ukojenia i poczucia przynależności. Kepel w książce *Terror we Francji*.

Geneza francuskiego dżihadu twierdzi: „Nie ma co wierzyć, że cyfrowe algorytmy ułatwią nam wykrycie »symptomów radykalizacji«. Trzeba skończyć z traktowaniem Braci Muzułmanów czy innych fundamentalistycznych organizacji jak sojuszników pomagających uspokoić przedmieścia. Politycy nie mogą w zamian za obietnice poparcia wyborczego pozwolić ich imamom wygłaszać radykalnych kazań, w których wzywają do walki z cywilizacją Zachodu".

***

Kilka tygodni po wydarzeniach w prefekturze policji zaczęto się zastanawiać, czy to w ogóle był zamach terrorystyczny. Żadna z radykalnych organizacji, ani Państwo Islamskie, ani Al-Kaida nie wzięła za niego odpowiedzialności. Przypuszczenia, że Harpon mógł dżihadystom przekazywać informacje o pracy prefektury, nie potwierdziły się.

Czy za śmiercią czterech, a właściwie pięciu osób, bo przecież sprawca też stracił życie, stała antyzachodnia ideologia? A może poczucie wykluczenia sfrustrowanego, nieawansującego tak szybko jak inni i dotkniętego niepełnosprawnością pracownika, który, gdyby nie spotkał na swojej drodze radykalnego imama, zamiast do plejady samotnych zamachowców, dołączyłby do protestujących na ulicach żółtych kamizelek?

Ludwika Włodek
jest socjolożką i reporterką, adiunktka w Studium Europy Wschodniej UW. Wiosną wyjdzie jej książka *Gorsze dzieci republiki*, która opowiada o życiu Algierczyków we Francji.

Zaadoptuj sobie trolla

Jutta Kuss/Getty Images

Trollom chodzi o to, żeby decydował nie środek, ale radykalne skrzydła. One nie są ideowcami: siedzą tam, bo zarabiają w ten sposób na życie

Z MATEUSZEM BAJKIEM, EKSPERTEM DS. ROSYJSKIEJ PROPAGANDY, ROZMAWIA ZBIGNIEW ROKITA

ZBIGNIEW ROKITA: W Petersburgu mieści się Internet Research Agency, czyli najsłynniejsza rosyjska fabryka trolli. Z tego miejsca Rosjanie starają się wpływać na kształt debaty w najróżniejszych miejscach świata. Zajmujesz się rosyjskimi trollami od lat.

MATEUSZ BAJEK: Mój pierwszy kontakt z tym środowiskiem był dość niestandardowy. Fabryka należy do Jewgienija Prigożyna, nazywa się go kucharzem Putina – to człowiek Putina do zadań specjalnych. Dawno temu na Petersburskim Uniwersytecie Państwowym studiowałem razem z córką Prigożyna, Poliną.

Poznaliście się na tyle, żebyś mógł się dowiedzieć czegoś o pracy jej taty?

Nawet jeślibym chciał, nie byłoby to łatwe. Studia dzieci bogatych Rosjan wyglądają dosyć specyficznie. Rzadko można ich spotkać na uczelni, życie oferuje im o wiele ciekawsze atrakcje. Polina nie była wyjątkiem. Inna sprawa, że część moich znajomych z tego okresu rozpoczęła później pracę w fabryce jej ojca.

Trudno się tam dostać?

W żadnym razie. Nieustannie potrzebują nowych pracowników. Ludzie nie pracują tam szczególnie długo, często przychodzą i odchodzą.

Dlaczego?

Nie jest to praca intelektualnie wymagająca, trudno, żeby satysfakcjonowała ludzi ambitnych. Wielu przychodzi tam na chwilę, żeby zarobić, przeczekać gorszy moment na rynku pracy, później odchodzą.

Dużo płacą?

Jakiś czas temu zarobki trolla kształtowały się na poziomie od 60 do 120 tys. rubli, czyli na polskie – 3,5–7,5 tys. zł na rękę. Jeszcze więcej zarabiają informatycy czy menedżerowie.

Jak rekrutuje się tam ludzi?

Pamiętam, jak fabryka trolli powstawała, to był 2013 r. Wówczas w pozyskiwaniu pracowników uczestniczyły osoby powiązane z władzą, często akademicy. Oni mieli dostęp do młodych ludzi znających obce języki, a nie ma w Petersburgu tak wielu ludzi mówiących dobrze po angielsku, a już szczególnie po polsku. Wiem od jednego z moich kontaktów w fabryce, że bardzo ich brakuje, pracownicy często nie spełniają wymagań. W rezultacie zdarzają się lapsusy w postach na zasadzie I „is" czy „She have". Jakość trollowania z latami się poprawia, ale wciąż część odbywa się via Google Translate.

W przeszłości ogłoszenia wisiały w internecie, na typowych portalach pracowych. Zdarza się, że rekrutację wciąż się tak prowadzi, ale głównym sposobem pozyskiwania pracowników jest dziś polecenie od byłych bądź obecnych pracowników. Oferty są dla nas coraz mniej widoczne, a ludzie nie chwalą się raczej pracą w takim miejscu.

Jak wyglądają takie ogłoszenia?

Jeden z moich kontaktów w fabryce trolli oficjalnie był zatrudniony jako specjalista ds. reklamy. Ludzie przychodzący z ogłoszenia czasami mogą nie wiedzieć, gdzie się rekrutują, co to za miejsce.

Powiedziałeś, że trolle nie chwalą się na zewnątrz, gdzie pracują. Dlaczego? Bo zabraniają im w fabryce czy to hańbiące w oczach innych Rosjan?

Obie odpowiedzi są prawidłowe. Po pierwsze, podpisujesz tam klauzulę poufności i nie możesz zbyt dużo opowiadać. Po drugie, bycie trollem przeszkadza w dalszej karierze. Jeśli idziesz później do innej pracy, to nie chcesz ujawnić, gdzie wcześniej byłeś. I nie chodzi nawet o to, że wezmą cię za szpiega, w końcu większość z nich żyje w Rosji, którą rządzi kolega założyciela fabryki trolli, ale o to, że zajmowałeś się rzeczami zupełnie nieprzydatnymi, odtwórczymi.

Mogę powiedzieć: „Wybierałem prezydenta Stanów Zjednoczonych".

Trudno się tym chwalić. Poza tym to nie wstyd tylko zawodowy, lecz także i prywatny. Nie pracują tam tylko zwolennicy Władimira Putina. W fabryce znajdziesz cały przekrój światopoglądowy, nawet opozycjonistów – też z takimi rozmawiałem.

Pracują tam sami cynicy czy też osoby wierzące, że w ten sposób spełniają patriotyczny obowiązek?

Z moich informacji wynika, że o ile na wyższych szczeblach zdarzają się osoby wierzące w swoją pracę, o tyle ci na szczeblach niższych traktują to jako szybką formę zarobkowania. Szeregowe trolle sieją nienawiść, skłócają ludzi, z ich perspektywy pionka trudno im poczuć, by w ten sposób wpływali na rzeczywistość – choć w swojej masie wpływają.

Pisałeś mi niedawno, że rozmawiałeś długo ze swoim kontaktem z fabryki trolli z sekcji amerykańskiej. Co ciekawego powiedział?

Zaciekawiło mnie to, że fabryka zrezygnowała z tworzenia własnych mediów, bazuje już wyłącznie na istniejących. Wcześniej Rosjanie uruchamiali bardzo wiele anonimowych forów, blogów czy stron internetowych, następnie dystrybuowano te treści za pomocą mediów społecznościowych. W pewnym momencie okazało się jednak, że jest to za mało skuteczne i skupiono się na powielaniu treści z istniejących już serwisów. Szczególnie dobrze widać to w Ameryce.

Jakich serwisów?

Mocno lewicowych, prawicowych, środowisk radykalnych obrońców praw człowieka, marksistów – to nie ma znaczenia. Liczy się skrajność. Celem było rozniecanie nienawiści między internautami, środowiskami, które i tak nie są ze sobą zgodne, a nie promowanie konkretnej wizji świata.

Jutta Kuss/Getty Images

Mój znajomy troll miał m.in. promować na portalach społecznościowych – oczywiście z różnych kont – skrajne treści, głównie z dwóch mediów amerykańskich: lewicowego HuffPost, gdzie dużo pisze się o dyskryminacji czarnoskórych, osób LGBT czy agresji policji; z drugiej strony skrajnie prawicowego Breitbart News. W ten sposób nie przedstawia się dosłownie rosyjskiej narracji i się uwiarygadnia. A jest to nawet skuteczniejsze, bo amerykańskie spory są Amerykanom bliższe.

Co mówił ci twój kontakt z sekcji amerykańskiej o swojej pracy? Dobrym angielskim repostuje jak najbardziej wyraziste treści, dbając o duży zasięg?

Tak, ale o zasięg on sam nie musi dbać. Troll ma z góry powiedziane, co i gdzie powinien publikować. Taki pracownik posiada kilkanaście kont, między którymi się przełącza – konto Afroamerykanina, którego pobiła policja; zdenerwowanego na rząd muzułmanina, który Trumpa uważa za szatana; białego piszącego o teoriach spiskowych i chcącego rozstrzelać imigrantów itd. Dbają, by Amerykanie oddalali się od siebie jak najbardziej. Troll codziennie rano otrzymuje instrukcje, wokół jakich informacji dziś krążymy.

Wiem, że sam urządzałeś internetowe safari, polując na nieuważnych trolli.

Tak, na rosyjskich trolli, którzy pracują w polskim internecie. Zapominali na przykład, że nie przełączyli się z jednego fejkowego konta na drugie, i głosili skrajne poglądy lewicowe, będąc na koncie osoby skrajnie prawicowej. Życzliwie zwracałem im uwagę. Ale ja to rozumiem, musi być trudno kilkanaście godzin dziennie trollować nas z wielu kont.

Czy Rosjanie zauważalnie trollują kampanię prezydencką w USA?

Mój kontakt informował mnie, że trolle nie miały instrukcji, by wspierać konkretnego polityka. Chodzi raczej o podgrzewanie emocji. Działania trolli obliczone są na długie lata, ich perspektywa sięga daleko poza Trumpa. Trolle czują się pionkami, ale ich działania wzięte do kupy mogą mieć ogromny efekt. Ich celem nie jest bezpośrednio udzielenie wsparcia Trumpowi, ale zniszczenie środka sceny politycznej. Trump jest im na rękę o tyle, o ile do tej destrukcji i osłabienia więzi społecznych wśród Amerykanów się przyczynia. Ale nie mogę wykluczyć, że istnieją jednocześnie głębiej osadzone departamenty, które działają bardziej bezpośrednio na korzyść danego polityka.

Facebook w październiku informował, że trolle uderzają głównie w Joego Bidena, a wspierają Berniego Sandersa.

Trollom chodzi o to, żeby decydował nie środek, ale radykalne skrzydła. Szczególnie że amerykańskie centrum, środowiska między republikanami i demokratami, najmniej sprzyjają Rosji.

Według Facebooka rosyjskie trolle dotarły podczas ostatnich amerykańskich wyborów do 126 mln ludzi – większości uprawnionych do głosowania. Skoro więc mają tak wielki zasięg i wpływ na mieszkających daleko, mówiących innym językiem Amerykanów, strach pomyśleć, jak mogą wpływać na wybory na Ukrainie.

To oczywiste, że działają na Ukrainie. Moje kontakty nie pracowały bezpośrednio przy tych wyborach, ale pamiętajmy, że petersburska fabryka trolli nie jest jedyną w Rosji. Jest ich dużo i mają szersze spektrum zainteresowań: oni trollują nie tylko internet w Polsce, Niemczech czy USA, ale też w samej Rosji. W szczególności w Rosji!

W jednym z mediów, w których pracowałem, musieliśmy w okolicach aneksji Krymu wyłączyć opcje komentowania, bo pod artykułami o Ukrainie czy Rosji pojawiały się dziesiątki, pisanych łamanym polsko-rosyjskim, agresywnie antyukraińskich komentarzy. Trudno było rozróżnić, za którymi stoją prawdziwi internauci, za którymi ktoś z zewnątrz. Jakie dziś tematy w Polsce eksploatują rosyjskie trolle?

Tematy obliczone na wzniecanie waśni między Polakami i Ukraińcami są wciąż na topie: pisze się o Wołyniu, o ukraińskich faszystach, przedstawia się Ukrainę jako państwo upadłe, które nie może pretendować do członkostwa w Unii Europejskiej czy NATO. Nie chodzi o promowanie Rosji, fabryki trolli wiedzą, że w Polsce to nie chwyci.

Podczas kampanii przed wyborami do Parlamentu Europejskiego w 2019 r. trolle skupiały się głównie na antysemityzmie, był to czas sporu z Izraelem – uderzenie w stosunki polsko-izraelskie to jeden z niewielu skutecznych sposobów na osłabienie

za pośrednictwem polskiego internetu sojuszu polsko-amerykańskiego. Rosjanie próbowali wielu sposobów, by osiągnąć ten cel, ale spełzały one na niczym: trolle rozpisywały się o każdym berecie amerykańskiego żołnierza, który ten zgubił, o każdej złapanej gumie, o każdym pojeździe, który uderzył w most bądź wpadł do rowu. Urastało to do rangi wybuchu bomby atomowej, ale niewiele dawało. Dopiero spór polsko-izraelski odniósł zamierzony skutek.

Z kolei podczas wyborów parlamentarnych rosyjskie trolle wyraźnie grzały temat LGBT.

Czy uprawniona jest teza, że rosyjskie trolle swoimi działaniami sprzyjają głównie Prawu i Sprawiedliwości?

Niezupełnie. Rosjanie nie tyle sprzyjają PiS, ile promują skrajne narracje. Ich celem jest sprawienie, by ta skrajna narracja wpłynęła na wyborców, a następnie by oni popchnęli rządzących do podchwycenia jej. A już mniejsze znaczenie ma to, kto jest praźródłem tej skrajnej narracji – czy PiS, czy skrajna prawica, czy sami Rosjanie.

Radykalizacja debaty i przesuwanie jej wciąż na prawo sprawia więc, że albo PiS się będzie tam przesuwał i sam radykalizował debatę, albo w polskim głównym nurcie pojawi się ktoś, kto zagospodaruje te hasła i podjudzone nastroje – taką siłą jest Konfederacja.

Tak, widać, że właśnie tak się dzieje. Władze muszą w jakiś sposób zagospodarować wyborców o skrajnych poglądach, bo inaczej te środowiska staną się dla władz zagrożeniem. Rosyjskie trolle walnie się do tego przyczyniają.

Rosjanie są światowymi pionierami w branży trolli, ale przynajmniej kilka państw poszło w ich ślady. Pisze się o trollach północnokoreańskich, irańskich. W 2018 r. badania Uniwersytetu Harvarda ustaliły, że rząd chiński dysponuje armią liczącą od 250 tys. do 2 mln trolli, które rocznie produkują około pół miliarda postów. Czy w Polsce zarejestrowano aktywność trolli z krajów innych niż Rosja?

Nie zauważyłem dotychczas, żeby w Polsce – już, bo pewnie nas to czeka – pojawiły się trolle inne niż rosyjskie czy polskie. A pamiętajmy, że te ostatnie też istnieją. Niedawno moi koledzy z Fundacji Reporterów ujawnili, że długo w Polsce funkcjonowała prywatna fabryka trolli. Może ich być więcej.

Rosyjskie trolle w USA były w stanie, siedząc w Rosji, organizować przez media społecznościowe protesty, na które Amerykanie przychodzili. Czy w Polsce trolle mają na koncie tak spektakularne sukcesy?

Było kilka niewielkich akcji obok Ambasady Ukrainy. Mieszkam niedaleko, więc widziałem je na własne oczy. Natomiast analizowałem bezpośredni wpływ rosyjskiej propagandy na stosunek Polaków do Ukraińców i ustaliłem, że propaganda ta nie zmieniła znacząco naszego wzajemnego stosunku. Udało się jej natomiast wybudzić z letargu osoby, które już do czegoś były przekonane. Podobnie było w sprawach LGBT czy Żydów.

Nie chodzi więc o przekonanie 70 proc. Polaków do tego, że Ukraińcy mają czarne podniebienia. Łatwiej dotrzeć do osób, które miały już uprzedzenia antyukraińskie – bo ich przodkowie zginęli na Wołyniu, bo ktoś stracił pracę przez migrantów z Ukrainy itd. Ci ludzie już nie milczą, w debacie jest znacznie więcej skrajnych poglądów, więcej uchodzi powiedzieć. Rosjanie nie muszą wymyślać nowych tematów. Wystarczy, że rozumieją, gdzie w polskim ciele tkwi drzazga i nią poruszać. Także sukces jest. Nie wiem tylko, czy spektakularny.

Ale powtarzam – trolle nie są ideowcami, siedzą tam, bo zarabiają w ten sposób na życie. Wielu z nich chciałoby się wygadać, zdradzić wiele sekretów. Sam znam się z wieloma rosyjskimi trollami. Warto ich poznawać, rozmawiać z nimi, a w ten sposób lepiej rozumieć mechanizmy rosyjskiej propagandy.

Postulujesz akcję „Zaadoptuj sobie trolla".

Możemy ją tak nazwać.

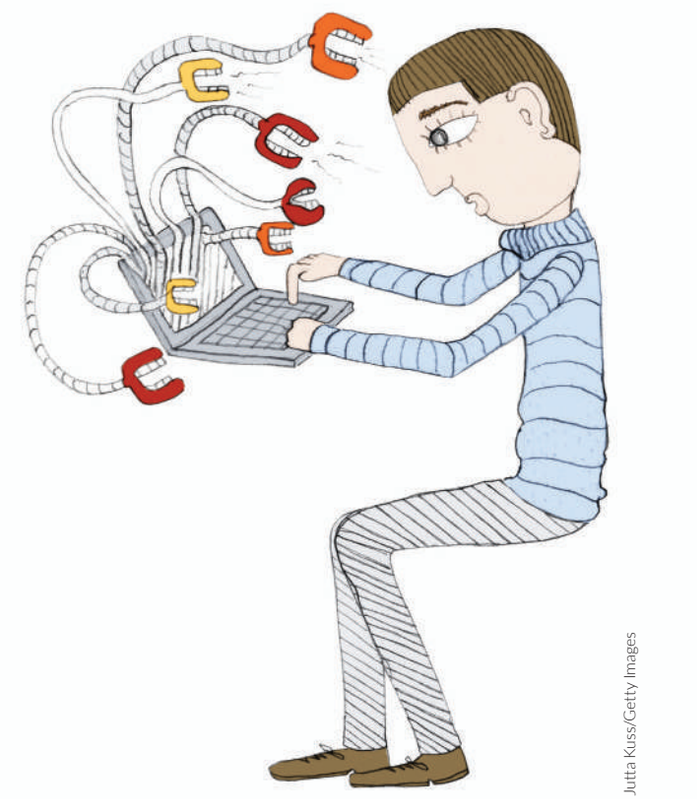

Jutta Kuss/Getty Images

Mateusz Bajek
jest analitykiem specjalizującym się w problematyce państw Europy Wschodniej i Kaukazu Południowego. Współpracuje m.in. z VSquare.org – międzynarodową platformą dziennikarstwa śledczego.

Niepewna władza w czasach zmian

Państwa narodowe tracą swoją moc na rzecz globalnego kapitalizmu. Nie znaczy to jednak, że wielkie korporacje już mogą ogłosić się nowymi rządzącymi światem. Przyszłość, nad którą ciążą widmo katastrofy klimatycznej i narastające niezadowolenie, pozostaje nierozstrzygnięta

TEKST: AGNIESZKA LICHNEROWICZ

Firma telekomunikacyjna Edelman Trust Barometer od dwóch dekad sprawdza zaufanie społeczne do demokratycznych instytucji i podmiotów. Zaczęli w 2000 r., by zweryfikować tezy Francisa Fukuyamy o ostatecznym zwycięstwie liberalnej demokracji nad innymi ideami systemowymi. Tym razem pytali też o kapitalizm. „Ludzie podważają rzeczywistość i zastanawiają się, czy na pewno świat, w którym dziś żyjemy, jest tak zoptymalizowany, by przyszłość była lepsza" – dla Agencji Reutera podsumowuje wyniki jeden z badaczy, David Bersoff. Ankieterzy przepytali 34 tys. osób z 28 krajów, zarówno demokracji, jak i autokracji. Wyszło im, że 56 proc. ludzi jest zdania, iż „kapitalizm, jakim go dziś znamy, czyni więcej złego niż dobrego". Sondaż wskazuje wszechobecną nieufność.

Żyjemy w czasach schyłku, szczególnie w Europie. Przynajmniej takie poczucie dominuje w głównych nurtach, co może się okazać wystarczające i zabójcze. Wynalazki społeczne, które miały początek na Starym Kontynencie, tracą moc i urok. Liberalna demokracja, kapitalistyczna obietnica lepszej przyszłości, światowy porządek oparty na zachodnich wartościach (oraz interesach) częściej rozczarowują, niż inspirują. Minusy zdają się przesłaniać plusy.

Widmo kryzysu

Choć coś się kończy, to mało co się zaczyna. Przyszłość, symbolicznie uśmiercona w 1989 r. ogłoszeniem przez Fukuyamę końca historii, gdzieś się skrywa. Swoją tajemniczością wywołuje więcej strachu niż nadziei. Jedni więc wszczynają kontrrewolucje, by cofnąć się ku wyidealizowanej nostalgią przeszłości; inni uparcie trzymają się status quo, szczególnie jeśli jest dla nich akurat korzystne. Nastrój schyłku współgra z naznaczonymi starzeniem trendami demograficznymi, które wywołują reakcje atawistyczne i ksenofobiczne. Okoliczności naszych płynnych czasów post- nie sprzyjają utopiom i wymyślaniu lepszego świata. Politycy często bezsilni spoglądają za horyzont. Albo udają, że go nie widzą. Najgłośniejsi są pragmatycy albo realiści (jak lubią o sobie mówić), którzy głoszą, że sprawa jest przesądzona, nadchodzą czasy siły i twardych interesów.

Przyszłość na razie przegrywa z neoliberalnym kapitalizmem, czyli tym, z którym weszliśmy w XXI wiek. Plotka głosi, że nic się z tym nie da zrobić. Jedni przyjmują to z satysfakcją, inni często tylko wierzgają sfrustrowani; tych drugich jest coraz więcej, ale ci pierwsi mają coraz więcej pieniędzy. W efekcie najpierw umiera zaufanie do opartego na demokracji i wolnym rynku systemu, a potem sam system. Znaczy – umiera demokracja, która traci sprawczość. Sam kapitalizm finansowy skolonizował już niemal cały glob i budzi rosnące poczucie niesprawiedliwości. Wcześniej demokracja i kapitalizm wydawały się nierozłącznymi kompanami, ale i kapitalizm, i demokracja ewoluowały. Jak ostrzegają eksperci, być może w tym roku uderzy kolejny finansowy kryzys. Pytanie: jak tym razem poturbowana wyjdzie demokracja? A przede wszystkim obywatele.

Gatunek zagrożony wyginięciem

Fundamentalni zwolennicy przypisują kapitalizmowi naturę niemal boską, w ich oczach jest wszechmocnie sprawiedliwy i mądry, najlepiej dzieli i organizuje, więc nie ma co z nim dyskutować, bo nie on jest problemem, tylko człowiek. Krytykom brakuje natomiast sił, by go okiełznać i rozpocząć negocjacje. Sceptycy (przy tym niekoniecznie wcale przeciwnicy), jak profesor filozofii polityki Michael Sandel, autor m.in. *Czego nie można kupić za pieniądze*, już dawno ostrzegali, że logika kapitalistyczna kusi niczym szatan i rozrasta się niczym rak. Więzi międzyludzkie, porządki społeczne, wartości, systemy ochrony zdrowia, edukacja, życie i śmierć – niechronione dają się zainfekować logice kupna i sprzedaży. Inne porządki etyczne przegrywają, a światem rządzi kapitalistyczna logika pieniądza.

Wybijające się na niepodległość coraz bardziej globalne korporacje i instytucje finansowe umykają systemom podatkowym, rozmywają kodeksy pracy, lobbują korzystne dla siebie normy prawne, przejmują kontrolę nad surowcami oraz aspiracjami obywateli-konsumentów. Globalny system finansowy to również sprzyjający habitat

Pablo Blasberg / Getty Images

dla organizacji przestępczych oraz wszelkiej maści kleptokratów i autokratów, którzy żyją w symbiozie z zachodnimi krezusami. Słabnące państwa narodowe często boją się podejmować walkę, by nie „zdenerwować rynków finansowych" albo nie sprowokować firm do wyprowadzki. Wpływ obywateli staje się coraz mniejszy.

W efekcie na listę gatunków zagrożonych należałoby wpisać także bardzo europejski twór, czyli państwo narodowe. Wraz z nim umiera demokracja, bo właśnie państwu narodowemu wyznaczono zadanie ochrony praw człowieka i obywatela.

Federalistyczna utopia

Wiek XX należał do państw narodowych. Na gruzach imperiów ta forma organizacji okazała się najbardziej skuteczna. Dziś wydaje nam się najbardziej naturalna i odwieczna, nie tylko dlatego, że innej nie doświadczyliśmy, ale może przede wszystkim dlatego, że pod jej kierownictwo oddaliśmy większość mitów, kanony kultury i politykę historyczną.

Tyle że idea państwa narodowego też się starzeje, nie nadąża za zmianami i traci sprawczość, a więc suwerenność, na razie przegrywa z globalnym kapitalizmem i kryzysem klimatycznym. Coraz bardziej dusi się też w sieciach międzynarodowych umów, norm i instytucji koordynujących na rzecz szeroko rozumianego bezpieczeństwa. Wyzwania rzucają im też sami przemieszczający się po świecie i podglądający się nawzajem przez internet obywatele. Nie, państwo narodowe nie umarło i pewnie nie umrze, ale mimo zaciekłej obrony jego miłośników coraz bardziej widoczne jest, że w Europie już nie wystarcza. Szczególnie w obliczu zagrożenia klimatycznego oraz rosnącej potęgi Chin, międzynarodowych korporacji i rewolucji technologicznej. Może po prostu podzieli się władzą.

„To moment gnicia europejskich państw narodowych, rozumiany jako przechodzenie z jednego stanu skupienia w inny" – przekonuje niemiecka politolożka Ulrike Guérot w książce *Europejska wojna domowa*, jedna z najgłośniejszych krytyczek państwa narodowego. Jak wielu innych przekonuje, że tylko wszyscy Europejczycy razem mogą stawić czoła wyzwaniom, pojedyncze państwa narodowe nie mają szans. „O ile wojna między narodami europejskimi stała się niemożliwa, o tyle zanosi się na wojnę domową" – Guérot zwraca uwagę, że idea państwa narodowego częściej dziś dzieli i skłóca Eu-

ropejczyków, niż ich łączy. Natomiast Unia Europejska, która wciąż jest zakładnikiem elit państw narodowych, okazuje się dziś mało efektywna, technokratyczna i niedemokratyczna. Dlatego Guérot wzywa do stworzenia Republiki Europejskiej, demokratycznej, zdecentralizowanej i obywatelskiej. To wciąż bardziej inspirująca utopia niż konkretny projekt, ale nie ma co jej bagatelizować, federalistyczna utopia skutecznie inspiruje unijny projekt od zarania. Pogłębianie integracji cały czas postępuje, niestety – coraz częściej w gronie chętnych, bez maruderów, poza unijnymi instytucjami.

Pablo Blasberg / Getty Images

Nowe średniowiecze

Wizję, która wymyka się tej tradycyjnej dychotomii, przedstawił w książce *Koniec Unii Europejskiej?* prof. Jan Zielonka z Uniwersytetu Oksfordzkiego. On inspiracje do wymyślenia przyszłości znalazł w... średniowieczu:

„W przeciwieństwie do wielu obserwatorów, jestem przekonany, że osłabienie Unii nie wzmocni państw narodowych, lecz raczej doprowadzi do odwrotnego scenariusza. [...] Osłabienie UE i jej państw członkowskich wzmocni inne podmioty polityczne, takie jak wielkie miasta, regiony i organizacje pozarządowe (NGO). Skutkiem będą coraz mniej ostre granice państwowe, postępujący podział lojalności politycznych i coraz szersze nakładanie się jurysdykcji administracyjnych. Nazywam to zjawisko nowym mediewalizmem – nowym średniowieczem.

Ten scenariusz, choć na pozór egzotyczny, wydaje się być w trendzie. W Unii Europejskiej jest coraz większa gotowość, by nie czekać na maruderów i wymuszane przez rzeczywistość inicjatywy integracyjne realizować w gronie chętnych. Unijna struktura może nie zniknąć, ale coraz więcej może poza nią wypływać – strefa euro, może polityka migracyjna, obronna itd. Jednocześnie rzeczywiście w siłę rosną korporacje, miasta czy autonomiczne regiony.

Stawiam również tezę, że – wbrew licznym prognozom – schyłek UE nie doprowadzi do chaosu i dezintegracji. Przeciwnie, integracja, napędzana głęboką wzajemną zależnością gospodarczą, empatią kulturową i pragmatyzmem politycznym, będzie postępować. Przybierze ona jednak nową formę funkcjonalną, a nie terytorialną, bez aspiracji do stworzenia paneuropejskiego rządu. Będą ją realizować rozmaite agendy regulacyjne, złożone nie tylko z rządów krajowych, ale i z regionalnych oraz wielkich aglomeracji miejskich i organizacji pozarządowych. Takie zróżnicowane i zdecentralizowane sieci prawdopodobnie okażą się sprawniejsze oraz bardziej wyczulone na potrzeby i nagłe zmiany niż obecna UE ze swymi sztywnymi regułami i dysfunkcyjnymi instytucjami " – pisze Zielonka.

Wydaje się, że taka struktura ma większą szansę być reprezentatywna, a więc i demokratyczna. Choć jednocześnie pozostawia wiele otwartych pytań o to, jak w praktyce miałaby wyglądać i czy poradzi sobie z globalnymi wyzwaniami, przed którymi stoimy.

To zmienia wszystko

Na razie wspierane przez rewolucję technologiczną korporacje rosną w siłę, zgodnie z opisanym wcześniej mechanizmem spieniężają naszą uwagę i osobowość. Rzeczywistość wirtualną w zachodnim świecie podzielił między siebie gang GAFA (Google, Apple, Facebook, Amazon), który ma coraz większą kontrolę nad życiem obywateli, a ci nad nim coraz mniejszą. Znów pytanie: czy nic się nie da zrobić? Próby obłaskawienia podejmują unijni regulatorzy, którzy karzą za monopolistyczne praktyki, starają się egzekwować podatki i chronić prywatność obywateli. Skutki są na razie raczej symboliczne, firmy są amerykańskie, więc za Atlantykiem toczą się kluczowe bitwy.

W Stanach Zjednoczonych nastrój też zaczął się zmieniać. Elizabeth Warren, jedna z pretendentek do prezydentury z Partii Demokratycznej, otwarcie rzuciła Dolinie Krzemowej wyzwanie – przedstawiła projekty rozbicia największych cyfrowych korporacji i uregulowania. Wśród ekonomistów toczą się też dyskusje, które jeszcze dekadę temu były niszowe, o bardziej asertywnych systemach podatkowych, poskromieniu handlu międzynarodowego i podporządkowaniu

go również prawom pracowniczym czy wymogom ekologicznym. Biorąc pod uwagę budżety lobbingowe oraz zwyczaje na Kapitolu, to wciąż spory Dawidów z Goliatem.

Czy zatem zwycięstwo autorytaryzmu i neoliberalnego kapitalizmu jest przesądzone? Potencjał wywrotowy ma oczywiście kryzys klimatyczny, bo to zagrożenie o potencjale apokaliptycznym. Czy wymusi podporządkowanie wolnorynkowej logiki celom survivalowym, tak aby liczył się nie tylko uświęcony zysk, lecz także dobrostan planety, wolność czy braterstwo (może jak będziemy tego słowa częściej używać, to przywykniemy i nie będzie się wydawać aż tak nieporęczne)? Kanadyjska aktywistka Naomi Klein już lata temu pisała, że podczas gdy kapitał zbudował globalną koalicję, to demokracje pozostają narodowe, a więc słabsze i skazane na porażkę. Do równej walki może stanąć tylko globalny ruch obywatelski, a właśnie taki charakter ma młodzieżowy strajk klimatyczny. Czy kapitaliści zostaną zmuszeni, by w swoich tabelkach uwzględniać koszt usług świadczonych przez ekosystemy? A może raczej dojdzie do apokalipsy i rządzić będą już tylko najsilniejsi?

Kapitalizm bez demokracji

Fataliści są przekonani, że w związku ze słabnięciem liberalizmu, międzynarodowym porządkiem znów, jak w XIX w, rządzić będą siła i interesy. Głoszą, że sprawa jest przesądzona, wróciła geopolityka i dość prostacko rozumiany pragmatyzm. Chiny rosną w siłę i podważają porządek międzynarodowy, rzucają rękawicę amerykańskiej hegemonii i budują własne międzynarodowe porządki. Są już na tyle potężne, że rzeczywiście mogą podjąć równą walkę z amerykańskimi korporacjami, ale bynajmniej nie po to, by podważyć kapitalistyczną logikę, ale triumfować w jej ramach. Napędzana rewolucją technologiczną przyszłość, która rysuje się za chińskim horyzontem, może budzić skojarzenia z przerażającymi dystopiami, wystarczy poczytać o zamieszkałym przez Ujgurów Sinciangu.

Upojeni neoliberalizmem królowie życia lat 90. byli przekonani, że za liberalizacją gospodarki przybiegnie demokracja. Taka była ich wiara w świętą moc wolnego rynku. Tymczasem im bardziej Chiny się bogaciły, tym więcej wszyscy inni też chcieli zarobić i nie widzieli potrzeby uwzględniania w umowach praw pracowniczych, norm środowiskowych, ochrony własnych miejsc pracy czy lokalnych wytwórców. A kiedy już Chiny stały się gospodarczą potęgą i same zaczęły dyktować warunki, to uznali, że są przecież za słabi, by się mierzyć z tym krajem.

Fataliści są przekonani, że w związku ze słabnięciem liberalizmu, **międzynarodowym porządkiem znów, jak w XIX wieku, rządzić będą siła i interesy**

Przyszłość nie jest rozstrzygnięta

Ale to nie jest cały obraz. W cieniu prężących muskuły plutokratów trwa powolna mobilizacja ruchów, aktywistów i polityczek, którzy wzywają do strategicznego inwestowania w zrównoważone strategie rozwoju. Jedni nazwą ich beztroskimi idealistami, inni odpowiedzą, że ekologia i solidarność społeczna to inwestycja w stabilną przyszłość, a więc prawdziwy pragmatyzm. Ruchy ekologiczne nabierają rozpędu, pola nie ustępują też ruchy kobiece, które kwestionują systemy patriarchalne, często podważają logikę opartą na sile, również na szczytach władz, jak w Islandii czy Nowej Zelandii. To nie są spektakularne rewolucje, ale skromne i powolne marsze. Miłośnicy geopolityki i różnych wersji Realpolitik bagatelizują często ruchy i trendy społeczne oraz ludzką potrzebę wspólnoty i wolności. Tymczasem można argumentować na podstawie doświadczenia historycznego, że to tak samo naiwne jak ignorowanie bomby atomowej, zasobów ropy czy potencjału służb specjalnych.

Krytyka obecnego systemu politycznego przenika też, choć bardzo, ale to bardzo powoli, do tych, którzy mają najwięcej (pieniędzy, władzy czy wpływu). Widać to było chociażby na ostatnim Światowym Forum Gospodarczym w Davos, gdzie od kilku lat przywoływany jest temat rosnących nierówności. Dodatkowo w tym roku tradycyjnie towarzyszący temu zjazdowi na szczytach Global Risks Report jako największe ryzyka wskazał te związane z kryzysem klimatycznym. „Kapitalizm, jakim go znaliśmy, jest martwy" – ogłosił Marc Benioff, szef firmy software'owej Salesforce. „Nasza obsesja, by jedynie maksymalizować zyski akcjonariuszy, doprowadziła do ogromnych nierówności i planetarnego kryzysu". Nie należy mieć złudzeń, za tego typu deklaracjami zazwyczaj skrywają się sztaby od PR-u i CSR-u, wystarczyło posłuchać denialistycznego wystąpienia Donalda Trumpa oraz przeczytać kilka raportów o ekościemie największych korporacji, by otrzeźwieć. Ale jest nadzieja, że przyszłość nie jest jeszcze rozstrzygnięta.

Coraz bardziej prawdopodobne, że naprawdę żyjemy w czasach przejściowych, a to oznacza, że nowe porządki dopiero się rodzą. Z cytowanego wcześniej badania Edelmana wynika, że razem ze wzrostem zaniepokojenia i pesymizmu na całym świecie rosną też zaangażowanie i aktywizm. Zaufanie oraz poczucie sprawczości wydają się dziś kluczowymi dobrami. Alternatywą są rządy siły.

Agnieszka Lichnerowicz
jest dziennikarką, prowadzi program „Światopodgląd" w Radiu TOK FM. Absolwentka Szkoły Głównej Handlowej. Interesuje się transformacjami i ruchami społecznymi, polityką historyczną, polityką społeczną, ideologiami gospodarczymi i sprawami zagranicznymi, Jest laureatką Nagrody PAP im. R. Kapuścińskiego.

Kapitalizm, który nadzoruje

Z dwóch dystopii, które najmocniej odcisnęły swoje piętno na naszej wyobraźni: *1984* i *Nowego Wspaniałego Świata*. To ta druga zdaje się urzeczywistniać.

TEKST: PAWEŁ PIENIĄŻEK

Poczta nieustannie używana do celów prywatnych i służbowych; mapa, która wskaże ci drogę do kawiarni w nieznanym mieście lub zabytki do zwiedzenia; asystent przypominający ci o wszystkim; przydatne informacje o twoim śnie, zdrowiu, liczbie kroków i przebiegniętych kilometrach; wyszukiwanie, które podpowiada rzeczy na podstawie twoich preferencji – wszystkie te darmowe usługi ułatwiają i uprzyjemniają nam życie, trudno z nich zrezygnować czy wręcz wyobrazić sobie życie bez nich, ale mają swoją cenę. Są nimi twoje zachowania, a kontrola nad nimi daje coraz większe możliwości nie tylko w reagowaniu na potrzeby, lecz także ich kreowaniu.

Emerytowana profesorka Harvard Business School Shoshana Zuboff w wydanej w zeszłym roku książce *Wiek kapitalizmu nadzoru* kreśli obraz tego, do czego może nas doprowadzić rosnąca potęga Google'a, Facebooka i naśladowców z Doliny Krzemowej. Ma to być zmutowana forma kapitalizmu, w której człowiek staje się nie tyle produktem, ile twórcą danych i zachowań, dzięki którym można jeszcze bardziej napędzić zyski.

Co to jest?

Książka zaczyna się od definicji tej mutacji wpisanej tak, jakby miała zostać umieszczona w słowniku:

1. Nowy porządek ekonomiczny, który uznaje ludzkie doświadczenie za darmowy surowiec dla ukrytych praktyk handlowych pozyskania, prognozowania i sprzedaży

2. Pasożytnicza logika ekonomiczna, w której produkcja dóbr i usług jest podporządkowana nowej globalnej architekturze modyfikacji behawioralnej

3. Wroga mutacja kapitalizmu odznaczająca się koncentracją bogactwa, wiedzy i władzy na bezprecedensową skalę w ludzkiej historii

4. Fundamentalne ramy dla gospodarki nadzoru

5. Znaczące zagrożenie dla natury ludzkiej w XXI w, tak jak kapitalizm przemysłowy był zagrożeniem dla świata naturalnego w wiekach XIX i XX

6. Pochodzenie nowej władzy instrumentalnej, która zapewnia dominację nad społeczeństwem i przedstawia zaskakujące wyzwania dla demokracji rynkowej;

7. Ruch, który ma na celu narzucenie nowego kolektywnego porządku opartego na całkowitej pewności

8. Wywłaszczenie ważnych praw człowieka, co trzeba rozumieć jako pucz odgórny – obalenie ludzkiej suwerenności.

Johanna Svennberg / Getty Images

Zaczęło się od Google'a

Powstały w 1998 r. Google początkowo nie był zainteresowany reklamami, skupiał się tylko na wyszukiwarce, której usługi w wersji premium zamierzał sprzedawać klientom biznesowym. Dane wykorzystywał do jej ulepszania. Nie dało się tego jednak zrobić ze wszystkim. Te nieużyte dane to nadwyżka behawioralna, którą firma początkowo uważała za odpad.

Wszystko zmieniło się po pęknięciu bańki internetowej w 2001 r. Wiele firm, w tym Google, znalazło się w tarapatach. Wtedy postanowiły się zająć profilowanymi reklamami.

Wówczas w sukurs przyszła nadwyżka behawioralna. Zalegające na serwerach dane stały się niezmiernie użyteczne, by określić kraj zamieszkania, język, wiek, płeć czy zainteresowania użytkownika. Dlatego szansa, że ktoś kliknie w oferowaną przez Google'a reklamę, była dużo większa, niż że kliknie w te sztywne, zamieszczone przez inne firmy. Zyski Google'a eksplodowały. W trzy lata wzrosły o 3590 proc.

Ogromne zyski dały możliwość dalszego ulepszania narzędzi do pozyskiwania nadwyżki behawioralnej, aż stało się to samoulepszającą się maszyną, opartą na coraz bardziej złożonych mechanizmach. I coraz dokładniejszą.

Zmiana z 2001 r. dała początek kapitalizmowi nadzoru i siedem lat później rozprzestrzenił się on na Facebook. Z czasem ten model objął kolejne wielkie firmy, takie jak Amazon, a potem wyszedł daleko poza branżę. Obecnie praktycznie wszystkie produkty i usługi z dodatkiem „smart" czy oferujące personalizację wykorzystują i kolekcjonują przepływ zachowań. Wychodzi ze świata online do offline.

„Dawniej to my szukaliśmy w Google'u, ale teraz Google szuka w nas. Dawniej myśleliśmy, że usługi cyfrowe są za darmo, teraz kapitaliści nadzoru myślą, że my jesteśmy za darmo" – mówiła Zuboff „Guardianowi".

Gdy algorytmy wiedzą o nas coraz więcej,
my wiemy coraz mniej lub nie wiemy nic
o tym, jak one funkcjonują

Nowa gorączka złota

Jak podkreśla, trwająca rewolucja komunikacyjno-informacyjna jest zapewne najbardziej donośna od czasów wynalezienia druku przez Jana Gutenberga w 1439 r. Przez dziesiątki lat doniosłość tego odkrycia pozostawała niejasna. Dopiero z perspektywy czasu widzimy, jak wiele się zmieniło: wpłynęło na reformację, podważyło rolę Kościoła katolickiego, umożliwiło powstanie współczesnej nauki i zmieniło nasze mózgi.

Johanna Svennberg / Getty Images

Obecnie jesteśmy na etapie tych pierwszych dziesięcioleci i jeszcze daleko nam do zrozumienia skutków, jakie przyniesie. Choć półki uginają się od kolejnych książek o technologiach cyfrowych, to nie przybliżamy się do zrozumienia fenomenu, który dzieje się na naszych oczach. Ponadto ten system wciąż ewoluuje.

Zuboff uważa, że forma nadzoru to część długiej ewolucji kapitalizmu – od tworzenia produktów na masową skalę przez usługi i sektor finansowy po sprzedaż nadwyżki behawioralnej. Tak jak kolejne następujące po sobie formy kapitalizmu zastępowały swoje poprzedniczki, tak może być z wydawaniem w wersji nadzoru. Dążeniem tej najnowszej formy jest wyeliminowanie nieprzewidywalności, a przez to całkowite podporządkowanie sobie konsumentów, by zyski korzystających z usług kapitalistów nadzoru były gwarantowane.

Autorka *Wieku kapitalizmu nadzoru* przedstawia długą listę wyjaśnień, dlaczego tak łatwo gigantom technologicznym tak łatwo udało się zawłaszczyć nasze dane i zachowania. Głównym powodem jednak było to, że po prostu wzięli to, czego potrzebowali, a potem stwierdzili, że należy to do nich. Jak dawniej, gdy wbijano flagę na terytorium niczyim. Firmy te zawłaszczyły nasze dane i zachowania.

Teraz trudno zaistniałą sytuację odwrócić, bo gdy algorytmy wiedzą o nas coraz więcej, my wiemy coraz mniej lub nie wiemy nic o tym, jak one funkcjonują, o planach i decyzjach firm, które je rozwijają. Dlatego coraz częściej pojawiają się propozycje, by rządy i ludzie odzyskali kontrolę nad swoją prywatnością. Na przykład Komisja Europejska pod koniec 2020 r. ma ogłosić Kodeks usług cyfrowych, który w systemowy sposób podejdzie do problemu prywatności danych zawłaszczanych przez wielkie korporacje.

Zuboff przekonuje, że jest się czego bać. Jeśli kapitaliści nadzoru nie zostaną ograniczeni, będą poważnym zagrożeniem dla człowieka.

Radość bez wolności

Dwie XX-wieczne dystopie ukształtowały nasze wyobrażenia o tym, jak może wyglądać ponury świat. Pierwsza to *Nowy wspaniały świat* Aldousa Huxleya, druga – *1984* George'a Orwella. Orwell sądził, że świat powojenny może być gorszy niż ten, który doprowadził do II wojny światowej. Obawiał się totalitaryzmu, Wielkiego Brata, który nas zniewoli i będzie ciągle podglądał.

Zuboff swoją książką przekonuje jednak – choć nie pisze tego wprost – że zagraża nam przyszłość z książki Huxleya, a nie Orwella. To znaczy świat, w którym zostanie wybrane dla nas wszystko, co najlepsze. Życie będzie długie, przyjemne i radosne, będą spełniane nasze konsumpcyjne zachcianki. Zapanują pokój i porządek.

Ten świat, dzięki algorytmom znającym nasze zachowania lepiej od nas, zapewni nam wszystko, czego potrzebujemy. Tylko że wtedy to już nie my będziemy decydować o sobie.

Paweł Pieniążek
jest dziennikarzem współpracującym z „Tygodnikiem Powszechnym". Relacjonował wydarzenia m.in. w Afganistanie, Iraku, Syrii i na Ukrainie. Autor książek: *Po kalifacie*, *Nowa wojna w Syrii*, *Wojna, która nas zmieniła*, *Pozdrowienia z Noworosji*.

Franz Hubmann/Imagno/Getty Images

Ulica murem podzielona

Przed upadkiem muru berlińskiego na świecie było 15 murów granicznych. Dziś ich liczba szacowana jest na 77

TEKST: AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

Jako dziecko Markus Rindt miał jedno wielkie marzenie: przekonać się, jak wygląda świat za murem. Pragnął zdobyć pęk balonów, które pomogłyby mu wznieść się w powietrze i odlecieć daleko poza horyzont. Albo zamienić się w jelenia, by móc niezauważonym przekroczyć granicę, której ludziom przekraczać nie wolno. W końcu kto by chciał strzelać do jelenia. Albo wykopać tunel długi na wiele kilometrów. Byleby tylko pokonać mur.

Jego dziadkowie mieszkali w pobliżu Magdeburga w komunistycznej Niemieckiej Republice Demokratycznej – przy samym murze berlińskim, w strefie buforowej. Za każdym razem gdy mały Markus chciał ich odwiedzić, jego rodzice musieli się starać o pozwolenie.

To wtedy, podczas długich spacerów z dziadkiem wzdłuż muru, u Markusa rozwinęła się obsesja: wyjść poza ograniczony świat wschodnich Niemiec.

– To był płot z drutem kolczastym i miejscem pomiędzy jednym a drugim pasem muru, gdzie biegały psy. Wszędzie stały wieże ze strażnikami. Wyglądało to okropnie – mówi 52-letni dziś Markus Rindt, popijając kawę w restauracji w centrum Drezna. – Nie mogłem przestać myśleć o ucieczce, to było nie do wytrzymania. Jako nastolatek postanowiłem zostać muzykiem, bo wierzyłem, że jeśli dostanę się do dobrej orkiestry, to będę mógł wyjeżdżać – mówi.

Muzykiem został, ale jego orkiestra nie podróżowała. Musiał poradzić sobie inaczej. We wrześniu 1989 r. w wieku 22 lat wraz ze swoją dziewczyną, udając turystów, przedostali się do Czechosłowacji, by tam złożyć wniosek o azyl w ambasadzie Republiki Federalnej Niemiec.

Jego ucieczka zbiegła się w czasie z wielkim exodusem Niemców mieszkających po złej stronie muru na zachód. Tysiące ludzi okupowały ambasady w Polsce, Czechosłowacji czy na Węgrzech – z nadzieją na przedostanie się tam, gdzie wierzyli, że świat jest lepszy. Markusowi się udało. W październiku dotarł do RFN. Miesiąc później upadł mur.

Ucieczka i widok ludzi na dworcu w Kolonii, którzy witali uchodźców z uśmiechem i ciepłą herbatą, na zawsze wyryły mu się w pamięci i zdeterminowały sposób, w jaki patrzy na świat.

Sąsiad barbarzyńca

Przed upadkiem muru berlińskiego na świecie było 15 murów granicznych. Dziś ta liczba szacowana jest już na 77.

Murów zaczęło przybywać zwłaszcza po 11 września i ataku na World Trade Center. Globalizacja i łatwiejszy przepływ dóbr, ludzi i myśli zwiększyły liczbę zagrożeń – tych prawdziwych i tych wyobrażonych. Skurczenie się świata sprzyjało również przestępczości, terroryzmowi czy nielegalnym migracjom.

Mury miały cofnąć negatywne konsekwencje globalizacji, przy jednoczesnym utrzymaniu tych pozytywnych.

Ale mury to nie tylko budowle. To też stan umysłu i kreacja nowej rzeczywistości, w której rozróżnienie na „nas" i „nich" staje się krystalicznie czyste.

Mury kształtują nie tylko przestrzeń, lecz także tożsamość: zarówno tych, którzy się odgradzają, jak i tych odgradzanych. Rzeczywistość dzieli się na świat cywilizowany i świat barbarzyńców.

Mohammad A. Chaichian w *Empires and Walls: Globalisation, Migration and Colonial Domination* pisze: „Budowanie murów z jednej strony wskazuje na siłę i zdolność tych, którzy je budują, do dominacji, ale jednocześnie reprezentuje poczucie zagrożenia budowniczego i strach przed Innym".

Meksykańskie dzieci bawią się na plaży obok muru na granicy z USA. Bariera wdziera się w ocean, żeby uniemożliwić migrantom opłynięcie przeszkody

Zburz ten mur!

Pierwszy raz Markusa spotykam w 2017 r. w Tijuanie, meksykańskim mieście na granicy ze Stanami Zjednoczonymi. To tę granicę przekraczają migranci uciekający od biedy, przemocy i szukający lepszego życia na północy. I to tu, między innymi, prezydent Donald Trump zapowiedział wybudowanie „pięknego muru" – a raczej przebudowę istniejącego, który od dawna ciągnie się na długości około tysiąca kilometrów.

Markus, dziś dyrektor artystyczny i założyciel Drezdeńskiej Orkiestry Symfonicznej, stoi na scenie postawionej specjalnie na tę okazję. Tego dnia wraz z muzykami niemieckiej orkiestry gra tłum artystów z Meksyku i USA, łącznie około stu osób. Rindt apeluje do Trumpa tak jak Ronald Reagan apelował 30 lat wcześniej w Berlinie do Michaiła Gorbaczowa. „Zburz ten mur!" – woła.

Stawianie murów zawsze zwiastowało upadek imperiów

Megan Jelinger/SOPA Images/LightRocket/Getty Images

Setki ludzi zebranych w Tijuanie słuchają przemówienia Markusa i muzyki dochodzącej ze sceny. Dziesiątki innych zdobią istniejący płot graniczny kolorowymi hasłami, malunkami, symbolami. Wszyscy zebrali się w jednym celu – by skończyć z narracją podziałów.

Wysoki metalowy płot ciągnie się daleko w ocean. Ktoś przystawił do niego lustro, które sprawia wrażenie, jakby była w nim przerwa. To daje nadzieję.

Druga strona odpowiada

Stoję przy granicy. Na plaży po amerykańskiej stronie płotu stoi Estel Ribera. Proszę, by podeszła. Dziwi się, że tego dnia nie przyszło więcej Meksykanów mieszkających w Stanach, mur to przecież problem dla wielu z nich.

– My musimy migrować. Mój mąż i ja przyjechaliśmy do Stanów pracować. Mamy pozwolenie, ale mnóstwo naszych rodaków go nie ma. Żyją w ciągłym strachu, bo nie mogą swobodnie się poruszać, pokazać swojej twarzy i powiedzieć, że pracują w USA – mówi Estel. – Traktują nas jak kryminalistów, gwałcicieli i złodziei. A my tylko chcemy pracować, wspieramy gospodarkę.

Nieopodal Estel zwolennicy Trumpa zorganizowali swoją demonstrację. Rzucają obraźliwymi hasłami i starają się zagłuszyć muzykę dochodzącą z drugiej strony muru dźwiękiem syren podobnych do tych używanych przez straż graniczną łapiącą nielegalnych imigrantów.

W miejscu, w którym stoją, w amerykańskiej części Parku Przyjaźni, tego dnia

Trump nie wymyślił nic nowego. Na granicy z Meksykiem kontynuuje jedynie politykę swoich poprzedników **– tyle że w bardziej radykalnym stylu**

również miała grać muzyka. Amerykańskie władze nie zgodziły się jednak na koncert przy murze, tłumacząc się względami bezpieczeństwa. Władzom nie przeszkadza to jednak organizować innych wydarzeń po swojej stronie muru – tych bardziej dla nich wygodnych.

Choć przeciwnicy Donalda Trumpa na całym świecie podnieśli alarm przeciwko jego ksenofobicznej polityce i retoryce strachu, tak naprawdę obecny prezydent USA kontynuuje jedynie politykę swoich poprzedników – tyle że w bardziej radykalnym stylu. Zaledwie kilka miesięcy po upadku muru berlińskiego, budowa innej ściany rozpoczęła się w Kalifornii.

Historia trwa w najlepsze

W ostatnich latach mury zaczęły się pojawiać wszędzie: budowane są przeciwko migrantom próbującym dostać się do Europy (tak jak te w Hiszpanii, Słowenii czy na Węgrzech), przeciwko zagrożeniu ze strony Rosji (w Ukrainie, Estonii czy Łotwie), przeciwko zagrożeniu wojennemu i terrorystycznemu (jak w Turcji czy Izraelu). Murów można wyliczać całą masę.

Inne powstają wewnątrz krajów, dzieląc społeczności wedle klasy, rasy, zagrożenia. Mury antyromskie pojawiły się w Rumunii czy na Słowacji, lecz także w Polsce. Mieszkańcy jednego z zabrzańskich osiedli zdecydowali się odgrodzić od romskich sąsiadów, skarżąc się na uciążliwości wynikające z życia obok Romów. Inne mury rozdzielają bogatych od biednych, tak jak w Peru. Zagrożenie przychodzi bowiem nie tylko z zewnątrz. „Wróg" czai się wszędzie.

Również w Niemczech ludzie borykają się wciąż z onsekwencjami murowych podziałów. Markus martwi się, że mimo iż od upadku muru minęło już 30 lat, mur mentalny, który dzieli byłą wschodnią i zachodnią część Niemiec, nie upadł. W dobie kryzysu migracyjnego strach przed uchodźcami, strach przed obcym, jest w byłych Niemczech Wschodnich równie powszechny, co kiedyś niechęć do ucieczki.

– Ktoś mi kiedyś powiedział, że z murem jest jak z nieudanym związkiem. Jeśli go zburzysz, rozstaniesz się, potrzebujesz drugie tyle czasu, by się pozbierać. My też potrzebujemy czasu – mówi Markus. – W Lipsku, w Dreźnie i wielu innych miastach, które nie są zbyt wielokulturowe, ludzie nadal boją się obcych.

Lecz nawet w bogatych byłych Niemczech Zachodnich chęć dzielenia przestrzeni jest żywa. W 2016 r. mieszkańcy Neuperlach pod Monachium zdecydowali, że odgrodzą się murem (wyższym niż ten berliński) od wybudowanego tam ośrodka dla uchodźców. Planowano, że trafi do niego 160 nieletnich migrantów samotnie przebywających w Niemczech. Choć oficjalnie mur miał chronić okolicznych mieszkańców przed hałasem, wielu z nich przyznawało, że decyzja motywowana była strachem. Gdy ostatnio rozmawiałam z miejscowymi, nie chcieli, bym pisała o murze. Do ośrodka wprowadzono samotne uchodźczynie z dziećmi, a mur stał się symbolem kolektywnego wstydu.

Bo mur to strach. Po upadku muru berlińskiego świat miał się otworzyć. Miały zniknąć podziały, a swobody obywatelskie, demokracja, gospodarka neoliberalna i wszechobecny McDonald's miały dać początek powszechnej zgodzie i fukuyamowskiemu końcowi historii. Zburzenie muru symbolizowało koniec cierpienia, podziałów i niewoli. Od tej pory świat miał być otwarty i gościnny. To jednak szybko okazało się iluzją, a dziś już nawet sam Fukuyama nie wierzy w koniec historii.

David Speier/Nur Photo/Getty Images

Pod koniec 2016 r. w Neuperlach pod Monachium rozpoczęto budowę czterometrowego muru wokół obozu dla młodych uchodźców podróżujących bez opieki

Paranoja odgradzania

A może mury jednak mają sens? Może. Trudno odpowiedzieć na to pytanie jednoznacznie. Chaichian w swojej pracy o murach, w której analizował przypadki od Wału Hadriana do współczesności, twierdzi, że ich stawianie od zawsze zapowiadało upadek imperiów: „Mury graniczne i bariery są budowane, gdy dwa podmioty polityczno-ekonomiczne przekroczyły punkt, w którym mogą przetrwać osobno; podobnie do tamy, są zawsze częściowo przenikalne, pozwalając na kontrolowany przepływ populacji pod administracyjną kontrolą imperium". Mury są oznaką paranoi, gdy imperia tracą kontrolę nad tym, co się dzieje.

Cena, jaką płacimy za wznoszenie barier, bywa wysoka. I nie chodzi tu tylko o koszty ekonomiczne, które są oczywiście nie do pominięcia. Na przykład na granicy z Meksykiem, mimo ogromnych środków zainwestowanych przez Amerykanów w budowę fortyfikacji oraz walkę z przestępczością, najwyższej klasy technologię graniczną czy regularne patrole straży, nie zmniejszyły się ani nielegalna migracja, ani ilość narkotyków trafiających do Stanów.

Lecz to niejedyna cena, którą płacimy za mury. Im trudniej przekroczyć granicę, tym więcej osób będzie uciekało się do bardzo ryzykownych sposobów, by to zrobić. Przestępczość schodzi wówczas głębiej do podziemia, staje się bardziej ryzykowna, ale przynosi również więcej zysków. Mimo 30 lat inwestycji w mur amerykańsko-meksykański dziś w niektórych miejscach można pokonać granicę pieszo. Na innych odcinkach kartele narkotykowe i przemytnicy ludzi wynajdują coraz to bardziej wyszukane i niebezpieczne sposoby na przekroczenie granicy. Wybudowanie nowej, bardziej szczelnej fortyfikacji może utrudnić przemytnikom życie, ale na pewno nie zatrzyma ani transgranicznego czarnego rynku ani migracji.

Szczelna fortyfikacja najbardziej odbije się zaś na ludziach poszukujących lepszego życia, czego jesteśmy świadkami i dziś, gdy tysiące giną na morzu, próbując przedostać się do Europy. Kolejne tysiące okupują przepełnione obozy dla uchodźców w Grecji, Włoszech czy Libii często bez pomocy psychologicznej i podstawowych środków do życia, powoli tracąc nadzieję.

Pytanie, czy mury spełniają swój cel, pozostaje bez odpowiedzi. Należy jednak zadać jeszcze jedno: Czy warto je budować? W końcu mury istnieją, tylko dopóki jest polityczna wola, by dzielić świat na cywilizowany i barbarzyński. Gdy upadają, w zamieszkujących po drugiej stronie ludziach przestaje widzieć barbarzyńców.

Agnieszka Pikulicka-Wilczewska
jest dziennikarką i reporterką, współpracuje z „Holistic", Al Jazeera English i Eurasianet. Mieszka w Uzbekistanie.

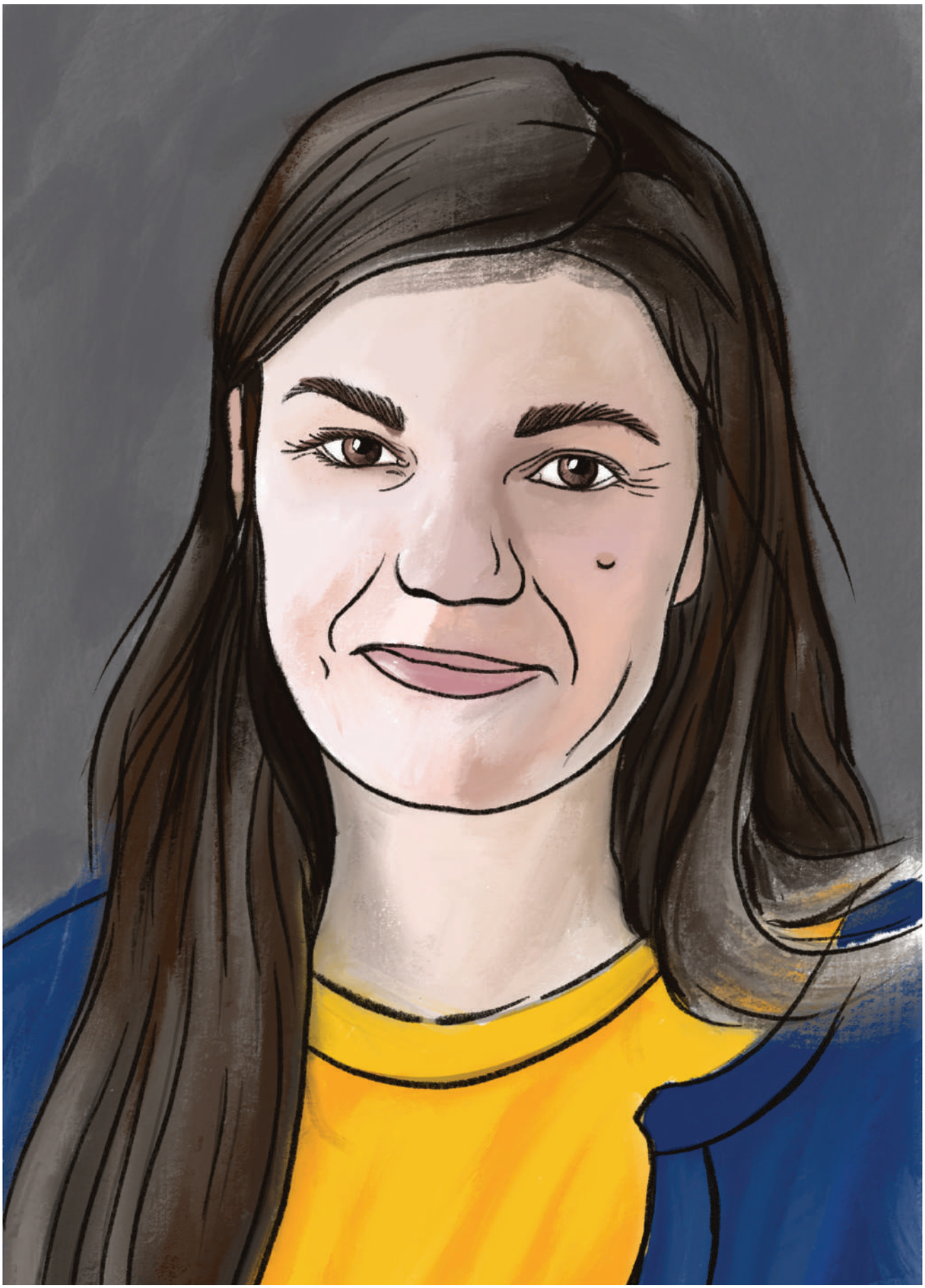

Posprzątać Amerykę

Żyjąca na granicy ubóstwa sprzątaczka opisała swoją historię i trafiła na listę bestsellerów „New York Timesa". Ale to, co spotkało Stephanie Land, w gruncie rzeczy mogło przytrafić się każdej młodej kobiecie

TEKST: JAKUB JANISZEWSKI

ILUSTRACJE: ARKADIUSZ KANTOR

Oto 28-latka, która zachodzi w ciążę z niedawno poznanym mężczyzną. Ona jest kelnerką w knajpie, on kucharzem. Oboje nie mają wyższego wykształcenia. Ona marzy o karierze pisarskiej, myśli o studiach, ale bez pośpiechu, jakby miała przed sobą jeszcze szmat czasu. On nie ma takich aspiracji.

Gdy rodzi się dziecko, oboje szybko odkrywają, że bycie razem to zły pomysł. On coraz częściej wpada we wściekłość. W końcu podczas jednej z awantur wybija pięścią dziurę w drzwiach przyczepy kempingowej, w której mieszkają. Ona wzywa policję, w jej asyście opuszcza partnera i namiastkę domu. Na rękach ma kilkumiesięczną córkę.

Tę historię opisze w książce *Sprzątaczka*, bestsellerze „New York Timesa", która w przekładzie Barbary Gadomskiej ukazała się niedawno nakładem Wydawnictwa Czarne.

9 dolarów nadziei

Potem sprawy toczą się bardzo szybko. Kobieta pomieszkuje kątem u ojca, ale i stamtąd musi się wynosić. Ojciec też stosuje przemoc, macocha jest ofiarą.

Nie ma dokąd pójść, więc trafia do organizacji wspierającej bezdomnych. Załatwiają jej schronienie na dwa miesiące, potem ma szczęście – dostaje mieszkanie, przejściowe, na dwa lata.

Przez aplikację randkową poznaje miejscowego farmera i niemal natychmiast się do niego wprowadza – tylko po to, by parę miesięcy później usłyszeć, że ma się wyprowadzić. Podczas ich krótkiej relacji zaczyna dorabiać jako sprzątaczka, zarabia 9 dolarów za godzinę, śmiesznie mało. Po ich rozstaniu te 9 dolarów za godzinę za szorowanie cudzych brudów stanie się jej jedynym źródłem utrzymania. Wynajmie małą kawalerkę, gdzie zamieszka razem z dzieckiem.

W kawalerce panuje nieznośna wilgoć. Latem trudno tu wytrzymać z gorąca, zimą jest jeszcze gorzej, tylko w drugą stronę. Niezależnie od pory roku, okno i ściany porastają czarną pleśnią – nikt nie powinien mieszkać w takich warunkach. Wkrótce ona i córka zaczną chorować na nawracające infekcje górnych dróg oddechowych.

Przez prawie 300 stron krążymy od kryzysu do kryzysu, od jednej zapaści finansowej do drugiej. O te zapaści nadzwyczaj łatwo, gdy ktoś musi utrzymać dwie osoby za niewiele ponad tysiąc dolarów miesięcznie. Wszystko może się w takiej sytuacji okazać pułapką bez wyjścia – choroba albo wypadek samochodowy, który zresztą przytrafił się Stephanie, odcinając ją na jakiś czas od możliwości zarobkowania. To opowieść o prowincjonalnych Stanach Zjednoczonych, miejscu, gdzie własne auto decyduje o społecznym funkcjonowaniu, a transport publiczny występuje w ograniczonym zakresie i z rzadka dojeżdża do wszystkich dzielnic. Sprzątanie na godziny oznacza zaś klientów nie tam, gdzie wygodnie, tylko tam, gdzie się trafi.

Głośna samotność

Sprzątaczka bywa porównywana do kilku innych słynnych amerykańskich książek o społecznym wykluczeniu. Najczęściej wspomina się oczywiście historie kobiece: *Uwolnioną* Tary Westover oraz *Za grosze: pracować i (nie) przeżyć* Barbary Erenreich.

Pierwsza, wydana w 2018 r., opowiadała przerażającą historię córki mormona odciętej od edukacji przez fanatycznie religijnego ojca. Ostatecznie dziewczyna wyrywa się z domu w wieku 17 lat, by po raz pierwszy przekroczyć próg szkoły. Finał jest oczywiście szczęśliwy – Tara Westover zdobywa doktorat na Cambridge.

W przypadku wydanej w 2001 r. książki Erenreich aż tak

szeroki uśmiech losu nie był konieczny. Znana reporterka i publicystka o lewicowym światopoglądzie przywdziewa kostium biedaczki i rusza w Amerykę, by pracować za najniższą pensję, na własnej skórze sprawdzając, jak to jest, gdy za cały dochód ma się pensję kelnerki, sprzedawczyni albo sprzątaczki właśnie.

Historia Stephanie Land plasuje się gdzieś pomiędzy. Jest zdecydowanie bardziej dramatyczna od tej, którą snuje Erenreich – w końcu przytrafiła się autorce naprawdę, a nie w kontrolowanych warunkach dziennikarskiego eksperymentu. Równocześnie wydaje się czytelnikowi bliższa niż opowieść Westover, bo jest pozbawiona ekscentryzmów. Land nie urodziła się w rodzinie ani szczególnie biednej, ani dotkniętej jakąkolwiek formą patologii. Była po prostu dzieckiem pary z uboższej klasy średniej, która nie zadbała o środki na jej edukację. Małżeństwo z czasem się rozpadło i rodzice – tak ojciec, jak i matka – weszli w nowe związki.

Stephanie przynależała do okresu „sprzed" i w nowej rzeczywistości stała się czymś pomiędzy wyrzutem sumienia a obciążeniem. Nowy partner matki postrzega ją jako roszczeniową nieudacznicę, ojciec nie radzi sobie z własną agresją podszytą rozpaczą i autodestrukcją. „Potrzebowałam ludzi", „brakowało mi wsparcia", „chciałam mieć rodzinę" powtarza się więc tutaj niemal na każdej stronie niczym przygnębiający refren. Samotność jest w *Sprzątaczce* czymś na kształt trzeciej, niemej, ale wciąż obecnej bohaterki.

Uniżona jałmużna

Dlaczego trzeciej? Bo miejsce drugiej zajmuje Mia, dziecko Stephanie. I ona też staje się wyrzutem sumienia dla swojej matki. O ile bowiem niedobory w wieku dorosłym frustrują i męczą, o tyle w dzieciństwie mogą zadecydować o dalszym rozwoju. Land doskonale o tym wie, co czyni jej życiową szarpaninę jeszcze bardziej dojmującą i desperacką.

W jednym z rozdziałów Land opisuje próbę wyegzekwowania na obsłudze sklepu sprzedaży organicznego mleka za środki z federalnego programu dożywiania. Listę możliwych do nabycia produktów właśnie ograniczono – w czasach kryzysu program przeżywał oblężenie, co doprowadziło do koniecznych cięć – ale mleko, które Stephanie kupowała, miało z niej zniknąć dopiero za dwa dni.

Sklep się pospieszył i usunął je z listy refundacyjnej przedterminowo. Wyjaśnienie tego banalnego nieporozumienia okazało się jednak aktem heroizmu – trzeba było wyłuszczyć sprawę kasjerce, ta musiała wstrzymać obsługę kolejnych klientów, wezwać kierownika zmiany. „Proszę, proszę" – komentowali z przekąsem klienci. W oczach lepiej sytuowanych Amerykanów pomoc społeczna to forma jałmużny, którą wypada przyjąć z pokorą i uniżeniem. Forma wychowawczej kary wymierzanej nieogarniętym obywatelom za błędne decyzje.

„Chciałam im wszystkim powiedzieć: »Pomoc społeczna nie istnieje, nie w takim sensie, w jaki się o niej myśli«" – pisze Stephanie Land, gdy jedynym wyjściem, by uskładać pieniądze na kolejną przeprowadzkę i opłacenie kaucji za wynajem okazuje się publiczna zbiórka wśród znajomych ogłoszona w mediach społecznościowych. „Żałowałam, że nie mam odwagi, by wystąpić w swojej sprawie, by przemówić w imieniu milionów osób, które walczą z takimi samymi trudnościami jak ja: samotnych rodziców pracujących za najniższe stawki. Zamiast tego się ukryłam. Po cichu zablokowałam Melissę na Facebooku i ignorowałam wszelkie komentarze czy media, które źle mówiły o ludziach na zasiłkach socjalnych" – dodaje.

Dakota jak Sudan

Ostatecznie – co nietrudno przewidzieć – Stephanie Land odnajduje wyjście z sytuacji. Odnajduje nawet głos, który wcześniej więzł jej w gardle. Kończy filologię angielską na uniwersytecie, zostaje dziennikarką, publikuje w najważniejszych amerykańskich tytułach. I pisze *Sprzątaczkę*.

Ale czy rzeczywiście przemawia w niej w imieniu milionów osób zmagających się z podobnymi trudnościami? Czy *Sprzątaczka* jest opowieścią uniwersalną? I czy naprawdę to głos dobywający się z dna amerykańskiej drabiny społecznej? Otóż nie, nic podobnego, choć dramatyczne losy Stephanie wydają się wystarczającym uwiarygodnieniem.

Przeczą same statystyki. Według nich zdrowi, zdolni do pracy Amerykanie stanowią tylko „wierzchnią warstwę" krajowego rezerwuaru biedoty. Zdecydowana większość z 40 mln ubogich (12 proc. populacji) to ludzie niezdolni do pracy z wielu przyczyn: od uzależnienia przez choroby psychiczne aż po ciężkie uszkodzenia ciała i ducha związane z przemocą.

Po drugie, amerykańska bieda ma ciemniejszy kolor skóry. Tylko 10 proc. białych wpada w tę kategorię, najwięcej – bo aż 22 proc., to Latynosi. Ich sytuacja, podobnie jak Azjatów, nie wydaje się jeszcze najgorsza. Plasują się poniżej progu ubóstwa jako uchodźcy, głodni amerykańskiego dobrobytu gastarbeiterzy. W kolejnych pokoleniach widać progres, przesuwają się w górę drabiny społecznej.

O wiele gorzej radzą sobie czarnoskórzy. 20 proc. z nich to biedota, nierzadko wielopokoleniowa. Te statystyki nie zmieniają się od lat 50., tu nie ma progresu tak widocznego jak w pozostałych grupach etnicznych. Gorzej jest tylko wśród ludności rdzennej. „W niektórych rezerwatach szacowany odsetek biedy wynosi 52 proc., a dla dzieci – 60 proc. W jednym z hrabstw Dakoty Południowej spodziewana długość życia jest niższa niż ta z Sudanu" – pisał w październiku 2019 r. w specjalnym raporcie o biednej Ameryce „The Economist".

Skaza na obrazie

Stephanie Land nie wspomina o tym ani słowem. Jej pamiętnik z czasów marnych jest wolny od jakichkolwiek wątków rasowych. To może wyglądać jak rodzaj politycznej poprawności, najwygodniejszy sposób ominięcia trudnego tematu.

Być może jednak – co bardziej prawdopodobne – akurat w Skagit County w stanie Waszyngton bieda była dużo jaśniejszej karnacji, niż to wynika z uogólnionych statystyk krajowych. Akurat w tym zakątku USA ponad 70 proc. to biali, ludność pochodzenia latynoskiego stanowi poniżej 20 proc. mieszkańców, czarnoskórych prawie tu nie ma.

Obraz kreślony przez Land nie musi być więc wykrzywio-

ny, ale ma skazę. Otóż głęboka niechęć, jaką Amerykanie darzą samą koncepcję pomocy społecznej, jest napędzana przez uprzedzenia rasowe, wizję, w której biali dają pieniądze niebiałym. Nie bez powodu Martin Gilens z Uniwersytetu w Princeton zatytułował swoją książkę *Dlaczego Amerykanie nienawidzą socjalu* (gdzie socjal robi za wolne tłumaczenie szerokiego pojęcia „welfare"). Przypadki takie jak Stephanie Land obrywają po prostu rykoszetem, płacąc cenę za rasowe uprzedzenia uprzywilejowanej warstwy, z której sami pochodzą. Sytuacja niełatwa, ale i nie niemożliwa do dostrzeżenia.

Obama poleca

Jest jeszcze coś. Coś, co niezawodna Barbara Erenreich poproszona przez wydawcę o napisanie wstępu do *Sprzątaczki,* wychwyciła od razu.

Otóż ta historia wcale nie musiała mieć szczęśliwego finału. Stephanie nie musiała stanąć na nogi. Przeciwnie, w jej sytuacji dużo bardziej prawdopodobny był przeciwstawny scenariusz obsuwania się w coraz większe nieszczęście. Wystarczyło, by o parę lat przedłużyć czas jej fizycznej eksploatacji. Robota sprzątaczki to ciężka harówa, kilka miesięcy i masz jak w banku problemy z barkami i kręgosłupem. Monotonne, jednostajne ruchy szmatką nie budują ani muskulatury, ani nie sprzyjają sprawności fizycznej. Gwarantują natomiast ból, z czasem nie do zniesienia. Wystarczy zanadto przyzwyczaić się do opioidowych leków uśmierzających albo pechowo spaść z drabiny i stracić sprawność fizyczną. Wówczas mogłoby się okazać, że powrót do relatywnie beztroskiego świata klasy średniej stanie się zwyczajnie niemożliwy.

O tym wszystkim Stephanie nie mówi. Pozornie nie musi. Jej książka jest osobistą historią, pamiętnikiem. To nie eseistyka, nie analiza społeczna czy polityczna współczesnych Stanów Zjednoczonych. Zresztą sama kronikarska warstwa tej opowieści robi kolosalne wrażenie, bo Land jest precyzyjna co do dolara. Ten rodzaj biedarachunkowości, precyzyjnego wyliczania, co ile kosztowało (i dlaczego prawie zawsze okazywało się za drogie), już sam w sobie ma moc polityczną, sprawia, że dyskusja o ubogich wpada nagle w ramy przykrego konkretu. Nic dziwnego, że Barack Obama – prezydent oskarżany przez Republikanów o socjalistyczne zapędy – umieścił *Sprzątaczkę* Land na swojej liście „tytułów na lato 2019".

Równocześnie jednak trudno się oprzeć irytującemu wrażeniu, że ktoś tu zanadto częstuje czytelników opowieścią o sobie, gdy wokół płoną lasy. Zapewne *Sprzątaczka* nie musiała być publicystyczna, ale to nie tłumaczy jeszcze braku jakiejkolwiek pogłębionej refleksji.

Owszem, Stephanie Land ma nieodpartą potrzebę przywoływania niemal wszystkich interakcji, jakie przydarzyły się jej w opisanym okresie, ale prawie zawsze okazuje się w nich niesłusznie poszkodowana. Jej działania zawsze tłumaczy wyższa konieczność (np. dziecko), błędy wynikają z miłości lub młodzieńczej nadziei. Przemyślenia i wnioski okazują się dramatycznie banalne, zupełnie jakby zajęta spisywaniem własnych losów, Stephanie nie miała w gruncie rzeczy na ich temat nic ciekawego do powiedzenia. Miejsce autorefleksji zajęła tu mocno narcystyczna autoreferencyjność.

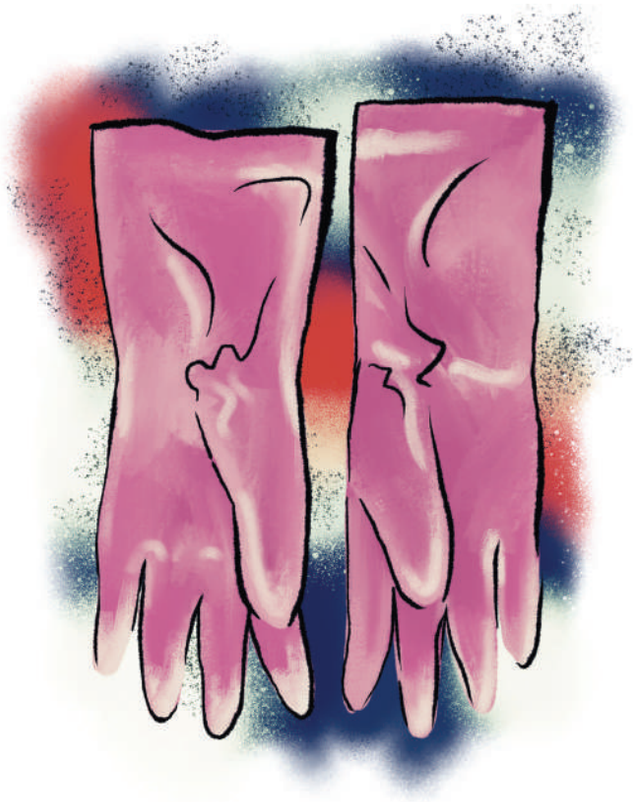

Marna forma, ciężka treść

Ostatni pisarski wyczyn Land zdaje się tę zasadę potwierdzać. W listopadzie na łamach „The Atlantic" opublikowała autobiograficzne opowiadanie, w którym dzieliła się z czytelnikami historyjką o tym, jak łamiąc wyznaczoną samej sobie zasadę „nigdy nie zatrudniać sprzątaczki" – jednak poszukała kogoś do pomocy. I znowu było to, czego w książce aż nadto: dużo lamentów nad stanem własnego zdrowia (kręgosłup boli), sporo hamletyzowania (jak mogłam!), ale i czysto merkantylne zdumienie, gdy znaleziona przez ogłoszenie Michelle za godzinę sprzątania krzyknęła 30 dolarów. Land nie oparła się jednak pokusie, by przypudrować swój nadszarpnięty wizerunek: zapłaciła o 10 dolców więcej, a w finale wygłosiła pełną skruchy samokrytykę. „Każdy czasem potrzebuje pomocy" – odpowiedziała wyrozumiale Michelle, puentując tym samym cały tekst.

Trudno powiedzieć, jakiego rodzaju sygnał chciał wysłać „The Atlantic", publikując tamten tekst. Dla bardziej wymagających czytelników *Sprzątaczki* ten rodzaj opisu nie będzie jednak zaskoczeniem. Mamy bowiem do czynienia z książką szczególną – marną w formie i ciężką od treści. To się właściwie nie zdarza, chyba że chodzi o listę niezbędnych zakupów z dołączonym stanem konta. *Sprzątaczka* Stephanie Land to prawie dokładnie to.

Jakub Janiszewski
jest dziennikarzem TOK FM.
Współpracownik „HOLISTIC.news".

Wszyscy święci od przekraczania granicy

Gwałciciel, przemytnik ludzi, członek gangu narkotykowego. To oni – ludowi święci bez szans na kanonizację w Watykanie – pomagają imigrantom idącym przez pustynię do USA

TEKST I ZDJĘCIA: OLA SYNOWIEC

Święci od przekraczania granicy mają ręce pełne roboty, bo w ubiegłym roku amerykańskie służby graniczne aresztowały milion ludzi. To najwięcej od 2007 r. Najwyraźniej groźby i szykany Donalda Trumpa – w tym niesławne oddzielanie dzieci od „nielegalnych" rodziców – nie działają tak, jak sobie amerykański prezydent wyobrażał.

Podczas naszej pieszej podróży z Panamy do Kanady, którą zakończyliśmy we wrześniu 2019 r., spotykaliśmy wielu „nielegalnych" – jak mówią o nich Amerykanie. Machali nam z dachu pociągu La Bestia, czasem przyłączali się na jakiś odcinek marszu. Rozmawialiśmy z nimi w ośrodkach pomocy dla migrantów. Spotykaliśmy też ludzi, którzy bezinteresownie im pomagali: rozdawali darmowe posiłki przy torach, gościli u siebie w domu.

Wszędzie po drodze, na przydrożnych ołtarzykach, muralach, obrazkach i w postaci świętych figurek, widzieliśmy nowych świętych, którzy, gdyby żyli, byliby zapewne zdumieni, że stali się patronami w tej akurat sprawie. Jak choćby święty Turybiusz.

Nawet u proboszcza pod koszulą

Na ścianie w stołówce wiszą dwa wizerunki: po prawej – Franciszka Cabrini, po lewej – właśnie Turybiusz Romo. Oboje to święci uznani przez Watykan. Ona – oficjalna patronka migrantów. On – nieoficjalny, ale bardziej popularny. To do nich dwojga, obok Boga, Jezusa Chrystusa i Matki Bożej z Guadalupe, modlą się migranci, którzy jedzą z nami śniadanie.

Jesteśmy w miasteczku Altar, w Społecznym Centrum Obsługi Migranta i Potrzebującego (CCAMYN). W całym Meksy-

O litościwy Luponie; proszę, byś mnie chronił; byś o mnie dbał i mi pomagał; gdy będę przekraczał granicę; z nadzieją w mojej duszy; oraz modlitwą do ciebie w mym portfelu (fragment piosenki El Plebe de Mexicali „El Compa Lupón" z gatunku corrido, czyli meksykańskich piosenek wychwalających bohaterów)

ku istnieje 56 podobnych placówek. Tę prowadzi miejscowy proboszcz, Prisciliano Peraza, którego nazywają zdrobniale ojcem Prisci. Usłyszał o nas od proboszcza z sąsiedniej miejscowości i zaprosił, byśmy zatrzymali się w ośrodku. Przez kilka dni śpimy w tutejszych dormitoriach i pomagamy w przygotowywaniu posiłków dla migrantów.

– Święta Franciszka Cabrini, z pochodzenia Włoszka, na przełomie XIX i XX w. otwierała sierocińce, szkoły i szpitale dla migrantów – wyjaśnia ojciec Prisci. Jakby lekko zawstydzony dodaje jednak, że święta Franciszka nie cieszy się w dzisiejszych czasach popularnością. Po czym... sam wyciąga spod koszuli zawieszony na szyi szkaplerz ze Świętym Turybiuszem.

Ksiądz Turybiusz Romo został rozstrzelany w 1928 r., w czasach brutalnych represji przeciwko Kościołowi katolickiemu w Meksyku. Wybuchła wtedy regularna wojna domowa między katolikami i rządem forsującym program sekularyzacji. Obrońcy wiary nazywali się cristeros. 26 męczenników z tamtego okresu, głównie księży katolickich, stanowi najliczniejszą grupę wśród meksykańskich świętych.

Węże, skorpiony i pająki

CCAMYN oferuje darmowe noclegi na maksimum trzy noce, chyba że stan fizyczny lub psychiczny gościa nie pozwala mu na opuszczenie ośrodka. Potem można przychodzić na posiłki przez nieograniczenie długi czas. Jeszcze wczoraj spało tutaj 30 osób, ale dzisiaj praktycznie wszyscy wyruszyli już na północ. Kilkanaście osób, które jedzą śniadanie w stołówce, to nowi.

Do granicy oddalonej o 100 km dowozi migrantów kontrabanda, potem idą 60 km pieszo przez pustynię. Teoretycznie powinni dotrzeć do celu w trzy dni, ale większości się to nie udaje. Gubią się, chowają przed amerykańską strażą graniczną. No i czyha na nich szereg niebezpieczeństw.

Na ścianach ośrodka są plakaty ostrzegające przed nimi. Jeden uczy rozpoznawać jadowite gatunki węży, skorpionów i pająków. Inny pomaga identyfikować kaktusy, które potrafią przebić nawet adidasy i bardzo ciężko je wyciągnąć, bo wbijają się pod skórę ostrymi haczykami. Na śniadanie przychodzi trójka młodych ludzi z Hondurasu, którzy chcą przekroczyć granicę w klapkach, ale szybko zostaje im to odradzone. W ośrodku jest pudło z ubraniami z darowizn, szybko znajdują tam sobie lepsze obuwie. Jest tu też mapa przejścia przez pustynię z zaznaczonymi punktami z wodą oraz lampami orientacyjnymi. Ale tam lepiej nie iść, tam czeka amerykańska straż graniczna.

Na mapie jest też mnóstwo czerwonych punkcików – oznaczają miejsce śmierci migrantów. Tutaj, na pustyni, główne przyczyny śmierci to odwodnienie, udary cieplne i hipotermia. Dalej na zachód – wielu topi się, przekraczając Rio Grande. Mogą trafić na nieuczciwych przemytników, złodziei, gwałcicieli, handlarzy ludźmi, sutenerów. Szacuje się, że od 2014 r., próbując przekroczyć granicę z USA, zginęło co najmniej 2,5 tys. osób.

Widma na pustyni

– To było osiem lat temu. Byłem już odwodniony, wyczerpany, kiedy go zobaczyłem. Szedł przez pustynię elegancko ubrany, w czarnym kapeluszu, wyprostowany, krokiem jak żołnierz – opowiada, wymachując rękami, siwy mężczyzna, który szykuje się do kolejnej próby.

– Na pewno diabeł – kwituje Mario, pochodzący z meksykańskiego stanu Veracruz. On też kilka lat temu próbował dostać się do Stanów. – Szliśmy i zerwała się ogromna ulewa – opowiada. – Zobaczyliśmy jaskinię, ale kiedy się do niej zbliżyliśmy, usłyszeliśmy dochodzące z jej wnętrza głosy, jakby śmiechy. To były duchy. Duchy tych, którzy próbowali granicę, ale po drodze zmarli – wyjaśnia. – Nie przeszliśmy przez granicę. To był znak, żeby zawrócić.

– To bardzo ciężka droga, ludzie w modlitwie odnajdują nadzieję. A tam, na pustyni, w słońcu, bez wody, zaczynają widzieć różne dziwne rzeczy – mówi nam po śniadaniu ojciec Prisci.

Od pustynnego majaku rozpoczął się też kult świętego Turybiusza. Pewien migrant wynajął przemytnika zwanego *coyote*, ale i tak miał pecha – namierzył go patrol straży granicznej. Udało mu się uciec na pustynię i zgubić goniących. Dopiero po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że pustynia może być jeszcze większym wrogiem niż *migra*. Nie miał jedzenia ani picia, był bliski udaru cieplnego.

– Wtedy pojawił się młody mężczyzna o jasnej karnacji – opowiada proboszcz. Dał mu wodę, jedzenie i trochę dolarów. Na pytanie, jak ma mu te pieniądze zwrócić, emigrant usłyszał: „Szukaj mnie w miejscowości Santa Ana de Guadalupe w stanie Jalisco".

Mężczyźnie udało się przebyć pustynię i osiedlić w Sta-

nach. Po latach zdecydował się wrócić do Meksyku, by spłacić dług spotkanemu na pustyni nieznajomemu. Pojechał do Jalisco i we wskazanej miejscowości zobaczył swojego wybawcę. Na fotografii w kościele. „Omal nie dostałem ataku serca, kiedy zobaczyłem zdjęcie mojego przyjaciela wiszące nad ołtarzem" – powiedział mężczyzna.

Okazało się, że człowiek spotkany przez niego na pustyni nie żyje od 1928 r. Historia zaczęła zataczać coraz szersze kręgi, a do świętego Turybiusza zaczęło się modlić coraz więcej migrantów. Co ciekawe, sam święty za życia był zdeklarowanym przeciwnikiem emigracji do Stanów. Napisał nawet sztukę teatralną pt. Jedźmy na północ, gdzie ostro krytykował Meksykanów szukających lepszego życia w USA.

Zarobić na imigrantach

Obrazki i szkaplerze ze świętym można kupić na jednym z mnóstwa stoisk dla migrantów otaczających rynek w Altar. Można znaleźć tu cały niezbędnik do przekraczania granicy – koce, ubrania w kolorze kamuflażu, masywne buty, bukłaki na wodę. Wydaje się, że całe miasto żyje z migrantów. W co drugim budynku są dla nich pensjonaty. Widać też mnóstwo ogłoszeń o tanich połączeniach telefonicznych do Ameryki Środkowej.

– Zdarza się, że przez Altar, które liczy 20 tys. mieszkańców, potrafi przetoczyć się 4-5 tys. migrantów dziennie – opowiada Sara, jedna z dwóch pracownic CCAMYN, która zabiera nas do centrum miasteczka. Odwiedzamy mobilny punkt Czerwonego Krzyża pomagający migrantom, gdzie Sara zostawia małe apteczki dla wybierających się na pustynię – oprócz kilku podstawowych lekarstw są tam też filtr do wody i izotoniki w proszku.

Pracujący tu Rafael sam kiedyś nielegalnie przeszedł granicę, a potem przez siedem lat mieszkał w Stanach. Na pustyni zamiast trzech dni spędził dwa tygodnie, zgubił się.

– Zupełnie się nie przygotowałem, wziąłem ze sobą za mało wody i jedzenia – opowiada nam. – W którymś momencie znalazłem w piasku puszkę tuńczyka. To był dla mnie znak od Boga, że mi się uda, że jestem już prawie u celu! – śmieje się. Ale zaraz dodaje, że dzisiaj już wie, iż konserwa nie została zesłana z niebios. – Po prostu ludzie, którzy wiedzą, że są już blisko celu, wyrzucają zawartość plecaków, żeby się odciążyć... – wyjaśnia.

12 tys. dolarów

Podłogę w punkcie Czerwonego Krzyża zamiata Arelí, młoda Gwatemalka, którą Rafael znalazł wczoraj na głównym placu miasteczka. Wyglądała koszmarnie, była odwodniona i niedożywiona. Podłączył ją do kroplówki, a ona w zamian za to uparła się, że dzisiaj mu dokładnie posprząta.

Kilkanaście razy na całej trasie zatrzymywały nas meksykańskie służby mundurowe. **Musieliśmy się wykupować, płaciliśmy po 500 pesos**

Dziękuję ci, Juanie Soldado, że byłeś mi przewodnikiem i obrońcą. Dzisiaj wracam, by oddać ci to, co dostałam, zostawiając ci tę ofiarę. Dziękuję, po tysiąckroć dziękuję. Ekwador – Tijuana – Nowy Jork. Catalina M.A. 10 sierpnia 2017 (ex voto, tabliczka zostawiona w kaplicy pamięci Juana Soldado na cmentarzu numer 1 w Tijuanie)

Dziewczyna została przemycona na pace ciężarówki. Cała droga z Gwatemali do Altar kosztowała ją 6 tys. dolarów plus łapówki.

– Kilkanaście razy na całej trasie zatrzymywały nas meksykańskie służby mundurowe. Musieliśmy się wykupować, płaciliśmy po 500 pesos [ok. 100 zł – red.] na osobę. Najgorsze było to, że te służby komunikowały się między sobą o tym, że jedziemy i że mamy pieniądze. Więc zatrzymywało nas coraz więcej i więcej patroli – żali się Arelí.

Rafael dodaje po cichu, że Arelí i tak miała kupę szczęścia. Szacuje się, że 6 na 10 migrujących kobiet pada ofiarami gwałtów. Gwałcą nie tylko członkowie gangów i karteli, ale także policjanci i pogranicznicy. Powszechne są też porwania, więzienie w burdelach. No i rabunki. Wszyscy wiedzą, że migranci wiozą ze sobą gotówkę, by zapłacić przemytnikom na granicy w USA.

Arelí będzie musiała zapłacić kolejne 6 tys. dolarów. Tutaj, w Altar, by dostać się do granicznego rancza Sásabe. Stąd będzie musiała już ruszyć pieszo.

Gdyby Arelí postanowiła zrezygnować i wrócić do Gwatemali, też musiałaby zapłacić. Minimum 1,5 tys. dolarów. Od migrantów, którzy się rozmyślili, też pobiera się haracz. Sara pokazuje nam samochód czuwający przy tutejszym wylotowym przystanku autobusowym. – Ten chłopak w środku sprawdza, czy ktoś wyglądający jak przybysz z Ameryki Środkowej nie próbuje za darmo wyjechać z miasta. Jeśli wjedziesz do Altar, tak łatwo stąd się nie wydostaniesz – wyjaśnia.

Idiotyczny mur nikogo nie zatrzyma

– Zasadniczo masz trzy opcje: albo płacisz 6 tys. za przekroczenie granicy, albo 1,5 tys. za wyjechanie stąd z powrotem do domu, albo... bierzesz ze sobą plecak. W plecaku jest 20 kg kokainy. Jeśli przeniesiesz ją przez granicę, dostaniesz 1,2 tys. dolarów – opowiada Araceli Celaya, dziennikarka, u której zatrzymujemy się w miejscowości Caborca w stanie Sonora.

Osoby z takimi plecakami nazywa się mułami. W miejscowości Cucapa pod sklepem spotykamy mężczyznę, który przemyt kokainy uczynił nie tylko tanim sposobem dostania się do Stanów, ale także sposobem na życie. Granicę przekraczał z 20-kilogramowym plecakiem już 25 razy, zna pustynię jak własną kieszeń. Za kilka dni wybiera się znowu.

Dziennikarka drwi z muru oddzielającego Meksyk i USA. – Dla chcącego nic trudnego, migranta ani przemytnika nie zatrzyma żaden durny mur – parska i wymie-

Zobaczyliśmy jaskinię, a potem usłyszeliśmy dochodzące z jej wnętrza głosy, jakby śmiechy. **To były duchy tych, którzy nie doszli, zginęli**

nia sposoby na jego przekroczenie. Można zrobić tunel pod, można przerzucić drabinę nad. Narkotyki przerzucano katapultą, używano nawet gołębi pocztowych. Dalej na wschód można przepłynąć Rio Grande.

Tutaj, na pustyni, mur praktycznie nie istnieje – wydmy zawiewają go tak, że gdzieniegdzie sięga na wysokość kolan, wystarczy po prostu zrobić przez niego krok. Większym problemem dla imigrantów są „coyotes", czyli szmuglerzy. Nie cieszą się dobrą opinią, bo naciągają, oszukują i okradają. Terroryzują całą okolicę. Akurat w czasie, kiedy gościmy w domu Araceli, dostaje ona telefon i jedzie relacjonować zabójstwo pięciu młodych osób grillujących w niedzielne przedpołudnie przed domem. – Po prostu podjechał samochód i wszystkich zastrzelono. Czwórka z nich nie miała absolutnie żadnych powiązań z gangami, co do powiązań piątego chłopaka sprawa jest niewyjaśniona – opowiada.

Dobry przemytnik

W przygranicznym świecie złych „coyotes" nie było trudno o romantyczną legendę o dobrym szmuglerze. Nosił ksywę El Lupón i dzisiaj jest kolejnym patronem od przekraczania granicy. Nie jest oficjalnym świętym katolickim, ale nie przeszkadza to migrantom modlić się do niego i stawiać mu kapliczki. Za swojego patrona uważają go także przemytnicy.

Podobno naprawdę nazywał się José Guadalupe Ibarra i był korpulentnym Meksykaninem z imponującym wąsem. Mieszkał w Los Angeles i pracował jako kierowca ciężarówki, którą w latach 70. i na początku lat 80. przemycał ludzi zza południowej granicy. Podobno, jeśli kogoś nie było stać na transport, przewoził go za darmo. Zwykł mawiać: „Proszę śmiało prosić, ten na górze jest moim kumplem".

Zginął 9 marca 1983 r. w starciu z patrolem granicznym podczas dużej akcji przemytu 200 osób, którym udało się zbiec i dostać do Stanów. W rocznicę jego śmierci obchodzi się obecnie co roku Dzień Lupóna. Nazywany jest on „panem dróg" i „opiekunem granicy", a na lokalnych przygranicznych targach z dewocjonaliami można kupić figurki z jego podobizną. Są też kadzidełka. Na ich odwrocie wydrukowano modlitwę o wstawiennictwo u jego kumpla, Boga, przy nielegalnym przekraczaniu granicy. Jest też przepis na mały rytuał na zrobienie ochronnego amuletu z ziół, kilku ziarenek pieprzu, wosku świec oraz malutkiej materiałowej torebeczki.

Święci dla wyrzutków

– El Lupón to jeden ze świętych ludowych, nieuznawanych przez Watykan – wyjaśnia ksiądz Nicolás Gómez, proboszcz parafii pw. Matki Bożej z Guadalupe w Caborce. – Są to tacy „święci dla wszystkich", także dla wykluczonych przez Kościół katolicki grup społecznych: przestępców, prostytutek, homoseksualistów. Oni też głęboko wierzą, a nie zawsze czują się w porządku, powierzając swoje nieczyste intencje Najświętszej Panience. Potrzebują kogoś, do kogo mogliby się pomodlić i komu mogliby się oddać pod opiekę...

Inni ludowi święci, którzy ostatnio zdobywają popularność, to Santa Muerte, czyli Święta Śmierć, oraz Jesús Malverde, nieoficjalny patron przemytników narkotyków, a za życia legendarny Robin Hood ze stanu Sinaloa. Jest też Santa María La Juaricua, która ma bronić przed gentryfikacją. Czasem też, jak w przypadku Turybiusza Romo, oficjalnym świętym dodaje się nowe funkcje. Na meksykańskich wsiach patronem homoseksualistów jest św. Sebastian, a deszcz pieniędzy ma przynieść św. Szymon, którego przedstawia się z papierosem w ustach. W ikonografii św. Juda Tadeusz, niezwykle popularny w Meksyku patron od spraw beznadziejnych, przedstawiany jest czasem z listkiem marihuany.

Ojciec Nicolás dystansuje się od ludowych świętych, ale ich popularność zdaje się traktować z pobłażającym zrozumieniem. Rozmawiamy przy torach kolejowych, gdzie migranci dostają posiłek. Ośrodka pomocy z prawdziwego zdarzenia w Caborce jeszcze nie ma, ale ojciec Nicolás postawił sobie za cel, że go stworzy do końca swojej posługi w tym mieście. Na komórce ma licznik dni, które mu jeszcze zostały. Jest dobrej myśli. – Śniadania rozdajemy trzy razy w tygodniu. To inicjatywa tutejszych seniorów, oni na zmianę gotują – mówi.

Tego dnia jest do wydania 167 posiłków. Większość nakarmionych pochodzi z Hondurasu, trochę z Gwatemali, głównie mężczyźni, ale są też młode dziewczyny z małymi dziećmi. W tym roku zanotowano rekordową liczbę rodzin próbujących przekroczyć granicę. – Większość z nich posłuży zapewne jako „muły" – mówi cicho ksiądz Nicolás.

Święty Turybiuszu, pomóż mi przekroczyć. Wstaw się za mną u Najwyższego Ojca, by chronił mnie w tej długiej drodze do odległych ziem. Niech sprawi, bym dotarł do celu, a moja rodzina, którą zostawiam w kraju, była bezpieczna pod moją nieobecność (modlitwa do świętego Turybiusza Romo, na odwrocie obrazka z jego podobizną)

Święty pedofil, gwałciciel i morderca

Juan Soldado, czyli Janek Żołnierz, nie jest świętym katolickim i nie ma szans nim zostać. Ale pomimo tego jest najpopularniejszym nieoficjalnym patronem nielegalnego przekraczania granicy. Jego płytki grób w ziemi z drewnianym krzyżem rozrósł się do kaplicy.

Naprawdę nazywał się Juan Castillo Morales i był żołnierzem batalionu stacjonującego w Tijuanie. W wieku 24 lat, 17 lutego 1938 r., został rozstrzelany na cmentarzu numer 1 w Tijuanie za gwałt i morderstwo na ośmioletniej Oldze Camacho. O ile w momencie wykonywania wyroku większość mieszkańców Tijuany nie miała wątpliwości co do jego winy, o tyle już wkrótce po jego śmierci przestało być to tak oczywiste. Wszystko dlatego, że na cmentarzu zaczęły dziać się dziwne rzeczy – plamy krwi na ziemi po rozstrzelaniu zaczęły się powiększać, a z grobu zaczęła wyciekać krew. Słyszano dziwne głosy, podobno to dusza Juana miała krzyczeć, że jest niewinna, domagając się sprawiedliwości. Jak odnotowuje lokalny dziennik, już pół roku po jego śmierci, w Święto Zmarłych 1938 r., na grobie żołnierza przystawał pomodlić się co drugi mieszkaniec Tijuany. Było tam o wiele więcej kwiatów i świec niż na grobie ofiary, małej Olgi.

– Ludzie opowiadają różne historie. Że wrobił go jego kapitan. Inni, że Juan przyłapał przełożonego na gorącym uczynku i zaniósł we własnych ramionach konającą Olgę do szpitala i dlatego to jego wzięto za winnego – mówi Enrique, który przed bramą cmentarza sprzedaje dewocjonalia z wizerunkiem Juana Soldado.

Gazety z tamtego czasu nie wspominają nic o kapitanie, ale podkreślają, że żołnierz nie miał sprawiedliwego procesu. Wyrok zapadł pośpiesznie, pod naciskiem tysięcy ludzi zgromadzonych pod fortem, gdzie przetrzymywano Juana, i pod wpływem zamieszek, które wybuchły z tego powodu w mieście. Jedynym dowodem winy żołnierza było jego przyznanie się do winy, a to mogło zostać na nim wymuszone, przesłuchujący mogli go też skusić perspektywą ułaskawienia, jeśli poda się za winnego.

– Mówi się, że dusze niesprawiedliwie skazanych na śmierć siedzą bliżej Boga. Dlatego pomagają spełnić tyle modlitw – stwierdza Enrique. Pytam go, czy wierzy w jego niewinność. – Kto ma to wiedzieć, to było tak dawno temu. Najważniejsze, że teraz Juan sprawia wiele cudów – odpowiada.

Na jego stoisku są figurki przedstawiające żołnierza, świece z jego podobizną oraz obrazki z modlitwą o udane przekroczenie granicy. Rodzina Enrique zajmuje się sprzedażą dewocjonaliów z wizerunkiem Juana Soldado od trzech pokoleń.

– Na początku modlono się do niego jedynie o codzienne sprawy: pieniądze, zdrowie, miłość. Ale kiedy zaczęli przybywać tu migranci, pojawiła się nowa intencja – o pomoc w dostaniu się do Stanów. Kupują u mnie ludzie z całego Meksyku i Ameryki Centralnej. Sporo też ostatnio Wenezuelczyków. Były panie z Kolumbii i Ekwadoru – opowiada. - Co roku 24 czerwca, w dzień św. Jana, są mariachis, tequila, piwo, tamales. Ludzie wypełniają cały cmentarz.

Społeczne Centrum Obsługi Migranta i Potrzebującego oferuje darmowe noclegi i posiłki. W Meksyku istnieje 56 takich placówek

Prawdziwi święci są bezimienni

W Tijuanie zatrzymujemy się u Brendy, młodej Meksykanki z serwisu CouchSurfing. Oprócz nas w jej domu gości także Reed, działacz społeczny z Kolorado, który przyjechał tu pomagać migrantom, oraz dwóch młodych mieszkańców Hondurasu, którzy przybyli tu z karawaną migrantów.

– Ośrodki pomocy nie mają dość miejsc noclegowych. Migranci koczują na ulicach, część dostała namioty. Ja mam wolny pokój, więc zaprosiłam po prostu dwóch chłopaków do domu. Podobnie zrobiło kilku moich znajomych – opowiada Brenda, która na co dzień pracuje jako telemarketerka oraz przewodniczka dla amerykańskich turystów.

Reed jest tu głównie dlatego, żeby informować migrantów o ich prawach, pomaga też w postępowaniach o przyznanie azylu politycznego. – Ci dwaj chłopcy, jak i wielu innych migrantów z Ameryki Środkowej, nie jedzie do Stanów za pieniędzmi, ale za bezpieczeństwem. W Hondurasie ludzie muszą płacić haracze, ich synowie są siłą wcielani do gangów, a ich córki zostają „dziewczynami" gangsterów – wyjaśnia Reed i dodaje, że większość osób próbujących przekroczyć granicę ze Stanami to już nie Meksykanie, ale właśnie migranci z Ameryki Środkowej, głównie z Hondurasu, Gwatemali, Salwadoru, a ostatnio także z ogarniętej wojną domową Nikaragui.

– Niestety na przyznanie azylu w USA czeka się miesiącami, a dostaje go jedynie 11 proc. ubiegających się – mówi Reed.

Amerykanin pomaga także w przygotowywaniu posiłków w jednym z ośrodków pomocy migrantom w Tijuanie. – Dostajemy dużo środków od organizacji amerykańskich, szczególnie od Border Angels z południowej Kalifornii – mówi Reed i dodaje, że za północną granicą działa wiele organizacji pomocy migrantom. Wolontariusze No More Deaths z Arizony i Water Stations z Kalifornii przeczesują pustynię, oferując migrantom pierwszą pomoc, zostawiając gdzieniegdzie wodę i jedzenie.

– Wyobraź sobie, że część z działaczy ma za taką działalność wytoczone procesy. Za zwykłą pomoc humanitarną! – mówi ze smutkiem. Ubolewa nad tym, że tak wiele osób przestaje widzieć w migrancie drugiego człowieka. – Ale wiarę dają mi te dziesiątki organizacji po obu stronach granicy, które pomagają migrantom. Tysiące ludzi takich jak Brenda. Te staruszki w całym Meksyku, które rozdają jedzenie przy torach. To są dla mnie prawdziwi święci od przekraczania granicy.

Ola Synowiec
jest reporterką, autorka m.in. książki *Dzieci szóstego słońca* (Wydawnictwo Czarne 2018). Mieszka w Meksyku.

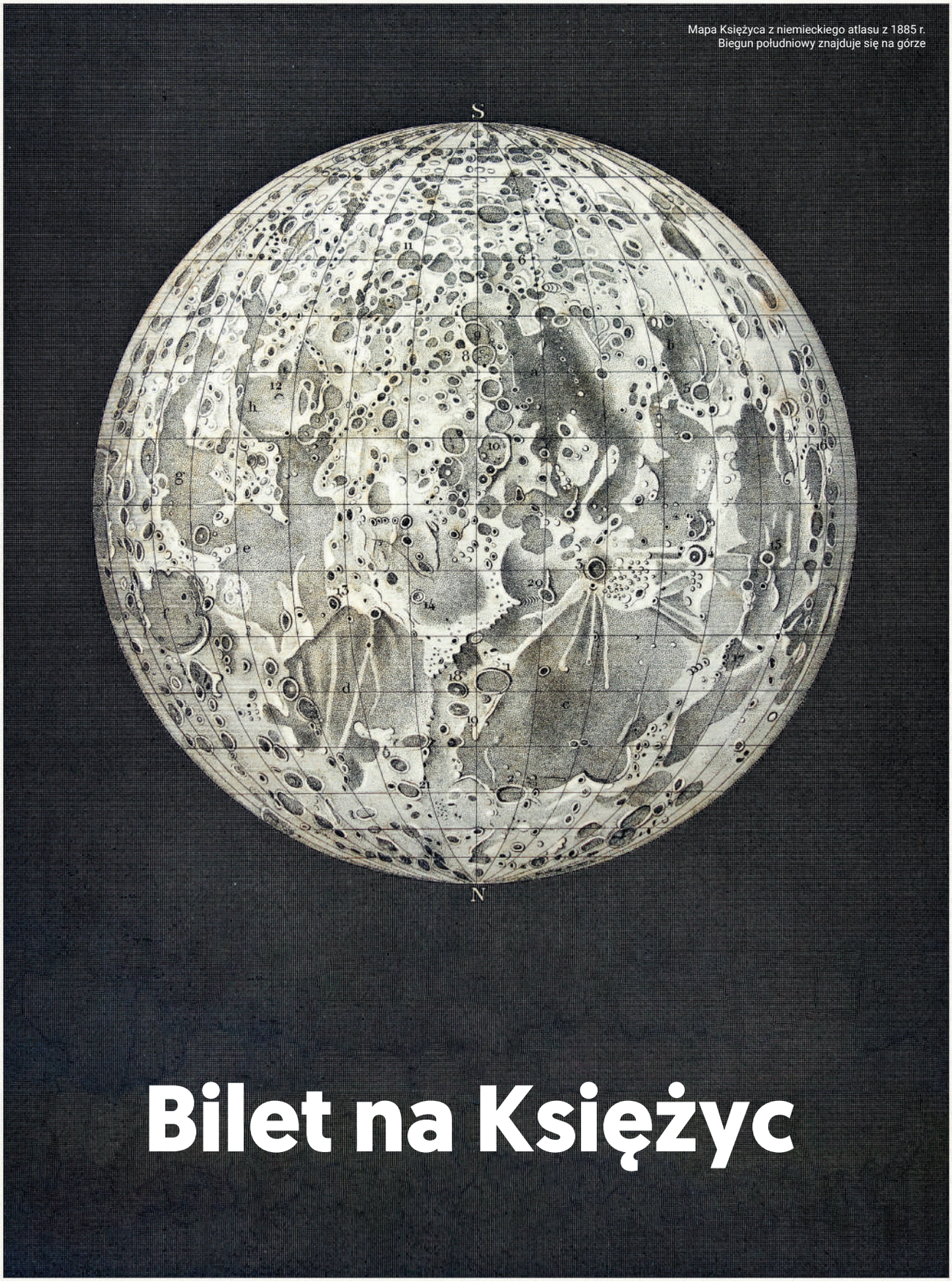

Mapa Księżyca z niemieckiego atlasu z 1885 r.
Biegun południowy znajduje się na górze

Bilet na Księżyc

Science Photo Library/East News

Pewnego dnia w roku 1964 Austriak Gerhard Pistor stanął w drzwiach biura podróży w Wiedniu i oznajmił, że chciałby zarezerwować bilet na Księżyc. Amerykańskie linie lotnicze Pan Am przyjęły rezerwację. Tak rozpoczął się jeden z najbardziej niezwykłych epizodów historii lotów w kosmos – opowieść o księżycowym marzeniu, które nigdy nie zostało zrealizowane

TEKST: ANNA MAŚLANKA

Pistor nie był jedynym, który jako turysta zapragnął postawić stopę na Księżycu. Po jego nietypowej prośbie linie Pan American otworzyły listę zapisów na pierwszy tego typu komercyjny lot. Do roku 1971 – kiedy wstrzymano przyjmowanie rezerwacji – znalazło się na tej liście prawie 100 tys. nazwisk z całego świata.

Dlaczego Księżyc tak bardzo pobudzał wtedy ludzką wyobraźnię? W jaki sposób stał się zbiorową utopią wszystkich narodów na Ziemi? I czy dziś mamy jakąkolwiek utopię tej miary? Te pytania zadaje w swoim filmie dokumentalnym *Bilet na Księżyc* czeska reżyserka i producentka Veronika Janatková. Temat przyszedł do niej niejako sam – rezerwacje zrobił też jej dziadek.

Jeden na Księżyc, poproszę

Pistor – człowiek, od którego wszystko się zaczęło – był zapalonym podróżnikiem. Kiedy zwiedził już niemal wszystkie kraje na świecie, zaczął myśleć o kosmosie. Do biura podróży w Wiedniu zawitał pięć lat przed tym, jak człowiek po raz pierwszy postawił stopę na Srebrnym Globie.

Prośba nie zbiła z tropu pracownicy biura. Po pobraniu od Pistora depozytu w wysokości 500 austriackich szylingów – w owym czasie równowartość 20 dolarów – zgodnie z jego życzeniem wysłała zapytanie do dwóch wielkich linii lotniczych, amerykańskich Pan Am i rosyjskich Aerofłot.

Rosyjskie linie nie potraktowały jego prośby poważnie. Odpowiedziały żartem, że wszystkie miejsca na pierwszy lot są już zajęte, ale zapiszą go na listę oczekujących, zapewniając również pokój w Hotelu Krater. W Pan Amie pomysł padł na bardziej podatny grunt. Jak głosi legenda, w nowojorskiej siedzibie firmy trafił on w ręce spragnionego rozgłosu prezesa Juana Trippe'a. Po dwóch tygodniach potwierdzono rezerwację.

Z filmów science fiction do rzeczywistości

Kilka lat później świat ogarnęła kosmiczna gorączka. Pan Am wykorzystał sytuację, reklamując możliwość rezerwacji biletów na Księżyc, i natychmiast został zalany zgłoszeniami. Jak mówił w 1989 r. w wywiadzie dla „Florida Sun Sentinel" Peter McHugh, wiceprezes Pan Am: „Po pierwszej rezerwacji pana Pistora wpływały kolejne zgłoszenia, ale nie było ich wiele. Prawdziwy zalew przyszedł po udanej misji Apollo 8 w grudniu 1968 r. oraz lądowaniu Apollo 11 na Księżycu w lipcu 1969 r. W ciągu tych kilku miesięcy koncepcja regularnych połączeń na trasie Ziemia – Księżyc z wizji rodem z filmu science fiction zmieniła się w coś całkowicie realnego".

Do roku 1971, kiedy wstrzymano przyjmowanie rezerwacji, rozdysponowano ponad 93 tys. biletów. Każdy posiadacz otrzymał kartę przynależności do klubu „First Moon Flights". Członkiem klubu został m.in. późniejszy prezydent Ronald Reagan.

Entuzjastów księżycowych wycieczek nie odstraszały ostrzeżenia Pan Am, że „ceny biletów nie są jeszcze znane – może się okazać, że są nie z tego świata" i że pierwszy lot to dość odległa w czasie perspektywa. Dla niektórych spośród członków klubu rezerwacja mogła być żartem lub obliczonym na efekt gestem, wielu z nich jednak naprawdę wierzyło, że prędzej czy później wylądują na Księżycu. „Jeśli chodzi o technologię, w latach 60. wszystko wydawało się możliwe" – mówi Robert Gandt, były pilot Pan Am i autor książki *Skygods: The Fall of Pan Am.*

Koniec księżycowych marzeń

Zgodnie z zapowiedziami Pan Am pierwszy komercyjny lot na Księżyc był spodziewany w okolicach roku 2000. „Możemy mieć lekkie opóźnienie" – powiedziała w roku 1989 dziennikarzom „The Washington Post" Elizabeth Manners, rzecznik linii lotniczych Pan Am. Zapewniła jednak, że lista jest wciąż przechowywana i zostanie wykorzystana, jeśli („kiedy" – poprawiła się po chwili) linie uruchomią regularne połączenia na tej trasie. 51-letni wówczas Pistor wyrażał obawę, że nie uda mu się odbyć upragnionej kosmicznej wycieczki, ale być może jego czteroletni syn, Alexander...

Niestety, dwa lata później Pan Am zbankrutował – i marzenia posiadaczy biletów na Księżyc legły w gruzach. Karty przynależności do klubu „First Moon Flights" stały się już tylko kolekcjonerską ciekawostką, którą można dziś oglądać m.in. w muzeum Smithsonian w Waszyngtonie.

Czechosłowackie ucieczki

Prośby o rezerwację biletu na Księżyc płynęły z całego świata. Łącznie przyjęto zgłoszenia z 90 krajów – w tym z Ghany, Islandii, Nowej Zelandii, Pakistanu, Ekwadoru... W roku 1969 jednak drugim (po Stanach Zjednoczonych) państwem pod względem liczby zarezerwowanych biletów była... Czechosłowacja.

Nie był to przypadek. Zaledwie rok wcześniej kraj ten najechały wojska Układu Warszawskiego, żeby stłumić demokratyczne reformy. Jak mówi w filmie *Bilet na Księżyc* Karel Pacner, ówczesny dziennikarz „Mladej Fronty", zdobywanie biletów na Księżyc stało się wówczas rodzajem narodowego sportu. Oraz gestem politycznym, ponieważ wszelkie sukcesy Stanów Zjednoczonych były dla Czechów i Słowaków zadośćuczynieniem za radziecką okupację. Ludzie chwalili się biletami w gospodach, uciekali w myślach na Księżyc od szarej komunistycznej rzeczywistości.

Jedną z takich osób był dziadek Veroniki Janatkovej, emerytowany fizyk Zlatěk Maršák. Reżyserka dowiedziała się o tym zaledwie kilka lat temu – choć zawsze była z dziadkiem blisko, nigdy nie wspomniał o swoim bilecie na Księżyc. Po odkryciu klubu „First Moon Flights" Janatková zaczęła się zastanawiać, czym było wówczas dla ludzi marzenie o Księżycu. I postanowiła zrobić o tym film.

Z żoną czy bez?

Pierwszym krokiem miało być dotarcie do archiwów Pan Am, co okazało się niełatwe – choć mowa o najpotężniejszych liniach lotniczych XX wieku, nie istnieje obecnie żadne oficjalne archiwum firmy. Zostało po niej zaledwie kilka zakurzonych skrzyń w bibliotece w Miami, do których reżyserka uzyskała dostęp. Prócz tego udało jej się nawiązać kontakt z innymi członkami klubu. W filmie opowiadają o wspomnieniach związanych z nabyciem biletu oraz o swoich motywacjach.

Jeff Gates, posiadacz biletu numer 1043, swój telefon do Pan Am w sprawie rezerwacji opisuje tak: „»Chciałbym zarezerwować bilet w dwie strony na Księżyc« – powiedziałem kobiecie po drugiej stronie słuchawki. Bez chwili namysłu odparła: »Dla ilu pasażerów?«. To była ich zwykła infolinia, zupełnie standardowa procedura. Uświadomiłem sobie, co właśnie robię – rezerwuję bilet do przyszłości". Poprosił o rezerwację dla siebie i żony. Gdy pracownica linii lotniczych zapytała o nazwisko żony, odparł: „Jeszcze nie wiem, nie jestem żonaty. Ale na pewno będę, gdy przyjdzie pora odlotu".

Gates, rezerwujący miejsce dla siebie i dla żony, której nazwiska jeszcze nie znał, to wyjątek. Większość członków klubu chciała polecieć na Księżyc sama. Zdarzały się również zamówienia: „jeden bilet powrotny, jeden w jedną stronę". Janatková tłumaczy, że dla wielu osób lot na Księżyc miał być ucieczką od problemów i toksycznych relacji. Jak mówi reżyserka: „Najczęściej chodziło o dwie rzeczy. Ci, którzy byli w komfortowej życiowo sytuacji, zwykle kierowali się ciekawością – chcieli poczuć, zobaczyć, doświadczyć czegoś nowego. Druga grupa chciała uciec. W związku z sytuacją polityczną albo osobistą, rodzinną".

> Nie chodziło tylko o eksplorację; ludzie wybiegali myślami ku Księżycowi, bo wydawał im się czysty i dziewiczy, niezniszczony i niepocięty granicami. **Był miejscem, gdzie można zacząć wszystko od nowa**

Posiadacze biletu z krajów Europy Środkowej uciekali przed historią lub rzeczywistością, w której nie mogli być tym, kim chcieli. Polski posiadacz biletu, który wystąpił w filmie Janatkovej, krakowski muzyk Jerzy Bożyk nie potrafił pogodzić się z tym, że w komunistycznej Polsce nie mógł grać ukochanego jazzu. Zapytana o motywacje swojego dziadka, reżyserka odpowiada: „Z pewnością historyczne wydarzenia – interwencja wojsk sowieckich – miały na dziadka duży wpływ. Nie bez znaczenia była również nasza historia rodzinna – ojciec dziadka, mój pradziadek, został zamordowany przez nazistów. Polityka i historia od zawsze mocno odciskały się na losach naszej rodziny, i być może to popchnęło dziadka do marzeń o czymś innym, o ucieczce".

Księżycowa utopia

W czasach zimnej wojny, gdy nad światem wisiała groźba wojny atomowej, wizja lotów na Księżyc była czymś, co łączyło bez mała całą ludzkość. Choć podbój kosmosu był konsekwencją wyścigu zbrojeń między USA i Związkiem Radzieckim, to amerykańskie lądowanie na Srebrnym Globie transmitowane było nawet w krajach komunistycznych.

Dziś badania nad kosmosem straciły takie znaczenie, pozostają zagadnieniem czysto technologicznym. „Realizacja filmu stała się dla mnie pretekstem, aby się zastanowić, jakie wspólne utopie mamy dziś. W dzisiejszym świecie nie

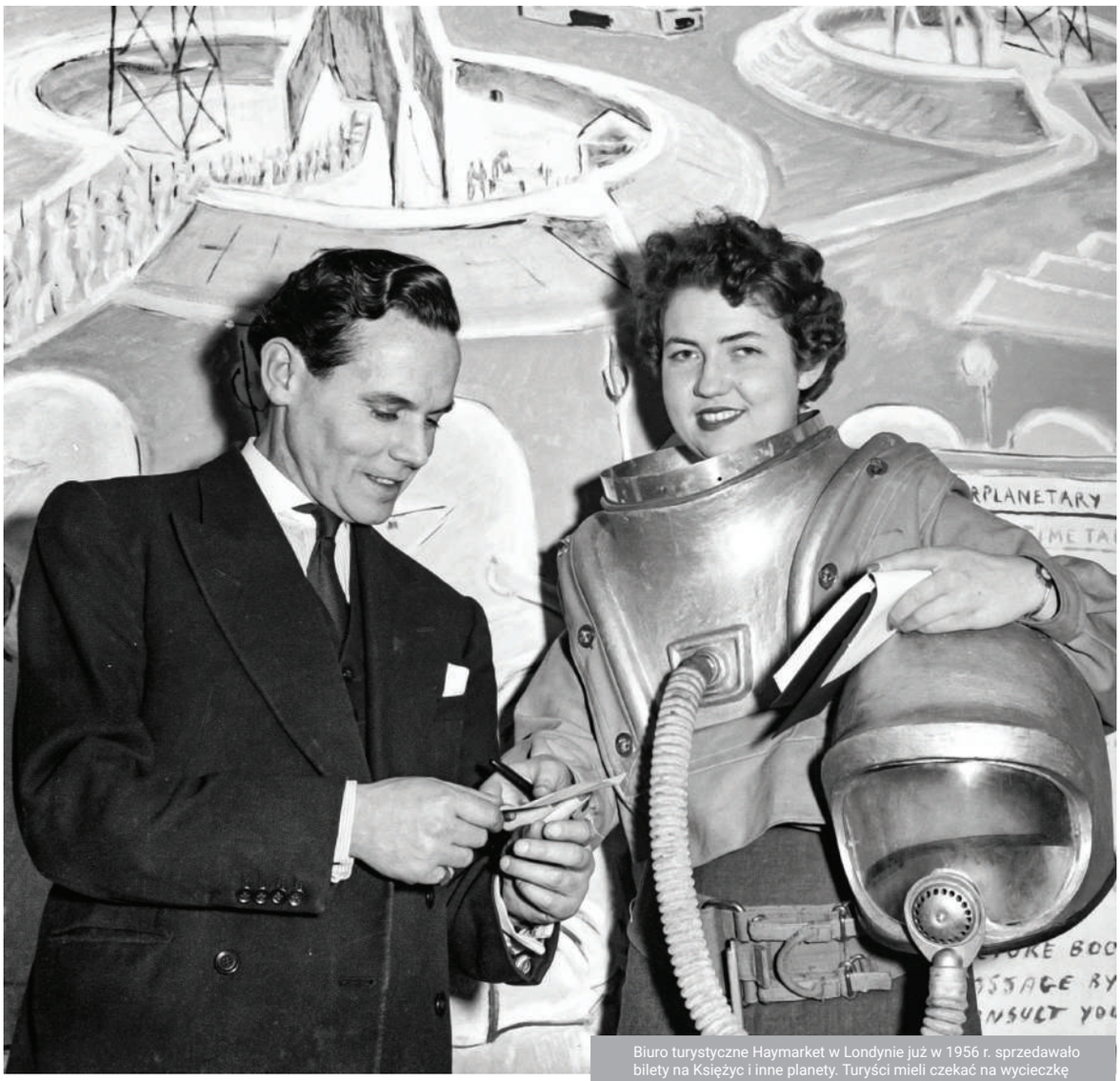

Hulton-Deutsch Collection/Corbis/Getty Images

Biuro turystyczne Haymarket w Londynie już w 1956 r. sprzedawało bilety na Księżyc i inne planety. Turyści mieli czekać na wycieczkę kilkadziesiąt lat. Jak dotąd żadna się nie odbyła

potrafimy mówić o sobie jako o jednym społeczeństwie, nie potrafimy iść razem w jednym kierunku. A zgodnie z romantyczną wizją lat 60. dostać się na Księżyc było wspólnym pragnieniem nas wszystkich. Księżyc był symbolem społecznego odrodzenia, utopią, którą dzieliliśmy" – mówi reżyserka.

Nie chodziło tylko o eksplorację i przekraczanie granic ludzkich możliwości; ludzie wybiegali myślami ku Księżycowi, bo wydawał im się nowym, wspólnym światem, czystym i dziewiczym, niezniszczonym przez cywilizację i niepociętym jeszcze granicami. Miejscem, gdzie wszystko możemy zacząć jeszcze raz, od nowa.

Kosmiczny wyścig zakończył się już w latach 70., a Księżyc dawno przestał być obiektem fascynacji. Zainteresowanie miłośników kosmosu przeniosło się częściowo na Marsa – członkami działającego dziś stowarzyszenia Mars Society są również dawni posiadacze biletu na Księżyc. Loty w kosmos przestały być jednak kwestią polityczną i społeczną. Dziś są to tylko marzenia grupki pasjonatów lub projekty komercyjne, jak wizje Elona Muska czy Richarda Bransona.

Tęsknota za czystym i dziewiczym

Czy zatem minął czas wspólnych utopii i marzeń o nowym, lepiej urządzonym świecie? Niekoniecznie. W październiku na Festiwalu Conrada w Krakowie reżyserka *Biletu na Księżyc* zdradziła, że myśli o nakręceniu drugiej części. O to, czy chcieliby polecieć na Księżyc, zapytałaby tym razem tych, którzy na Ziemi wciąż nie czują się jak w domu – imigrantów, uchodźców, osoby wykluczone, żyjące na marginesie społeczeństwa, w diasporach.

„Ludzie w gorszym położeniu chyba więcej myślą i marzą o szczęśliwej przyszłości niż przedstawiciele zadowolonej z życia klasy średniej" – mówi reżyserka. Być może niektórzy z nas wciąż potrzebują marzeń o Księżycu.

Anna Maślanka
jest bohemistką, krytyczką i tłumaczką. O czeskiej kulturze pisze na blogu Literackie Skarby Świata Całego oraz na łamach „Nowych Książek", „Przeglądu" i „Vogue Polska".

Drn/Getty Images

Ludobójcza noblistka?

Była sumieniem świata, ikoną demokracji, inkarnacją Gandhiego, niemal świętą. Dziś Zachód w pokojowej noblistce z Birmy widzi azjatycką Lady Makbet i oskarża o ludobójstwo

TEKST: MICHAŁ LUBINA

Pod koniec 2019 r. Gambia w imieniu 57 państw muzułmańskich oskarżyła Birmę przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości w Hadze o ludobójstwo na ludności Rohingya. Aung San Suu Kyi wystąpiła w obronie swojego kraju. Sprawa jest w toku.

Aung San Suu Kyi jest córką Aung Sana, założyciela współczesnej Birmy. Ta 74-letnia dziś kobieta o klasie porównywalnej tylko z brytyjską królową i władająca oksfordzkim angielskim godnym absolwentów Eton długo walczyła ze zbrodniczą birmańską juntą wojskową. Piętnaście lat spędziła w areszcie domowym, tracąc rodzinę, najbliższych przyjaciół. Wówczas z pasją mówiła o walce bez użycia przemocy, udowadniała zgodność demokracji z buddyzmem i wzywała do „wolności od strachu". W 1991, symbolicznym roku zmiany światowego porządku, otrzymała Pokojową Nagrodę Nobla.

Gdy w końcu w 2015 r. doszła do władzy, świat liczył na happy end. Ale bajka o dobru i złu się skończyła. Wojsko rządzonego przez nią kraju wygnało do Bangladeszu ponad 700 tys. muzułmanów Rohingya, dopuszczając się zbrodni przeciw ludzkości, a może nawet ludobójstwa. Suu Kyi nie powstrzymała masakr. Milczała, a następnie poparła armię. Potem uwięziła nagrodzonych Pulitzerem dziennikarzy Reutersa opisujących wojskowe zbrodnie. W ten sposób w oczach świata stała się upadłą ikoną, zdrajczynią sprawy, birmańską wersją Roberta Mugabego.

Majakowski pisał o Birmie

Tak na ogół kariera Suu Kyi wygląda w oczach zachodnich i bliskowschodnich mediów głównego nurtu, od „The Washington Post" po „Al Jazeerę". Jedynie moralne potępienie raz bywa większe, raz mniejsze. O ile opis jest podobny, o tyle różne odpowiedzi padają na trudne pytanie o transformację polityczki: dlaczego wczorajsza „ikona demokracji" jest nagle rządzącą twardą ręką autokratką? Dlaczego zgadza się na czystkę etniczną milionowej mniejszości, nie pozwala posłom swojej partii wypowiadać się dla mediów, nie toleruje głosów krytycznych i sankcjonuje uwłaszczenie wojskowej nomenklatury?

Część komentatorów idzie na łatwiznę, pisząc, że Suu Kyi się zmieniła. W końcu, jak dowodził lord Acton, władza korumpuje. Może jest coś na rzeczy: władza istotnie psuje nawet tak zdyscyplinowane osoby jak Suu Kyi, która na dodatek nie ma nikogo bliskiego, kto szeptałby do ucha „Pamiętaj! Jesteś tylko człowiekiem".

Ale to zbyt proste wytłumaczenie, a Birmanka po dojściu do władzy wcale nie zmieniła się tak bardzo. Już wcześniej rządziła swoją partią, Narodową Ligą na rzecz Demokracji (NLD), tak jak teraz rządzi państwem: autorytarnie. Na przykład w 1999 r., lata już po otrzymaniu pokojowego Nobla, zakomunikowała członkom swojego ugrupowania: „Zgodnie z naszymi zasadami demokratycznymi, każdy ma prawo do swoich przekonań, niezależnego myślenia i wolności słowa. Ale jeśli ktoś działa w sposób nielojalny, nadużywając tych praw, to jest renegatem i zdrajcą. W czasie gdy potrzeba wielkiej lojalności, nie będzie wyjątków dla nielojalności". I tak się stało, wszyscy dysydenci zostali usunięci z partii, zaś NLD stała się birmańską trawestacją wiersza Majakowskiego: „Mówimy – Suu Kyi, a w domyśle – partia, mówimy – partia, a w domyśle – Suu Kyi".

Od początku swojej kariery Suu Kyi świadomie dąży do zrealizowania ideału politycznego jej ojca: „Jeden naród, jedno państwo, jedna partia, jeden przywódca. Żadnej opozycji, żadnych nonsensów indywidualizmu". I Zachód o tym wiedział, gdy przez 30 lat czynił z niej ikonę demokracji. Przymykał oczy na widoczne dowody jej autorytarnych zapędów w imię zasady: ważna jest demokracja, a cel uświęca środki.

Kto tu jest diabłem

Inni proponują bardziej makiaweliczne wytłumaczenie pozornej transformacji pokojowej noblistki. Zgodnie z nią Suu Kyi nabrała świat, grając kogoś innego niż była. Obłudnie prezentowała liberalne wartości Zachodowi w duchu maksymy Oscara Wilde'a: „Ludzie zawsze głoszą te wartości, których sami nie wyznają". Dopiero kryzys Rohingya odsłonił ponurą rzeczywistość: Suu Kyi to polityczna realistka. Raczej birmańska Indira Gandhi niż Mahatma Gandhi.

Nie sposób zupełnie odrzucić tę interpretację: żądza władzy jest u Suu Kyi ewidentna nie od dziś, byłaby zdolna do takiej intrygi.

A jednak oskarżenie o hipokryzję jest niesprawiedliwe. Suu Kyi wierzy w to, co głosi, a głosi, że ma moralną rację. I – co ważniejsze – wierzy, że jej idee są demokratyczne. Poza tym, skoro miałaby być taką realistką, to dlaczego nie dogadała się z generałami wcześniej? Miała wiele okazji, nieraz oferowali jej nawet więcej niż to, na co ostatecznie przystała w 2011 r. To wówczas porozumiała się z armią, a po niemal pół wieku rządów junty, władzę przejęli cywile.

Nie, ta wersja nie tłumaczy wszystkiego: polityka Suu Kyi wypływa z osobistego przekonania o misji i powinności, a to wiele z realizmem wspólnego nie ma.

Jeszcze inni portretują Suu Kyi jako niedoświadczoną polityczkę, która dała się ograć generałom, weteranom Realpolitik. Według tej wykładni wszystko, co nastąpiło po 2011 r. było smutną, nieuniknioną konsekwencją „paktu z diabłem".

Ta wersja to próba obrony idealistycznego obrazu Suu Kyi sprzed 2011 r. Jest ona spójna intelektualnie, ale nie pasuje do faktów. Suu Kyi była bowiem w pełni świadoma, na co się pisze. Z diabłem zresztą paktowała od początku, również wtedy gdy Zachód miał ją za anioła. Tylko wcześniej dogadać się nie zdołała.

Wyrok za komentarz

Jest wreszcie i birmańska odpowiedź na pytanie o karierę Suu Kyi, podzielana przez zdecydowaną większość tamtejszego społeczeństwa. Dla Birmańczyków obecna przywódczyni to „matka narodu". Wszystko co robi, robi dla swoich dzieci, poświęca się i dba o nie. Inaczej to wyrażają prości ludzie, inaczej intelektualiści, ale przekaz jest prosty: ręce precz od matki!

Birmańczycy reagują z wyjątkową furią na najłagodniejszą nawet krytykę Suu Kyi ze strony zagranicy. Gdy wyszła moja książka o myśli politycznej Suu Kyi, ponad 3 tys. Birmańczyków „dało jej odpór" na Facebooku, wyrzucając mi zachodnią ignorancję i nakazując milczenie. Ale i tak nie mogę narzekać: bardziej krytycznym autorom tekstów o Suu Kyi grożono śmiercią albo zakazano wjazdu do Birmy.

Między sobą, z dala od obcokrajowców, niektórzy Birmańczycy pozwalają sobie na krytykę Suu Kyi, ale narażają się w ten sposób na społeczny ostracyzm lub reakcję władz. Za krytyczne komentarze pod adresem przywódczyni na Facebooku kilka osób już wsadzono do więzienia.

Peter Nicholls/WPA Pool/Getty Images

> Na Dalekim Wschodzie istnieje wielowiekowa tradycja przyjmowania, asymilacji i przekształcania obcych idei w taki sposób, że po czasie niewiele przypominają oryginał.
> **W Birmie nierzadko można usłyszeć, nawet wśród ekspertów, że najbardziej demokratycznym państwem świata jest Singapur**

Demokracja użytkowa

Żadna z przytoczonych narracji nie tłumaczy jednak zagadki birmańskiej noblistki. Może więc szkopuł tkwi w tym, że Birmańczycy inaczej rozumieją zachodnie idee demokratyczne, prawa człowieka? Wszak, gdy ktoś w Birmie odważy się już na krytykę Suu Kyi, nie osądza jej za „zdradę demokratycznych ideałów". W ich oczach nie jest ona autokratką. Krytykują ją za coś innego: za „grubą kreskę" wobec armii. Birmańczycy chętnie widzieliby wszystkich generałów na szubienicach, a tymczasem Suu Kyi w imię „pojednania narodowego" się z nimi dogadała.

Na Dalekim Wschodzie istnieje wielowiekowa tradycja przyjmowania, asymilacji i – co najważniejsze – przekształcania obcych idei tak, że po czasie niewiele przypominają już pierwowzór. W nowożytności dała ona o sobie najpełniej znać w epoce kolonialnej. Wówczas dalekowschodni reformatorzy – inaczej niż Atatürk w Turcji czy Reza Pahlavi w Iranie – nie uznali westernizacji jako jedynej gwarancji sukcesu, lecz postawili

W 2013 r. Aung Sang Suu Kyi spotkała się z kadetami ze słynnej brytyjskiej akademii wojskowej Sandhurst. Mówiła im o znaczeniu pokoju i pojednania w Irlandii Północnej

na eklektyzm ideowy. Decydowali się więc na modernizację techniczno-technologiczną, nie godząc się na dogłębną przemianę tożsamościową. Tak było w Japonii, Chinach, Tajlandii, Singapurze, Malezji, Indonezji, Kambodży, Wietnamie i Laosie.

We wszystkich tych miejscach zachodnie idee, w tym demokracja, nie są wartościami samymi w sobie, lecz narzędziami służącymi do osiągania celów – jednostkowych, klanowych, plemiennych, etnicznych czy narodowych.

Birmańczykom co prawda nigdy nie udało się zbudować sprawnego państwa, ale wspólne dla regionu myślenie wryło się w ich psyche. Na przestrzeni ostatniego półtora wieku wszyscy tamtejsi przywódcy traktowali płynące z Zachodu ideologie jako środki do osiągnięcia zmieniających się celów: najpierw była to obrona kraju przed kolonializmem, potem odzyskanie niepodległości, następnie odbudowa przedkolonialnej wielkości kraju. Postawa ta pozwalała twórcy niepodległości kraju (i, powtórzmy: ojcu Suu Kyi) Aung Sanowi być najpierw socjalistą, następnie komunistą, faszystą, antyfaszystą i w końcu demokratą (to wszystko w ciągu ośmiu lat!). Jego następcy nie pozostawali mu dłużni i również asymilowani modne po wojnie idee socjalistyczne.

Medytacja uzdrawia służbę publiczną

Dokładnie to samo czynią współcześni politycy birmańscy z najważniejszą globalną ideą ostatniego półwiecza – demokracją. Armia birmańska nazwała swoje rządy „zdyscyplinowaną demokracją" (termin w takim brzmieniu wpisano do konstytucji). Z kolei Suu Kyi demokrację rozumie jako moralną wartość zbudowaną dzięki samodoskonaleniu się jednostek. Według niej to wewnętrzna praca nad sobą prowadzi do etycznego zachowania, odpowiedzialnego wykorzystywania praw oraz do ideału: jedności w osiągania wspólnego celu, rozwoju Birmy. Ludzie muszą być dobrzy, by stworzyć dobry rząd.

To podejście wymusza dyscyplinę. W Birmie prawa człowieka pojmowane są inaczej niż na Zachodzie. Rozumie się je raczej jako przywilej, którego ktoś musi udzielić, na pewno nie są przyrodzone i niezbywalne. Inaczej widzi się też proces wyborczy: jako wybór najlepszego (w sensie moralnym) kandydata. To wyraźne nawiązanie do buddyjskiej tradycji Maha-Sammaty, legendarnego pierwszego króla całej ludzkości, wybranego gdyż był najuczciwszy.

Wyniki wyborcze partii Suu Kyi – 80 proc. w 1990 r. i 78 proc. w 2015 r. – ewidentnie dowodzą, że obecna przywódczyni przez znaczną część społeczeństwa rzeczywiście jest traktowana jak współczesny Maha-Sammata. W tym układzie ludzie wybierają raz a dobrze, potem nie mają już jednak żadnego wpływu na rządzenie. Dokładnie taką postawę przyjmuje Suu Kyi.

Zachodnie instytucje czy system kontroli są tylko zewnętrzną powłoką, wtórną wobec podstawowej, moralnej konieczności. Taka moralność pozwala obecnie Suu Kyi rządzącej Birmą głosić narodowi coś, co można nazwać zbirmanizowanym przesłaniem Kennedy'ego: „Nie pytaj co kraj może zrobić dla ciebie, lecz co ty dla kraju". To dlatego Suu Kyi zakomunikowała służbie cywilnej – powszechnie skorumpowanej – że w walce z łapownictwem znacznie lepszym sposobem od podwyżek płac jest samodoskonalenie się moralne urzędników. Jak będą uczciwi, to przestaną brać. W tej sytuacji nie dziwią też cytowane wyżej słowa o renegatach i zdrajcach usuwanych z jej partii: jeśli ktoś nie zgadza się z Suu Kyi, jest niemoralny. Musi nad sobą popracować.

Micheline Pelletier/Sygma/Getty Images

Hulton-Deutsch Collection/Corbis/Getty Images

Od początku swojej kariery Suu Kyi całkowicie świadomie dąży do zrealizowania ideału politycznego jej ojca, założyciela współczesnej Birmy: **„Jeden naród, jedno państwo, jedna partia, jeden przywódca. Żadnej opozycji, żadnych nonsensów indywidualizmu"**

Pokojowy Nobel a czystki

Tak rozumiana demokracja niewiele ma wspólnego z zachodnim oryginałem, bliska jest za to buddyzmowi. W warunkach birmańskich ustrój ten rozumiany jest wciąż najczęściej jako synonim sprawnego rządzenia i prosperity. Nierzadko można usłyszeć, nawet wśród ekspertów, że najbardziej demokratycznym państwem świata jest Singapur (miasto to pozostaje zresztą głównym wzorem modernizacyjnym dla Suu Kyi).

Owo odmienne od zachodniego rozumienie terminów tłumaczy też milczenie Suu Kyi wobec czystki etnicznej Rohingya. To pragmatyzm: powszechna wśród buddyjskich Birmańczyków nienawiść do Rohingya powoduje, że gdyby Suu Kyi odezwała się w obronie tych ostatnich, popełniłaby samobójstwo polityczne. Zaprzepaściłaby wówczas 30-letni trud zdobywania władzy, a skoro była dla niej w stanie poświęcić męża i dzieci, to tym bardziej może odpuścić milion muzułmanów.

Ale to nie tylko Realpolitik. Rohingya są postrzegani w Birmie jako zagrożenie dla buddyzmu, a to w buddyjskiej tradycji intelektualnej zwalnia przywódców politycznych z buddyjskich nakazów moralnych. To założenie pozwala – w imię większego dobra, jakim jest zachowanie buddyzmu – prowadzić działania niezgodne z etyką tej filozofii. Niektóre około- i post-kanoniczne teksty tej religii wprost mówią, że „w nadzwyczajnych okolicznościach" można zniszczyć życie albo że zachowanie dharmy przeważa nad konsekwencjami karmicznymi (czytaj: nie zabijaj, ale jeśli mordujesz w imię buddyzmu, to jest OK). To dlatego milczenie Suu Kyi wobec czystki etnicznej Rohingya było w warunkach birmańskich i tak postawą kompromisową; skrajni, a wpływowi mnisi buddyjscy krytykowali Suu Kyi za niewystarczające popieranie prześladowań muzułmanów.

Immunologizowani Buddą

Wobec tego wszystkiego można się zżymać i krytykować birmańską przywódczynię – jak czyni to większość zachodniego świata. Tyle że wtedy opisy Suu Kyi, Birmy czy szerzej: Azji więcej mówią o zachodnich projekcjach, nadziejach i frustracjach niż o komentowanej rzeczywistości.

Lepiej postąpić jak Gustaw Herling-Grudziński. Odwiedzając Birmę na początku lat 50., pisarz krytykował jej elity za żywione przez nią złudzenia, które, w jego przekonaniu, miały doprowadzić do przejęcia władzy przez komunistów. Początkowo z przerażeniem notował słowa jednego z członków rządu opisującego ofensywę komunistów z „pogodną obojętnością i spokojem, beztroskim tonem". Tak, przyznawał ów Birmańczyk, komuniści zadają poważne straty armii rządowej, niszczą koleje, rurociągi, rabują wsie i miasta oraz zbliżają się do stolicy... Miejscowy polityk kontynuował: „Ale co z tego? Buddyzmu nie uda się nigdy i nikomu pogodzić z komunizmem, a Birma jest do szpiku kości buddyjska. Można naprawić przerwane mosty, rurociągi i tory kolejowe, ale czy komuniści naprawią kiedykolwiek szkody, jakie wyrządzają sobie samym tym bezmyślnym dezorganizowaniem życia narodowego?".

Komuniści rzecz jasna niczego nie naprawili i przegrali walkę o Birmę. Widząc to, po dłuższym pobycie w tym kraju Herling spokorniał. Pisał później, że wobec potęgi buddyzmu wszystkie obce ideologie bledną.

W innych krajach dalekowschodnich jest podobnie, tylko zamiast buddyzmu są tam inne podstawy cywilizacyjno-kulturowe. Na ich tle zachodnie koncepcje, jak demokracja czy prawa człowieka, są młode, nieukształtowane, nieprzyswojone lub przerobione zupełnie dla niepoznaki. Zaś ich imitowanie czasem przynosi więcej szkód niż pożytku.

T.C. Malhotra/Getty Images

W 1998 r. Birmańczycy demonstrowali w Nowym Dehli, stolicy Indii, przeciwko dyktaturze wojskowej w ich kraju

W oczach świata stała się upadłą ikoną, zdrajczynią sprawy, birmańską wersją Roberta Mugabe

Michał Lubina
jest adiunktem w Instytucie Bliskiego i Dalekiego Wschodu UJ, autorem czterech książek o Birmie, w tym dwóch o Suu Kyi: *Pani Birmy* (PWN 2015, jedyna jej biografia po polsku) i *The Moral Democracy* (Scholar 2018). Wkrótce ukaże się jego najnowsza książka pt. *Rohingya. Kim są prześladowani muzułmanie Birmy?*

Rohingya

ZDJĘCIA: KEVIN FREIER
TEKST: MAGDALENA CHODOWNIK

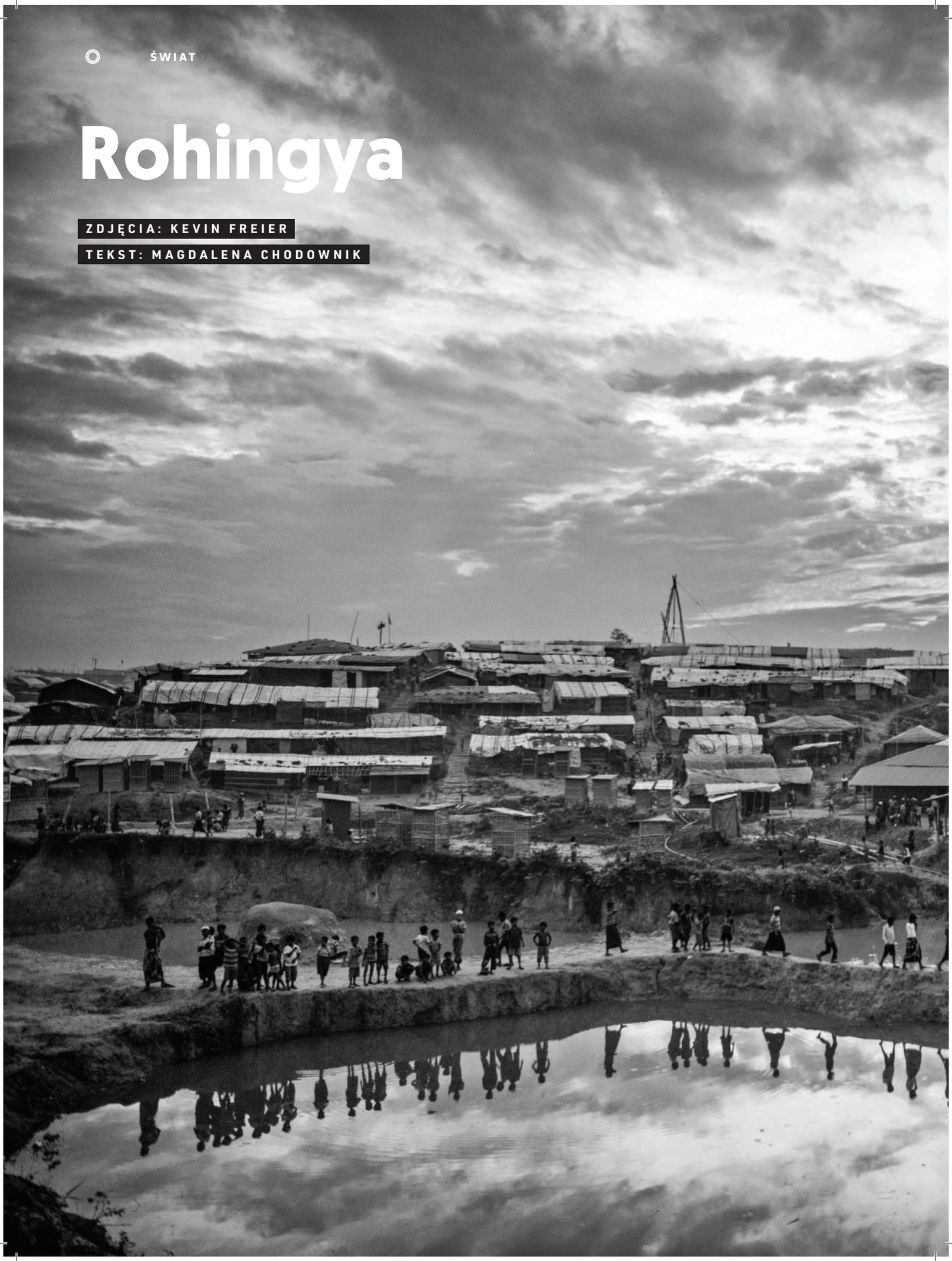

Ludność Rohingya to muzułmańska mniejszość etniczna zamieszkująca stan Arakan w Birmie. Przez rząd centralny własnego kraju uznawana jest za nielegalnych imigrantów i pozbawiona jakichkolwiek praw. Od dekad, prócz systemowej dyskryminacji, Rohingya padają także ofiarą regularnych pogromów. Przed przemocą najczęściej uciekają do pobliskiego Bangladeszu – pierwsi uchodźcy pojawili się tam w 1978 r. W Koks Badźar, mieście nad Zatoką Bengalską, gdzie stworzono dla nich zamknięty obóz, znalazło wtedy schronienie 200 tys. osób. Nienawiść do mniejszości etnicznej spotykała się z aprobatą nie tylko birmańskiej władzy, lecz także i mediów czy nawet buddyjskich duchownych.

Nagonki, niszczenie mienia i gwałty systematycznie doprowadziły do kolejnych eksodusów tej ludności z Birmy. Największy z nich, podczas którego ponad 700 tys. Rohingya uciekło ze swojego kraju, nastąpił w 2016 r. Komentatorzy i obrońcy praw człowieka nazwali pogromy wprost – czystkami etnicznymi, a niektórzy, szczególnie po brutalnych wydarzeniach sprzed trzech lat, nawet ludobójstwem.

Kevin Frelier/Getty Images

Ucieczka z Birmy to dla Rohingya często jedyna szansa, by ocalić życie.
Do Bangladeszu docierają wszystkimi możliwymi drogami.

Po przekroczeniu granicy wykończeni, niekiedy ranni, stają w kolejkach do bangladeskich punktów kontrolnych. Tam, w słońcu, bez wody pitnej, czekają na wydanie przepustek.

Obozy dla uchodźców Rohingya są przeludnione, a warunki sanitarne w nich panujące – złe. Większość z przebywających w obozach Rohingya to dzieci. Nie ma warunków, by zapewnić im jakąkolwiek edukację.

Rohingya, przez własny kraj uznawani za bezpaństwowców, w większości nie posiadają także żadnej podmiotowości prawnej w Bangladeszu – odmawia się im nawet oficjalnego statusu uchodźców. Nie mają więc ani pozwolenia na pracę (co sprawia, że w obozach panuje duża przestępczość), ani prawa do opuszczenia kraju. Ci, którzy jednak zdecydują się na drogę powrotną do Birmy, zazwyczaj nie mają już do czego wracać. Ich domy i wioski zostały spalone w pogromach, a oni sami trafiają do obozu dla wewnętrznie przesiedlonych w Birmie. Wciąż brakuje stanowczej reakcji birmańskiego rządu, która zapewniłaby mniejszości bezpieczeństwo na terenie kraju.

Szacuje się, że w Bangladeszu żyje obecnie ponad milion Rohingya. Niektórzy, zasymilowani, mieszkają w miasteczkach położonych niedaleko Koks Badźar. Inni koczują lub wegetują w obozach.

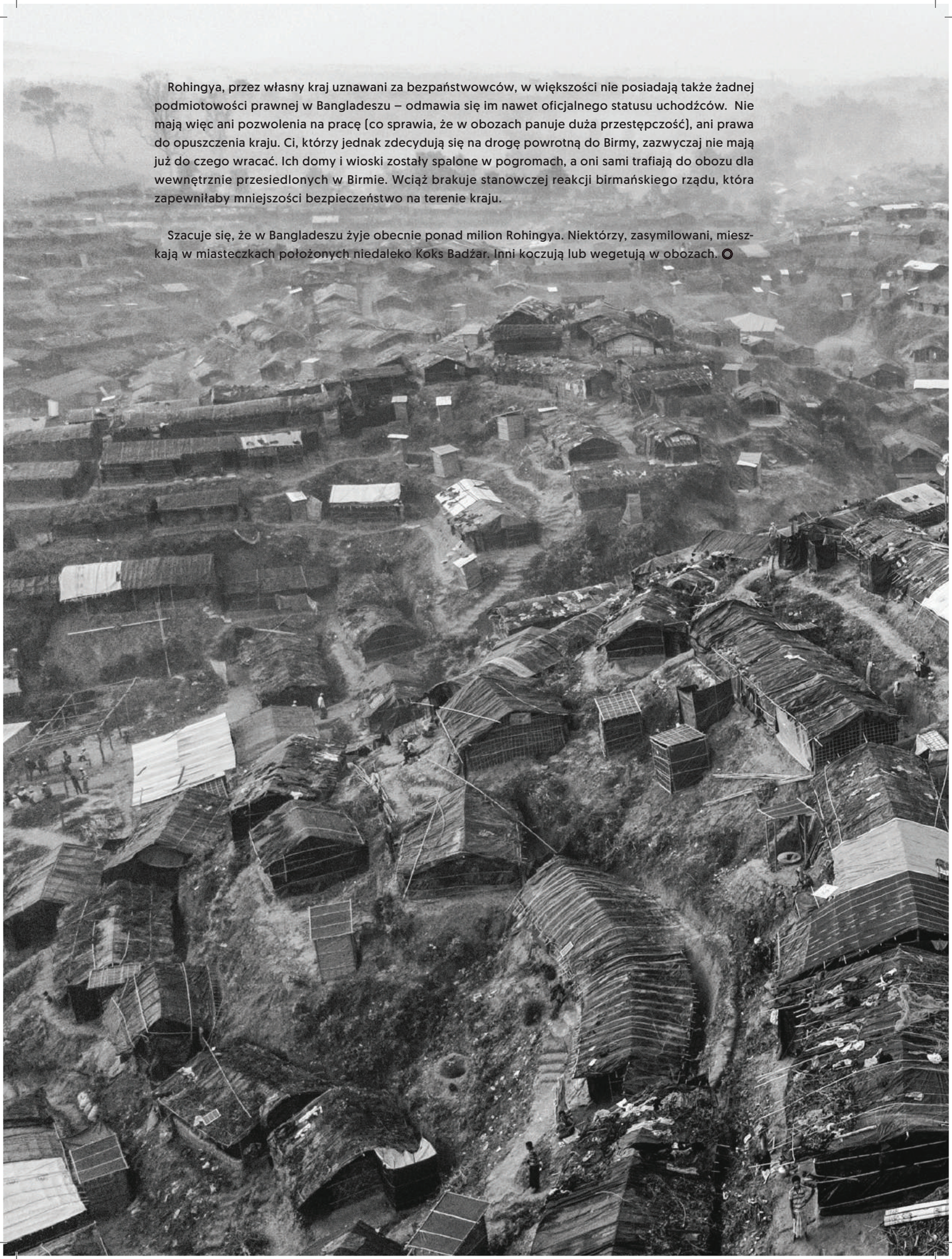

Rosyjski niedźwiedź w Afryce

W samym środku Afryki żył kiedyś lew, był odważny i waleczny. Dbał o to, by w jego królestwie dobrze się żyło wszystkim zwierzętom – żyrafom, słoniom i małpom. Pewnego dnia tę szczęśliwą krainę zaczęły nękać hieny. Napadały na zwierzęta i zabierały im jedzenie. Lew stanął z nimi do walki, ale sam nie był w stanie ich pokonać. I wtedy w oddalonym o kilka tysięcy kilometrów, zasypanym śniegiem lesie obudził się niedźwiedź. Niestraszna mu była długa droga, pokonał góry i morza, stepy i pustynie, by przepędzić hieny. A ponieważ był to duży i silny niedźwiedź, zrobił to bez trudu. Tak do krainy lwa wróciły pokój i dobrobyt

TEKST: AGATA KASPROLEWICZ

Trzyminutową bajkę o niedźwiedziu, który ratuje królestwo słonia przed hienami, można obejrzeć na YouTubie. Jeśli widz dotrwa do napisów końcowych, dowie się, że kreskówka została wyprodukowana przez spółkę Lobaye Invest, należącą do Jewgienija Prigożyna, człowieka, który w latach 90. rozcieńczał musztardę do hot dogów, potem zaczął być nazywany „kucharzem Władimira Putina", stał się miliarderem, a dziś stoi za Grupą Wagnera – armią rosyjskich najemników, obecnych m.in. we wschodniej Ukrainie, w Syrii, a także Republice Środkowoafrykańskiej. Z tą wiedzą jeszcze łatwiej rozszyfrować sens bajki. Królestwo lwa to RŚA, niedźwiedź to Rosja, a hieny to Francja.

Nie będzie powrotu do czasów ZSRR

Zdaniem krytyków Putina bajkowo brzmiały zapewnienia rosyjskiego prezydenta przed pierwszym Rosyjsko-Afrykańskim Szczytem w Soczi (odbył się 23 i 24 października 2019 r.). W rozmowie z agencją TASS mówił: „Nam nie chodzi o podział bogactw tego kontynentu, ale o współpracę dwustronną. (...) Współpraca Moskwy z krajami Afryki będzie rozwijana w ramach międzynarodowego prawa i z uwzględnieniem norm cywilizowanego współżycia. (...) Zdecydowanie sprzeciwiamy się wszelkim geopolitycznym grom w Afryce". Putin podkreślał, że Rosja jest zupełnie innym mocarstwem niż te, które skolonizowały Afrykę, a jego plan wobec tego kontynentu wyklucza wywieranie presji, zastraszanie, szantaż czy jakąkolwiek inną formę wykorzystywania niepodległych afrykańskich państw.

Rosja nie jest nowym graczem w Afryce. W czasie zimnej wojny sowiecka pomoc dla afrykańskich lewicowych partyzantek i antykolonialnych ruchów była częścią strategicznej rywalizacji z Zachodem. W latach 50. Związek Radziecki udzielił ogromnej pomocy wojskowej przywódcy Egiptu Gamalowi Naserowi. Potem sowieccy doradcy, inżynierowie, a także sprzęt wojskowy trafiali do Algierii, Libii i Etiopii. Moskwa zbroiła ruchy antykolonialne w Angoli i Mozambiku, dostarczała broni grupom walczącym z apartheidem w RPA.

Sowiecka obecność miała charakter nie tylko militarny, lecz także ideologiczny. Na słynnym moskiewskim Uniwersytecie Przyjaźni Narodów im. Lumumby, który stał się kuźnią kadr politycznych, wojskowych i terrorystycznych, kształciły się tysiące Afrykańczyków. Przez marksistowskie szkolenia przeszedł m.in. Nelson Mandela.

Także kilku prominentnych rosyjskich polityków szlifowało swoje talenty w Afryce. Obecny szef koncernu Rosnieft, zaufany człowiek Władimira Putina, Igor Sieczyn doświadczenie zdobywał w Angoli. Były minister obrony Siergiej Iwanow, jeden z architektów rosyjskiej polityki wobec Czeczenii, pracował w rezydenturze KGB w Kenii.

Rosja kusi atomem

Wraz z końcem zimnej wojny i rozpadem Związku Radzieckiego niemal całkowicie wygasły wpływy rosyjskie w Afryce. Przełom przyszedł w 2014 r., kiedy po rewolucji godności na kijowskim Majdanie Kreml zadrżał o swoje wpływy na Ukrainie. Moskwa anektowała Krym, na Donbasie rosyjscy najemnicy walczyli po stronie separatystów, co skłoniło Zachód do nałożenia na Rosję dotkliwych sankcji. Zmuszona poszukiwać nowych rynków i wyjścia z politycznej izolacji Rosja zaczęła interesować się Bliskim Wschodem, szczególną szansę upatrując w zaangażowaniu w Syrii. Kolejnym krokiem była Afryka. Kulminacją tej koncepcji był zorganizowany pod koniec października szczyt w ukochanym przez Putina kurorcie nad Morzem Czarnym.

Władimir Putin mówił przed spotkaniem w Soczi, że

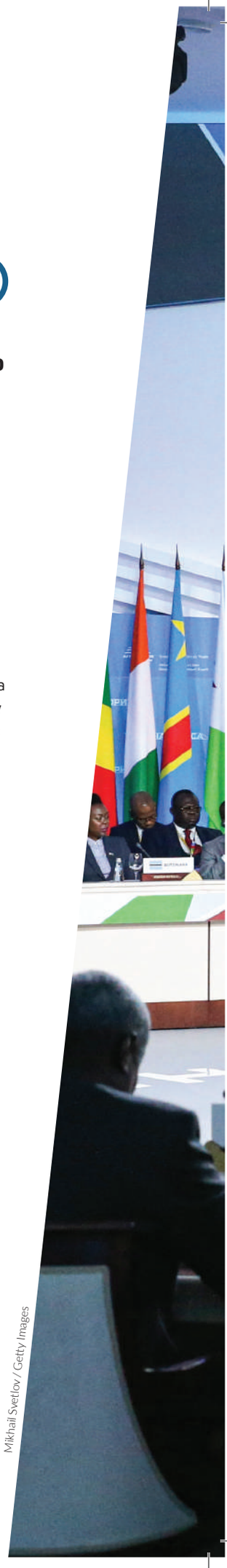

Mikhail Svetlov / Getty Images

Sesja plenarna na szczycie Rosja–Afryka w kurorcie nad Morzem Czarnym w Soczi. Rosja, 24 października 2019 r.

wzmacnianie więzi z Afryką jest jednym z priorytetów rosyjskiej polityki zagranicznej. I nie były to deklaracje bez pokrycia. Między rokiem 2015 i 2018 aż 12 afrykańskich liderów złożyło wizytę w Moskwie. Od roku 2015 Rosja podpisała umowy militarne z 23 afrykańskimi krajami. W roku 2009 wartość obrotów handlowych między Rosją a Afryką wynosiła 5,7 mld dolarów, w roku 2018 sięgała już 20,4 mld dolarów. Rosyjski prezydent zapowiedział, że w ciągu najbliższych pięciu lat uda się tę wartość podwoić.

„Rosja składa ofertę, ale to od poszczególnych afrykańskich krajów będzie zależało, czy ją przyjmą. Mamy na przykład do zaproponowania technologię nuklearną, co nie podoba się Zachodowi. A jednak w czasie szczytu w Soczi Rwanda podpisała umowę z rosyjską spółką Rosatom na budowę naukowo-technologicznego centrum nuklearnego. Rosja zbuduje też elektrownię atomową w Egipcie, podobna umowa została podpisana z Nigerią. Mamy także w swojej ofercie projekty infrastrukturalne, budowanie mostów i dróg" – mówi w rozmowie z „Holistic. News" dr Olga Kulkowa z Instytutu Studiów Afrykańskich na Rosyjskiej Akademii Nauk.

Rosja kusi i pręży muskuły

Chodzi o coś znacznie jednak ważniejszego niż inwestycje, kontrakty i umowy. Dla Moskwy powrót do Afryki to także kwestia prestiżu, chęć pokazania, że Rosja jest globalnym mocarstwem.

„Rosja stała się głównym graczem na Bliskim Wschodzie i na tym samym zależy jej w Afryce" – mówi w rozmowie z „Holistic.News" Piotr Żochowski z Ośrodka Studiów Wschodnich i dodaje, że Rosja nie porzuciła ambicji bycia „trzecim Rzymem".

Dlatego w organizacji pierwszego szczytu Rosja-Afryka liczył się rozmach. Kiedy Władimir Putin otwierał dwudniowy szczyt w Soczi z udziałem kilkudziesięciu afrykańskich przywódców, dwa rosyjskie nuklearne bombowce strategiczne Tu-160, zwane „Blackjack", lądowały w bazie wojskowej Waterkloof w Republice Południowoafrykańskiej. Obecny na tej uroczystości attaché prasowy rosyjskiej ambasady Aleksander Kuliajew przekonywał dziennikarzy, że nałożenie się na siebie w czasie dwóch wydarzeń – otwarcie rosyjsko-afrykańskiego szczytu nad Morzem Czarnym i lądowanie rosyjskich bombowców w Pretorii – to czysty przypadek.

Przypadek lub nie, ale tego dnia RPA stało się drugim krajem poza granicami Rosji, którego ziemi dotknęły koła Tu-160. Pierwszym była Wenezuela, której rosyjskie bombowce złożyły wizytę trzykrotnie – ostatnio w 2018 r., w geście poparcia dla bombardowanego ulicznymi protestami rządu prezydenta Nicolása Maduro. Nie bez znaczenia pozostaje fakt, że w czasie największych rozruchów między opozycją a reżimem w Wenezueli pojawili się rosyjscy żołnierze. Trudno więc uniknąć skojarzeń, że wysyłając w tak szczególnym dla rosyjsko-afrykańskich relacji dniu dwa bombowce do RPA, Moskwa chciała zamanifestować swoją militarną potęgę i nadać szczytowi nad Morzem Czarnym mocarstwowy charakter.

Rzeczywistość nie jest bajkowa

Broń to najatrakcyjniejszy towar, jaki Moskwa ma do zaoferowania Afryce. Jest ona bowiem tańsza od amerykańskiej i w zupełności odpowiada na potrzeby afrykańskich klientów. A zapotrzebowanie na nią rośnie, na co wyraźnie wskazuje raport Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem z siedzibą w Sztokholmie. Wynika z niego, że w roku 2017 Rosja sprzedała Afryce dwa razy więcej broni niż w roku 2012. Między rokiem 2013 i 2017 rosyjski towar stanowił aż 39 proc. importowanej do Afryki broni. Dla porównania – 17 proc. pochodziło z Chin, a ze Stanów Zjednoczonych 11 proc.

„W Afryce nie toczą się wojny wysokich technologii. Te konflikty są bardzo brutalne, ale nie wymagają stosowania skomplikowanej drogiej broni. Ponadto na korzyść Rosji działa łatwość, z jaką Moskwa podchodzi do czynnika militarnego. Chińczycy są pod tym względem wstrzemięźliwi i wolą skupiać się na polityce handlowej i projektach infrastrukturalnych. Stany Zjednoczone są demokracją, a co za tym idzie, w wielu przypadkach mają ręce związane prawem międzynarodowym. Rosji zaś wolno wszystko" – tłumaczy Piotr Żochowski z OSW.

I w tym miejscu kończy się bajka o dobrym niedźwiedziu w królestwie słonia, a zaczyna zupełnie inna historia, rażąco sprzeczna z retoryką Kremla. Nie udało się opowiedzieć jej do końca trzem rosyjskim dziennikarzom, którzy w ramach niezależnego projektu reporterskiego finansowanego przez politycznego wroga Władimira Putina Michaiła Chodorkowskiego prowadzili w Republice Środkowoafrykańskiej śledztwo w sprawie działalności w tym kraju Grupy Wagnera. Ich samochód został zaatakowany w sierpniu 2018 r., kiedy jechali ze stolicy RŚA Bangui do miasta Sibut. Wszyscy zginęli na miejscu. Nie brakuje przesłanek sugerujących, że za morderstwem stoi armia rosyjskich najemników i sponsor Grupy Wagnera Jewgienij Prigożyn. Dla wielu ich śmierć jest niepokojącym sygnałem zapowiadającym prawdziwe zamiary i metody działania Rosji w Afryce, oparte na tajności i przemocy. Rosyjscy najemnicy byli też widziani w Libii oraz Sudanie.

Florian Elabdi jest jednym z niewielu dziennikarzy, któremu udało się porozmawiać z Walerym Zacharowem, byłym oficerem rosyjskiego wywiadu, który piastuje dość enigmatyczną funkcję doradcy ds. bezpieczeństwa prezydenta Republiki Środkowoafrykańskiej Faustina-Archange Touadéra. W wywiadzie kategorycznie zaprzeczył obecności jakichkolwiek rosyjskich najemników na terenie RŚA. Trudno mu się dziwić, bo według oficjalnej rosyjskiej wersji Grupa Wagnera nie istnieje. Na pytanie o trzech dziennikarzy odpowiedział, że pomylili drogę i zostali zaatakowani przez złodziei.

Michelle Shephard/Toronto Star via Getty Images

19-letni Amadou Mousaf jest muzułmańskim członkiem bojówki Anti-Balaka. Nosi amulety, które mają go chronić przed ranami

Najemnicy chronią interesy Rosji

Brutalna wojna domowa w RŚA wybuchła w 2013 r., kiedy muzułmańska bojówka Seleka weszła do stolicy Bangui i obaliła prezydenta François Bozizégo. Odpowiedzią na przemoc była przemoc. Chrześcijańska bojówka, zwana Anti-Balaka zaczęła czystki muzułmańskich wiosek. W 2016 r., mimo trwającego w kraju piekła, Francja wycofała z RŚA swoje wojska. W tym samym roku, m.in. dzięki wysiłkom pokojowej misji ONZ MINUSCA, udało się doprowadzić do kruchego pokoju. Rok później nowy prezydent RŚA Faustin-Archange Touadéra poleciał do Soczi na spotkanie z rosyjskim ministrem spraw zagranicznych Siergiejem Ławrowem. Toudéra chciał rosyjskiej pomocy w odbudowie środkowoafrykańskiej armii i zniesieniu ONZ-owskiego embarga na broń.

W rozmowie z „Holistic.News" Florian Elabdi przyznaje, że spodziewał się oznak rosyjskiej obecności w RŚA, ale to, co zastał na miejscu, przerosło jego wyobrażenia.

„Po ulicach jeżdżą taksówki z powiewającymi rosyjskimi flagami, w kawiarniach nietrudno spotkać rosyjskich żołnierzy siedzących przy jednym stoliku z żołnierzami środkowoafrykańskimi, są też propagandowe billboardy i plakaty, wychwalające rosyjskie zasługi dla kraju, a szczególnie dla armii. Rosjanie mają też swoją stację radiową, które prezentuje prorosyjską perspektywę i oferuje m.in. lekcje rosyjskiego. To oczywiste, że celem Rosjan nie jest dostarczanie rozrywki jednym z najbiedniejszych ludzi na świecie. Chodzi o coś więcej" – mówi Elabdi.

„Coś więcej" znajduje się w takich miejscach jak Yawa, kopalnia diamentów zrządzana przez Rosjan, do której w sierpniu 2019 r. dotarli reporterzy CNN. Prawo do prowadzenia prac posiada rosyjska firma Lobaye Invest, ta sama, która wyprodukowała bajkę o dobrym niedźwiedziu.

Amerykańscy dziennikarze ustalili, że siedziba rosyjskich najemników z Grupy Wagnera mieści się w dawnym pałacu Bokassy, krwawego środkowoafrykańskiego dyktatora, o którym mówi się, że jadł ludzkie mięso. W 2017 r. Rada Bezpieczeństwa ONZ zatwierdziła powstanie rosyjskiego obozu szkoleniowego w RŚA. Nikt nie mógł się wówczas spodziewać, że zamiast rosyjskich żołnierzy będą prowadzić go najemnicy (jest ich w RŚA 250) z Grupy Wagnera, którą finansuje właściciel Lobaye Invest, Jewgienij Prigożyn. Układ jest więc prosty – Rosjanie dostar-

Donat Sorokin \ TASS via Getty Images

Król Eswatini Mswati III na stoisku koncernu Kałasznikowa podczas szczytu Rosja–Afryka 2019

czają sprzęt wojskowy i organizują szkolenia dla rekrutów, a w zamian dostają hojne koncesje na wydobycie diamentów i złota.

Tu nikt nie jest święty

Czy rzeczywiście to miał na myśli prezydent Władimir Putin, mówiąc: „Nam nie chodzi o podział bogactw tego kontynentu, ale o współpracę dwustronną"? Samym mieszkańcom RŚA nie w głowie geopolityka, bo jak podkreśla Florian Elabdi, to jedno z najbiedniejszych miejsc na świecie.

„Ludzie martwią się, czy będą mieli czym nakarmić swoje dzieci, a nie kim jest Władimir Putin. Z drugiej strony pamiętają krzywdę, której doznali od Francuzów, zarówno w czasach kolonialnych, jak i całkiem niedawno, kiedy pojawiło się wiele raportów na temat wykorzystywania kobiet, a nawet dzieci przez francuskich żołnierzy. Dlatego wielu ma nadzieję, że Rosjanie przyniosą temu krajowi coś dobrego. Choć niektórzy mówili mi, że wraz z nadejściem Rosjan stare zło zostanie zastąpione nowym" – opowiada Elabdi.

Czy większa obecność w Afryce oznacza więc więcej broni, a co za tym idzie więcej konfliktów, więcej przypadków łamania praw człowieka i mniej demokracji?

„Demokracja w Afryce nie potrzebuje Rosji, by być w kryzysie" – mówi w rozmowie z „Holistic.News" Paul Simon-Handy z afrykańskiego Instytutu Badań nad Bezpieczeństwem z siedzibą w Dakarze.

Dodaje, że nadmiar rosyjskiej broni może narazić na szwank stabilność w wielu afrykańskich krajach, w najgorszym scenariuszu ułatwić armiom przeprowadzenie wojskowego przewrotu. Irytuje go jednak antyrosyjski ton dominujący w zachodnich mediach.

„To jednak brzmi ironicznie, kiedy zachodni politycy przestrzegają przed rosyjskimi inwestycjami, twierdząc, że Moskwa jest toksycznym partnerem. Jeśli zachodnie inwestycje byłyby uczciwe, Afryka byłaby dziś w zupełnie innym miejscu" – mówi Simon-Handy.

W grudniu 2018 r. John Bolton, były doradca ds. bezpieczeństwa amerykańskiego prezydenta, ogłaszając „afrykańską strategię Trumpa", mówił, że Rosja rozwija gospodarcze i polityczne relacje na całym afrykańskim kontynencie, mając za nic rządy prawa, sprzedając broń w zamian za głos w Radzie Bezpieczeństwa gwarantujący nietykalność afrykańskim dyktatorom, co zagraża pokojowi i bezpieczeństwu oraz godzi w dobrobyt Afrykańczyków.

Olga Kulkowa z Instytutu Studiów Afrykańskich na Rosyjskiej Akademii Nauk uważa, że Zachód nie ma moralnego prawa krytykować Rosji za jej poczynania w Afryce. W rozmowie z „Holistc.News" podkreśla, że zaledwie 60 lat temu zachodnie mocarstwa na oczach całego świata łamały prawa człowieka, sprawując brutalne i krwawe kolonialne rządy w wielu afrykańskich krajach.

„W tym samym czasie Związek Radziecki wspierał narody afrykańskie w ich dążeniu do wolności i niepodległości, pomagał w antykolonialnej walce. Wielu Afrykanów pamięta pozytywną rolę, jaką Rosja odegrała w niedawnych dziejach. To historyczne dziedzictwo jest spoiwem łączącym nas

z wieloma afrykańskimi krajami" – tłumaczy Kulkowa.

Piotr Żochowski z Ośrodka Studiów Wschodnich nie jest zaskoczony taką historyczną retoryką Rosjan, którą przypisuje propagandowej „radzieckiej myśli wyzwolicielskiej".

„To była rywalizacja systemu komunistycznego, który Rosjanie próbowali montować na całym świecie" – dodaje ekspert OSW. Zimnowojenna gra prowadziła do wojen zastępczych, czego przykładem są krwawe konflikty w latach 70. i 80. w Angoli i Mozambiku, w których udział brali sowieccy, kubańscy i wschodnioniemieccy doradcy.

Dla Rosji może być już za późno

„W Afryce trwa zimna wojna 2.0" – mówił w jednym z wywiadów dla „Financial Times" Christian Malanga, polityk obecnej kongijskiej opozycji, który wypomina Moskwie, że mimo dowodów na oszustwo wyborcze Rosja okrzyknęła Félixa Tshisekediego nowym prezydentem Demokratycznej Republiki Konga. W listopadzie 2019 r. amerykański dziennik „Washington Post" napisał, że Libia, Republika Środkowoafrykańska, Demokratyczna Republika Konga, Sudan, Mozambik, Madagaskar, Kamerun i Wybrzeże Kości Słoniowej stały się celem propagandowej kampanii Rosji w internecie. Tydzień przed tą publikacją Facebook usunął trzy profile prowadzące działalność wymierzoną przeciwko ośmiu afrykańskim państwom. Także w tej sprawie trop prowadzi do Jewgienija Prigożyna, który jest twórcą tzw. fabryki trolli. „Chiny mają pieniądze, Rosja ma mięśnie" – kwituje Malanga.

Kiedy Putin otwierał dwudniowy szczyt w Soczi, dwa rosyjskie nuklearne bombowce **Tu-160 „Blackjack" lądowały w bazie wojskowej Waterkloof w Republice Południowoafrykańskiej**

Mimo wielu niepokojących informacji na temat rosyjskiej działalności w Afryce senegalski ekspert ds. bezpieczeństwa Paul Simon-Handy uważa, że większa liczba zagranicznych partnerów działa na korzyść afrykańskich krajów, bo wzmacnia ich pozycję negocjacyjną. W rozmowie z „Holistic.News" mówi, że wejście Chin do Afryki zmieniło wizerunek tego kontynentu, a rosnące zainteresowanie Rosji jest konsekwencją tego procesu.

„W latach 90. Zachód nazywał Afrykę straconym kontynentem, próżno było szukać zainteresowania ze strony zachodnich inwestorów. I wtedy na scenę weszły Chiny, które zobaczyły w Afryce potencjał, rynek pełen możliwości. Zachód obudził się za późno, kiedy chińskie inwestycje osiągnęły zawrotne wartości, ale było już za późno, by odzyskać dawne wpływy" – mówi senegalski ekspert.

Zdaniem południowoafrykańskiego dziennikarza Simona Allisona za późno jest także dla Władimira Putina. Allison w felietonie dla „Mail & Guardian" nazwał Rosję wielką spóźnialską, która nie zdążyła na mocarstwową imprezę w Afryce. W podobnym tonie pisze amerykański dziennikarz Stephen Paduano dla „Financial Times", powołując się na kilka liczb: dziś jedynie 3,7 proc. rosyjskich towarów trafia do Afryki, z czego 2,7 proc. trafia do krajów Afryki Północnej. Szczyt w Soczi miał to zmienić, ale większość z podpisanych umów, w sumie wartych 12,5 mld dolarów, ma status memorandów, które mogą nigdy nie wejść w życie.

Rosja nadal jest największym dostawcą broni do Afryki, ale 80 proc. trafia do Algierii, dawnego sowieckiego sojusznika. Według wyliczeń amerykańskiego dziennikarza Nicka Turse'a w wyścigu o wpływy militarne ze Stanami Zjednoczonymi nadal nie ma szans, biorąc pod uwagę, że w 2017 r. Amerykanie prowadzili 33 aktywne misje wojskowe w Afryce, w które wchodziły tajne misje w Libii, Somalii, Tunezji, Nigrze, o których niewiele wiedzieli Kongres i amerykańska opinia publiczna. W Nigerii Amerykanie zbudowali bazę dronów wartą 110 mln dolarów, stacjonują wokół niej siły specjalne, które mimo oficjalnych zaprzeczeń biorą udział w walce. Baza dronów CIA została też zbudowana w północnym Nigrze, wzdłuż granicy z Libią, z której Amerykanie w tajemnicy wystrzeliwują pociski do Libii. Korzystanie z najemników nie jest taktyką stosowaną jedynie przez Rosjan. Wystarczy wspomnieć o amerykańskiej Grupie Bancroft działającej w Somalii w 2011 r.

Może więc Rosjanie nie wnoszą do Afryki nic nowego, bo nie ma takiej rzeczy, której ten nękany konfliktami i grabieżą kontynent by nie doświadczył. Władimir Putin mówił podczas szczytu w Soczi, że Afryka to kontynent wielkich możliwości. Być może największą możliwość mają afrykańscy liderzy. Jeśli uda im się dobrze rozegrać geopolityczny wyścig do bram kontynentu, podniosą poprzeczkę dla zawodników, by wartości takie jak poszanowanie praw człowieka, dobro zwykłych ludzi i zasady demokracji mogły stać się nowymi regułami gry.

Agata Kasprolewicz
jest dziennikarką i reporterką. Do niedawna związana z Redakcją Publicystyki Międzynarodowej Polskiego Radia. Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym", a także „Przekrojem". Laureatka nagrody Grand Press 2017 za reportaż *Kenia. Wojna o trawę*.

Cyfrowo podzieleni

60 proc. ludności świata ma dostęp do internetu. Z każdym rokiem wskaźnik populacji obecnej w cyfrowym świecie wzrasta. A wraz z nim coraz bardziej zauważalny jest podział na tych, którzy potrafią wykorzystać możliwości internetu, i tych, którzy nie osiągają z niego równie dużych korzyści

TEKST: EWA DZIARDZIEL

„Z pomocą swojego komputera, smartfona i aplikacji mamy supermoce. Mamy większą władzę niż prezydent USA 20 lat temu" – tymi słowami Elon Musk zakończył prezentację wynalazku swojej firmy NeuraLink w lipcu 2019 r. Jego zespół przedstawił rewolucyjny koncept interfejsu mózg–komputer, który ma usprawnić dostęp do informacji, połączenie ze światem i między ludźmi. Czy aby na pewno dzięki internetowi i usługom, jakie oferuje, każdy jego użytkownik ma dużo większą władzę niż Bill Clinton za czasów swojej kadencji? Nie wszyscy potrafimy w ten sam sposób korzystać z sieci. Często to, jak funkcjonujemy w cyfrowej przestrzeni, zależy od wykształcenia, kompetencji cyfrowych, dostępu do sieci i czasu, który możemy poświęcić na korzystanie z internetu.

W 2019 r., czyli 30 lat od stworzenia World Wide Web przez brytyjskiego fizyka i programistę Tima Bernersa, dostęp do internetu ma 58,8 proc. światowej populacji (dane Internet World Stats). Dla porównania w czasie pęknięcia bańki internetowej z 2001 roku mniej niż 7 proc. światowej populacji było online. W ciągu ostatnich 5 lat codziennie do sieci dołączało 640 tys. nowych użytkowników. To niemal tyle, ile wynosi liczba mieszkańców Gdańska.

Początkowo internet jawił się jako egalitarne i bezpłatne źródło informacji. Każdy używał tych samych aplikacji bez względu na poziom dochodów, bo przecież wszystko było za darmo. W 2008 r. magazyn „Wired" na swojej okładce obwieścił darmowe usługi biznesem przyszłości. W teorii każdy z nas miał ten sam internet. Dodatkowe płatności nie mogły zapewnić lepszego doświadczenia korzystania z sieci. Można było kupić tylko więcej pakietów danych, a przez to spędzić w nim więcej czasu. Pieniądze nie mogły zapewnić dostępu do nieograniczonej liczby seriali, kursów, programów edukacyjnych czy innych rozrywek.

Dzisiaj internet w takiej postaci stał się przeszłością. Darmowe źródła nie kojarzą się z jakością, tylko z dużą ilością przeszkadzających reklam i ograniczoną funkcjonalnością czy powielaniem niesprawdzonych informacji. Możliwe, że – jak pisze Kevin Roose w tekście dla „New York Timesa" *Online Cesspool get you down? You can clean it up for a price* (*Zawiodło Cię internetowe szambo? Możesz posprzątać je za pewną cenę*) – już niedługo jakość użytkowania internetu będzie zależała od tego, jak dużo jesteśmy w stanie zapłacić.

Dostęp dla uprzywilejowanych

Alex na swoim telefonie ma ponad 50 aplikacji. Jest trenerem tenisa, więc zawodowo ogląda streaming meczów na Wimbledonie. W Polsce korzysta z VPN – usługi szyfrującej dane przesyłane przez internet. Dzięki temu może zmienić swoją lokalizację na Rosję, żeby móc słuchać oryginalnych brytyjskich komentarzy. Alex wyjaśnia, że po prostu w in-

Getty Images

nych krajach tłumaczenia komentatorów są niedokładne i woli słuchać oryginału, a w Rosji nie ma nakładanych głosów lektorów. Dużo podróżuje, więc najczęściej z internetu korzysta właśnie przez telefon. Filmy ogląda na serwisach typu VOD, czyli wideo na życzenie. Muzyki słucha na Spotify. Ma zainstalowane aplikacje do konta bankowego i trzech kantorów, w których sprawdza najkorzystniejsze oferty wymiany. Do parkowania i zakupu biletów parkingowych używa Skycash. Korzysta z prepaida w jednej z sieci komórkowych, do standardowej wielkości transferu danych co miesiąc dostaje o jeden gigabajt transferu więcej niż w poprzednim miesiącu. Po dwóch latach w ten sposób uzbierał już trzy terabajaty internetu. Alex nie jest w stanie wykorzystać takiej ilości, nawet przy codziennym streamingu meczów i oglądaniu seriali, co, jak szacuje, zajmuje miesięcznie tylko 50 gigabajtów

Alex właściwie wszystko wykonuje za pomocą telefonu. Ma połączenie z kamerą zamontowaną w samochodzie, mapy GPS, jako kierowca dorabia poprzez aplikacje Uber i Bolt, a jako nauczyciel w-f wszystkie oceny i konwersacje z nauczycielami prowadzi przez narzędzia Google. Poprzez aplikację robi zakupy w sklepie w Konstancinie, gdzie można wejść o każdej porze. Większość z wykorzystywanych przez niego aplikacji jest darmowa, ale nie wszystkie. Alex zakłada, że wydaje na nie około 200 zł miesięcznie.

W 2001 r. po raz pierwszy zaczęto używać terminu „podział cyfrowy". Prezes amerykańskiej Fundacji Markle Lloyd Morrisett w możliwie najprostszy sposób określił to zjawisko, dzieląc ludzi na posiadających dostęp do informacji i tych, którzy są go pozbawieni. Od tego czasu im bardziej zwiększała się popularność telefonów komórkowych, tym większego znaczenia nabierały również nierówności w dostępie do transferu danych i posiadanie umiejętności cyfrowych. Dlatego obecnie podział cyfrowy nie jest definiowany tylko przez dostęp do informacji, ale również poprzez wykorzystanie technologii informacyjnych i komunikacyjnych.

„Należy pamiętać, że nadal nie wszyscy mamy dostęp do internetu" – mówi profesor Dariusz Jemielniak, kierownik Katedry MINDS Akademii Leona Koźmińskiego. „Nie zdajemy sobie sprawy z tego, że w bardzo dużej liczbie krajów ten dostęp jest słabej jakości albo drogi."

Porównuje sytuację w nich z Polską sprzed dziesięciu lat, gdy trzeba było zastanawiać się, jak robić serwisy, by działały sprawnie i nie pobierały dużo danych, by korzystanie z sieci nie wiązało się z dużymi opłatami.

„Teraz martwimy się, czy nam płynnie pójdzie Netflix w rozdzielczości 8K" – dodaje.

Wciąż jednak w wielu miejscach strony internetowe ładują się z opóźnieniem, a internet komórkowy jest sporym wydatkiem.

Cyfrowe nierówności

Ludzie zależnie od statusu materialnego i wykształcenia w różny sposób korzystają z internetu. Pytanie, czy „podział cyfrowy" jest jednak wtórny, czy pierwotny, pozostaje bez odpowiedzi. Niewykluczone, że różnice klasowe wynikają z różnych sposobów konsumpcji mediów w ogóle, stylów zachowań, przyswajania wiedzy czy podatności na dezinformację. Podział internetowy może być tego pochodną. A może jednak jest tak, że nierówności społeczne w internecie tylko się pogłębiają.

Z raportu *The Third-Level Digital Divide: Who Benefits Most from Being Online?* z 2015 r. wynika, że osoby z wyższym wykształceniem i o wyższych dochodach osiągają największe korzyści z korzystania z internetu. Mają większą zdolność do znajdywania lepszych ofert online, na przykład produktów, poznawania osób na portalach randkowych czy znajdywania opcji wakacyjnych, a także uzyskania lepszej wiedzy ogólnej i politycznej. Natomiast osoby o niskich dochodach ze środowisk nieuprzywilejowanych, niezależnie od umiejętności i dostępu, nie otrzymują takich samych korzyści z korzystania z internetu. „W pewnym stopniu wyniki badań sugerują, że dostęp do internetu i korzystanie z niego może zaostrzyć już istniejące nierówności offline. Nie każdy jest w stanie przełożyć korzystanie z internetu na wymierne codzienne korzyści" – tłumaczyła w raporcie jego współautorka Ellen Helsper z London School of Economics.

Te różnice widać również na przykładzie masowych otwartych kursów internetowych (MOOC), które udostępniają uniwersytety na całym świecie. Często są w niskiej cenie lub w ogóle bezpłatne. Wydawałoby się, że dzięki temu mogą przynieść korzyści wszystkim, niezależnie od wykształcenia i poziomu dochodów. Jednak do wprost przeciwnych wniosków doprowadziły badania Ezekiela Emanuela. Jego raport *Online education: MOOCs taken by educated few* z 2013 r. pokazuje, że użytkownikami MOOC są głównie wykształceni i młodzi mężczyźni. Jak sugeruje Emanuel, może to wynikać z wyższej świadomości i bardziej rozwiniętych umiejętnościach uczenia się wśród osób dobrze wykształconych.

Getty Images

Płatne subskrypcje a dostęp do informacji

Około 30 proc. spośród 15 czołowych mediów w każdym z 32 rozwiniętych krajów świata zaczęło pobierać jakąś formę opłaty od części swoich czytelników. To znaczy, że wciąż większość użytkowników ma dostęp do darmowych treści – wyjaśnia Grzegorz Piechota. Jest pracownikiem naukowym Harwardzkiej Szkoły Biznesu i na Uniwersytecie Oksfordzkim, który bada źródła gwałtownych zmian na rynkach, w tym mediów.

Piechota wyjaśnia działanie subskrypcji na przykładzie „New York Timesa", który ma największą liczbę prenumeratorów na świecie. Jest to około 5 mln osób, czyli 3,5 proc.wszystkich czytelników internetowego wydania dziennika. Każdy użytkownik, który chce czytać „NYT", ma dostęp do pięciu artykułów za darmo. Dopiero po wyczerpaniu limitu gazeta prosi o płatność. 130 mln ludzi nie płaci, bo nie musi – nie czyta więcej niż te pięć artykułów.

Problemem nierówności jest to, że osoby o niższym kapitale kulturowym z różnych przyczyn nie wykazują potrzeby czytania wyższej jakości treści i dowiadywania się tego, co dzieje się wokół nich. Kraje, które przodują w liczbie sprzedawanych prenumerat, cieszą się również wysokimi wskaźnikami czytelnictwa i najmniejszymi nierównościami społecznymi. Przykładem są państwa skandynawskie. Badania na Oxfordzie czy na North Western University, które prowadził Piechota, pokazują, że problem związany jest głównie z tym, czy ktoś w ogóle jest zainteresowany tym, co dzieje się w świecie, czy lubi czytać i czy robi to regularnie.

Jako obywatele kompletnie straciliśmy kontrolę nad tym, **w jaki sposób platformy internetowe kształtują nasze życie**

Siła gigantów

Oprócz czynników, na które mamy większy lub mniejszy wpływ, jak wykształcenie, szybkość łącza i kompetencje cyfrowe, jest jeszcze jeden czynnik, generujący nierówności społeczne, który jest całkowicie poza naszą kontrolą. Od czasu kryzysu pęknięcia bańki internetowej platformy, które przetrwały krach (przykład Google'a), rozrastają się w gwałtownym tempie. Są anomaliami w historii kapitalizmu. Kilka korporacji skoncentrowało niespotykany wcześniej kapitał, władzę i wciąż uchylają się od regulacji państwowych.

„Jako obywatele kompletnie straciliśmy kontrolę nad tym, w jaki sposób platformy internetowe kształtują nasze życie. Nie jesteśmy w stanie zrozumieć, w jaki sposób krążą dane na nasz temat ani wymusić udostępnienia takich informacji" – mówi Karolina Mikołajewska-Zając z Katedry Zarządzania w Społeczeństwie Sieciowym Akademii Leona Koźmińskiego.

Jako przykład podaje Airbnb. Platforma oparta na koncepcie ekonomii współdzielenia początkowo obiecywała dawać szansę uzyskania dodatkowego dochodu. Osoby mniej zamożne i narażone na różne formy wykluczenia miały mieć możliwość korzystania z Airbnb na równych zasadach. Wraz z rozwojem platformy rosła liczba oskarżeń o rasizm i udokumentowanych przypadków. Także niewiele wyszło z *„sharing economy"*. Okazało się, że najwięcej na wynajmie mieszkań z Airbnb zyskują zrzeszenia właścicieli, którzy zamiast wynająć mieszkania na dłuższy okres, wolą robić to poprzez serwis na doby. Na skutek działania platformy w wielu miastach ceny mieszkań wzrosły na tyle, że ich mieszkańców nie stać na to, by je wynająć. Co więcej Airbnb zaczyna wprowadzać system przypominający stosowany w Chinach system oceny obywateli. Na jego podstawie będzie usuwało ludzi, którzy profilem pasują do zachowań mogących prowadzić do naruszenia wizerunku Airbnb.

„Robią to z pomocą algorytmów, szukając informacji o ludziach z różnych źródeł, do czego użytkownicy nie mają dostępu" – tłumaczy Karolina Mikołajewska-Zając. „Na podstawie tych informacji Airbnb będzie podejmować decyzję o usunięciu użytkowników z platformy" – dodaje. Ofiarami jak dotąd padają m.in. pracownicy branży pornograficznej. Podobnie jak w przypadku innych platform zarządzanych za pomocą algorytmów bardziej narażone na dyskryminację będą wszelkie mniejszości, np. seksualne czy etniczne.

Internet, jaki znamy, to dopiero początek rewolucji technologicznej. Minęło 30 lat i ludzkość wciąż ma problem z adaptacją do zmian, które wprowadził. Wiele wskazuje na to, że za kolejne trzy dekady sposób, w jaki z niego korzystamy, będzie wyglądał zupełnie inaczej – przed nami rozwijająca się sieć 5G, technologia blockchain, rozwój internetu rzeczy i komputerów kwantowych czy wspomnianego już interfejsu mózg–komputer. Szybkość przetwarzania informacji i dostęp do nich będzie jeszcze łatwiejszy niż obecnie. Być może nawet te technologie stworzą narzędzia do zmniejszenia nierówności społecznych, ale kwestia, otwartą pozostaje, czy będziemy potrafili wykorzystać je nie tylko dla wzrostu gospodarczego, lecz także zrównoważonego rozwoju.

Ewa Dziardziel
jest absolwentką ekonomii i międzynarodowych stosunków gospodarczych na Uniwersytecie Ekonomicznym w Poznaniu i Notthingham Trent University. Współpracowała z datablog.pl, Programem Trzecim Polskiego Radia i Outriders.

Może coś zostaje

Przedmiot należy do kultury, o ile potrafi przetrwać w czasie, pisała Hannah Arendt. Na pewnym zdjęciu ślubnym stoimy w osiem kobiet – panna młoda, kuzynki, ciocie, wnuczki. To trzy pokolenia. Każda w sukience uszytej przez moją mamę. Nie wiem, czy dokonam w życiu czegoś większego

TEKST: DOROTA BRAUNTSCH

Mój tata przez całe życie prowadził sklep motoryzacyjny. Sprzedawał części do rometów, komarów, jaw, chartów, WSK, MZ-ek i SHL-ek (starsze roczniki i wtajemniczeni będą potrafili odszyfrować te kody). Większość okolicznych wędkarzy jeździła takimi motorami. Niektórych znałam z imienia, bo w wakacje dorabiałam u taty w sklepie, sprzedając świece zapłonowe, tłoki i pierścienie. W weekendy jeździliśmy nad Wisłę. W krzaczorach połyskiwały pomarańczowe romety i bordowe simsony, w słoikach wiły się oblepione ziemią robaki, brunatna gęsta woda przelewała się przez wał zapory jak czekolada z reklamy Wedla. Tata przystawał na wędkarsko-motoryzacyjny *small talk*. Wracaliśmy okrężną drogą przez las, znowu spóźnieni na obiad.

A potem ten świat zaczął się kończyć.

„Panie! Ryby nie biorą" – słyszeliśmy w sklepie końcem lat 90. Na przełomie wieków biznes ledwo zipał – pojawiły się tańsze produkty na Allegro, a potem mechanicy nie chcieli już naprawiać starych motorynek.

W międzyczasie na drogi wyjechały chińskie skutery. U schyłku pierwszej dekady nowego millenium sklep zamknął podwoje. Niewielki budynek, w którym się mieścił, został wyburzony. Na jego miejscu zrobiono parking wyłożony kostką Bauma.

Piękne śmieci

Tymczasem chierowski stał w deszczu i moknął. Krople wsiąkały w zieloną tkaninę, rozpluskiwały się na drewnianym podłokietniku, na moment zamierały na wyoblonych krawędziach, a potem grawitacja ściągała je w dół. Chierowski był zupełnie bezradny, jeśli lunie rzęsiście, siedzisko wchłonie całą chmurę jak gąbka. Jeszcze kilka takich

ulewnych dni i lakier na drewnianej konstrukcji całkiem popęka, a woda zacznie penetrować drewno. Potem siedzisko zje grzyb. Resztę dokończy kornik.

Złapałam porzucony fotel i potaszczyłam przez wieś. W oknach sąsiadów niespokojnie falowały firanki.

W internecie poczytałam trochę o moim znalezisku. Dowiedziałam się, że legendarny fotel chierowski, model 366, został zaprojektowany przez młodego inżyniera Józefa Chierowskiego pod koniec lat 50. W fabryce, w której pracował projektant, wybuchł pożar, a cały park maszynowy doszczętnie spłonął. Inżynier Chierowski dostał zlecenie na zaprojektowanie szybkiego i taniego w produkcji mebla. Zaproponował lekki, oszczędny w formie fotel. Jego małe gabaryty świetnie sprawdzały się w ciasnych mieszkaniach, instytucjach i kawiarniach. W latach 60.-80. sprzedano go w liczbie ponad pół miliona sztuk. Sprawdziłam na Allegro ceny mojego znaleziska. Odnowione modele 366 można kupić na aukcjach po kilkaset złotych. Dowiedziałam się, że w 2014 r. firma 366 Concept wznowiła produkcję fotela na wyłącznej licencji. Nowiusieńki kosztuje ok. 1700 zł.

Spojrzałam z uznaniem na mój śmietnikowy egzemplarz. Kopciuszek zamienił się w piękną księżniczkę. Usiadłam w fotelu uważniej, zagłębiłam w zaokrągleniach, by przetestować ergonomię, o której poczytałam na portalach branżowych. Zajrzałam pod siedzisko. Na ulotce przyklejonej od spodu widniała data produkcji – 1966 r.

U Brauntschów słychać maszynę

Ponad 2 tys. lat temu Witruwiusz zauważył, że najważniejsze atrybuty budowli to wytrzymałość, użyteczność i piękno. Wokół podobnych kryteriów konstytuowało się w XX w. wzornictwo przemysłowe. Deyan

Iina Osadchenko/Getty Images

Sudjic, dyrektor Design Museum w Londynie, pisał w *Języku rzeczy*, że design rodził się, bazując na kilku zasadach: projekt był odpowiedzią na konkretne zlecenie, miał celować w masową produkcję, a więc być przystępny cenowo. Poza tym designerskie produkty miały odznaczać się wysokimi walorami estetycznymi, upiększać naszą codzienność. A nade wszystko miały być użyteczne.

Moi dziadkowie myśleli podobnie. Nie zgodzili się, by ich córka, a moja mama, po podstawówce rozpoczęła szkołę średnią. Miała być krawcową tak jak jej babka i prababka. Miała szyć, bo szycie było użyteczne. Na 16. urodziny dostała maszynę krawiecką marki Köhler.

Mama nie pracowała w zawodzie, ale nieustannie szyła – dla ciotek, znajomych i sąsiadek. Dla mnie i moich sióstr. Na studniówki, bale i wesela.

Mieliśmy nawet taki rodzinny żart.

– Co słychać u Brauntschów przed każdą imprezą?

– Maszynę do szycia.

W domu nie było miejsca na duży stół krawiecki, więc większe kawałki materiału mama cięła na podłodze. Czasami pomagałam przytrzymać tkaninę, kiedy za bardzo się zwijała. Pamiętam faktury gryzących wełen, gładkich nylonów i śliskich podszewek. Wiklinowe kosze pełne kolorowych szpulek. Drewniane pudełka z guzikami, poduszeczki na szpilki i igły.

Kiedy miałam cztery, może pięć lat myślałam, że wszystkie mamy potrafią szyć na maszynie. Byłam przekonana, że cięcie, zszywanie, przymierzanie to czynności codzienne tak jak obieranie ziemniaków, podlewanie kwiatków albo zamiatanie podłogi. Wydawało mi się, że maszyna do szycia to stały element wyposażenia domu tak jak kanapa albo pralka.

Nieoczywisty domownik

Przez lata köhler stał w naszej kuchni. Blisko stołu, blisko ciepła gotujących się obiadów i codziennych rozmów. Po wyprowadzce wszystkich dzieci maszyna zaczęła wędrować po pustych pokojach, ale nigdzie nie potrafiła zagrzać miejsca. W końcu mama ulokowała ją w sypialni, obok swojego łóżka.

Pamiętam zrudziałą drewnianą podstawę maszyny, jej żeliwną obudowę, bakelitowe kremowe pokrętła, które przypominały bezy albo ptysie. Kusiły, żeby ich dotknąć, ale pod naciskiem dłoni wcale nie ustępowały łatwo. Stawiając opór, dawały szansę na przemyślenie – chcesz zmienić ścieg – dobrze się zastanów.

Mama nigdy nie narzekała na szycie. Nigdy nie wymieniła köhlera na nowszy model. Spędziła przy maszynie do szycia więcej czasu niż z rodziną albo znajomymi; przeżyła przy niej większość życia. Stasiuk miał rację, pisząc, że niektóre historie przypominają los.

Niedawno brała ślub moja kuzynka. Na zdjęciu stoimy wspólnie – panna młoda, kuzynki, ciocie, wnuczki – osiem kobiet, trzy pokolenia. Każda w sukience uszytej przez moją mamę. Nie wiem, czy dokonam w życiu czegoś większego.

Obserwuję czasem moją mamę, jak siedzi przy maszynie. Ubrania z ciemnych tkanin szyje już tylko w ciągu dnia. W świetle lampy trudno jej równo poprowadzić ścieg.

Od lat obiecuję sobie, że w końcu nauczę się szyć na köhlerze.

***

Niedawno znalazłam zdjęcie moich rodziców z lokalnej kawiarni. Podobno tam się poznali. Są wczesne lata 70., siedzą wśród znajomych, mężczyźni mają rozpięte górne guziki w koszulach, kobiety w eleganckich jasnych sukienkach, upiętych kokach, uśmiechają się pogodnie. Wokół kłęby papierosowego dymu. Siedzą na modelach 366.

„Może jednak nie wszystkie światy się kończą" – pomyślałam. Może coś po nas zostaje. Zachęcona, pobiegałam nad Wisłę. Z krzaczorów sterczały chińskie skutery. Woda była nieruchoma i miała kolor ostygniętej herbaty.

Dorota Brauntsch
jest reportażystką. Autorka książki *Domy bezdomne* (Dowody na Istnienie 2019).

Z dziejów czasu

Nieprawda, że czas wszędzie płynie tak samo. Prawdą nie jest nawet to, że zawsze płynie. Na Saharze się ulotnił, bo było go za wiele. A w Moskwie nie mogłem go dogonić, pędził tam zbyt prędko

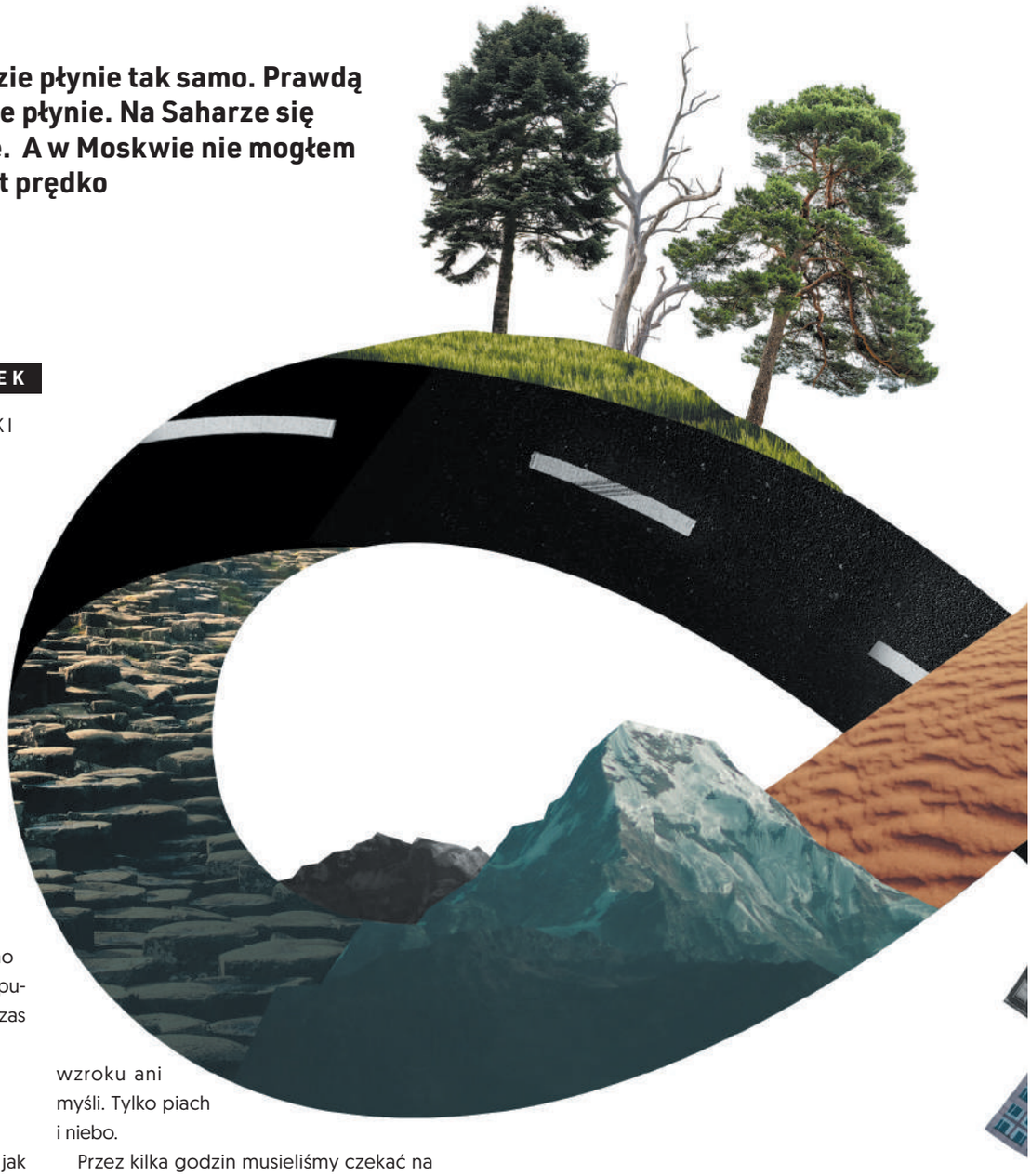

TEKST: MICHAŁ MILCZAREK

ILUSTRACJE: MACIEJ ŁAZOWSKI

Pamiętam, jak szedłem na Przylądek Szelagski – najdalej na północ wysunięty punkt Czukotki. Po drodze minąłem 70. równoleżnik, wokół była tundra. Człowiek prawie nie tknął tej ziemi, wyrzeźbiły ją geologia i wiatr.

Wodę do picia nabierałem ze strumieni, a jedzenie niosłem w plecaku, bo dalej był już tylko Ocean Lodowaty. Była połowa lipca, a w nim wciąż zalegała kra. Można było patrzeć na biegun i nicość, bo nic nie zasłaniało widoku. W nocy słońce świeciło znad Europy. Czas stracił sens. Piątek, niedziela czy wtorek – to też nie miało już znaczenia. Nawet samo pojęcie dnia przestało być użyteczne. W pustce, która rozpościerała się na wprost, czas jakby nie płynął.

Księżyc na pustyni

Podobnie było na Saharze. Pamiętam, jak zepsuł się służący za kolektywną taksówkę mercedes 190, którym jechałem z Nouadhibou do Nouakchott w Mauretanii. Był wrzesień, a właśnie on jest tam najgorętszy. Słońce nie patyczkowało się z ziemią. Spopielało wszystko. Przenikało przez skórę do wnętrza, spalając je od środka. Wokół nie było nic. Tylko wielbłądy i śmieci na poboczu. Zero cienia. Ludzie jak gdyby nie istnieli. Z rzadka pojawiał się jakiś samochód. Kierowcy zwalniali, chcąc się upewnić, że jeszcze żyjemy i mamy wodę. Sahara była beznadziejnie ogromna, martwa, nieludzka. Przypominała powierzchnię Księżyca lub Marsa. Nie było o co zaczepić wzroku ani myśli. Tylko piach i niebo.

Przez kilka godzin musieliśmy czekać na samochód zastępczy. Usiadłem na asfalcie pod maską, opierając plecy o przedni zderzak. Był tam niecały metr cienia – akurat tyle, żeby podkurczyć nogi i trwać w bezruchu. Patrzyłem przed siebie, mrużąc oczy. Powietrze falowało. Zdawało się, że zaraz wszystko strawi ogień.

Maurowie w mercu

Wtedy właśnie zauważyłem, że czas już nie płynie. Jak gdyby wysechł i wyparował. Stał w miejscu wypalony przez słońce, bo wszystko wokół stało. Pomyślałem, że

jeszcze zakleszczę się w wieczności na amen. Nie doczekam przyjazdu zastępczego merca, bo do tego potrzebny jest czas. A czasu nie ma. To znaczy jest, ale nie płynie. Zamienił się w przestrzeń i nie chce się ruszyć w żadną stronę.

Dlatego wstałem i poszedłem przed siebie. Chciałem w ten sposób wznowić jego bieg. Trochę jakbym wsiadł na rower. Chcesz, żeby jechał, to pedałuj. I kiedy szedłem pustym asfaltem, zdawało mi się, że czas płynie w rytmie moich kroków, a kiedy stawałem, on też stawał. Zastygał wraz ze mną. Czułem wtedy, że wysycham i kamienieję. Moje myśli czerniały i bezładnie wibrowały po zamkniętym kręgu. Neurony jakby zaczęły się mineralizować, wypalały od wewnątrz i zamieniały w ziarenka piasku. Czas wsiąkł w pustynię. Za sprawą Sahary pustynniałem od środka. Jeśliby zawiał wiatr, ja zmieszałbym się z otoczeniem, przestając istnieć.

Pomyślałem, że tak wygląda śmierć i w geście obronnym postanowiłem ostrożnie się poruszyć. Naprężyłem mięśnie dłoni i rozpostarłem palce. Skamielina jakby pękła. Krew, a wraz z nią czas powoli popłynęły raz jeszcze. Żeby trochę przyspieszyć jego bieg, wyjąłem butelkę wody i wypiłem jedną trzecią. Na moment wprawiłem czas w szybszy ruch, przywróciłem mu życie. Ale to nie mogło wystarczyć na długo. Stałem w zenicie. Powietrze parzyło, a cienia nie było. Maurowie w powłóczystych szatach siedzieli w zepsutym samochodzie i patrzyli się na mnie. Machali rękami, żebym wsiadł. Bali się, że to mordercze słońce w końcu mnie zje. Mieli trochę racji. Dlatego wkrótce wsiadłem. Siedzieliśmy w sześcioro, bo w Mauretanii na tylnym siedzeniu siadają cztery osoby, i lał się z nas pot. Ale lepsze to niż otwarte słońce. Siedzieliśmy w ciszy, czekając, aż z Nouadhibou przyjedzie po nas samochód. Kiedy ruszymy, przez otwarte okna zacznie wpadać wiatr. Wraz z nim powróci czas.

Rojsty czasu

W końcu dojechaliśmy do Mali. Tam z kolei czas przypominał stojącą wodę. Zamieniał się w zastoisko, w grząskie bagno. Jego wody nie płynęły do żadnych mórz, lecz stały niby kałuże, mokradła, malaryczne rojsty. Był rozdrobniony, zalegał we wgłębieniach w przestrzeni i zarastał glonami. Śmierdnął i powoli wysychał w oczekiwaniu na deszcz. Bo tylko deszcz utrzymywał jego istnienie. Czas nie płynął, lecz podnosił się i opadał, napełniał i wysychał – w wiecznym cyklu pory deszczowej i suchej.

Był bez wyjścia, był wiecznym powtórzeniem tego samego. Okręg zamiast linii. Kiedy padało, występował z brzegów, rzeźbiąc nowe koryta oraz tworząc nowe rozlewiska. Wtedy plony wzrastały i zawiązywało się nowe życie. Tak było zawsze i tak miało pozostać.

Jechałem w głąb Mali autobusami, które psuły się jeszcze częściej niż mauretańskie

mercedesy, i patrzyłem na wieczność. Gliniane chaty, poletka, wyboiste drogi, woły i osły. Uboga sawanna na północy i gęstniejący las na południu. Na przemian świeciło słońce i lało. Kiedy zapadał zmierzch, wszystko stawało się jeszcze bardziej nasycone i żywe. Ludzie mieli skórę w kolorze ziemi i nocy. Jedynie ruchliwe białka oczu odróżniały ich od otoczenia. I tylko one świadczyły, że w tej powszechnej bezczasowości istnieją indywidualne losy ograniczone narodzinami i śmiercią.

Rosyjski stan skupienia

Inaczej jest w Moskwie. Moskwa to nie miasto, nie zbiór trwałych obiektów, stan skupienia, lecz permanentny przepływ energii. Wieczny ruch, wieczne krążenie. Niewyczerpany nadmiar. Na bulwarze Smoleńskim jest pięć pasów w każdą stronę. Samochody o każdej porze dnia i nocy mkną w stronę stalinowskiego gmaszyska Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Nowego Arbatu albo w przeciwnym kierunku. Nigdy nie przestają, nigdy nie robią sobie przerwy. Kiedy masz tego dość, możesz zejść do metra Smoleńskaja i przejechać dwie stacje w kierunku Szczołkowskiej.

Wysiądziesz na Płoszczadi Riewolucii i natychmiast pochłonie cię tłum. Musisz wtopić się w falę idącą w tym samym kierunku co ty, bo inaczej nigdzie nie dojdziesz. Idziesz długim podziemnym tunelem do stacji Tieatral'naja, żeby przesiąść się na zieloną linię. Czujesz się jak we wnętrzu monstrualnego organizmu. W czeluściach hipermrowiska z marmuru i stali. Między tysiącami twarzy uda ci się czasami wyodrębnić jedną indywidualną. Patrzysz w nią jak w lustro, ale już po chwili przestaje istnieć. Stajesz na Tieatral'nej na peronie w kierunku Ałma-atinskiej.

Gdy z hukiem nadjedzie kolejne metro, wsiadasz jako ostatni, żeby tłum nie wepchnął cię w głąb wagonu, bo musisz wysiąść już na następnej. Wciskasz się więc na ostatniego, za plecami zatrzaskują się drzwi. „Sledujuszczaja stancija: Nowokuznieckaja". I znowu wiatr w ciemnym tunelu. Po trzech minutach wysiadasz.

Przemieszczasz się w ludzkiej rzece, mijając po obu stronach potoki sunące w przeciwnym kierunku. Znowu schody i tunel – przejście na stację Triet'jakowskaja. Wsiadasz na pomarańczowej linii i jedziesz dalej na południe. Około osiemnastej zawsze jest okrutny tłum. A przecież na następnej, Oktiabr'skiej, która łączy się z linią okrężną, wsiądą kolejni ludzie.

Ale teraz i tak jest już prościej. Tkwisz w otoczeniu ciał i czekasz. Mógłbyś się nawet nie trzymać poręczy. Ciała zbijają się w masę i kołyszą w rytm wagonów. Nawet telefon trudno wyjąć. Nad ziemią ciągną się nieskończone sypialnie. Miliony okien, poszatkowana przez beton czasoprzestrzeń. Do Bielajewa 20 min, a do Nowojasieniewskiej 30. Nieco luźniej robi się dopiero pod koniec. Wysiadasz i idziesz jeszcze kolejne 20 min do domu.

Paradoks istnienia

Wreszcie jesteś. Zapalasz żarówkę, taką samą jakich miliony żarzą się już w innych moskiewskich mieszkaniach. Radia nie włączasz, laptopa też nie odpalasz, bo masz chwilowo dosyć. Siadasz na kanapie i zamykasz oczy, ale to nie pomaga. W głowie wciąż huczy, wciąż przewalają się masy neuronów, migocą światła i skrzypią hamulce. Jakbyś wciąż jeszcze jechał. Przez głowę przemyka ci wiatr. Wiesz, że jesteś nikim. Wiesz też, że nie masz czasu. Już prawie w ogóle. Za szybko ucieka, żebyś mógł go mieć. A wraz z nim ucieka ci świat. Masz wokół wszystko, ale nie masz nic.

Tak więc kiedy czas jest, wtedy staje w miejscu, przestaje płynąć, znika. A kiedy go nie ma, wtedy biegnie, przyspiesza, wysuwa się na pierwszy plan. Jest, gdy go nie ma, i nie ma go, gdy jest. Paradoksalny, wewnętrznie sprzeczny, nieuchwytny. Im bardziej go gonisz, tym szybciej ci ucieka. Jak gdyby chciał czym prędzej powrócić do samego siebie – do wieczności, gdzie zostanie już tylko on i nic więcej.

Miał rację Heidegger, łącząc czas z byciem. Czas jest horyzontem istnienia. Najbardziej jest tam, gdzie nie ma nic. Gdzie pozostaje czyste istnienie. U kresu mapy albo w jej pustym wnętrzu. W tundrze, na stepie, na pustyni. Tam, gdzie rzeczy najmniej, a czystego horyzontu najwięcej. Słońca, powietrza, wiatru. Istnienia. Nie ma zaś tam, gdzie jest dużo rzeczy. Jakby te rzeczy go zjadały, wchłaniały w siebie, zostawiając nam tylko resztki.

***

Dlatego tak często myślę o biegunie północnym. Tam czasu musi być nieskończenie wiele. Nie ma tam absolutnie nic, więc zostaje samo bycie. Absolut. Czas tam nie ucieka, lecz stoi w miejscu. W rytmie jednego dnia i jednej nocy trwających łącznie rok. Wtedy zaczynasz rozumieć, że absolutne znieruchomienie czasu to śmierć. Bo przecież śmierć musi wyglądać właśnie tak jak biegun północy. Albo jak Sahara. Absolutny horyzont i absolutna pustka. Jeśli więc chcesz żyć, zaczynasz iść na południe. Kiedy idziesz, czas jak cień podąża za tobą. Z dokładnie taką prędkością jak ty. Musisz zatem przyspieszyć. Jest tak długo, jak długo ty jesteś. Cała reszta jest wiecznością.

Często myślę o biegunie północnym. Tam czasu musi być nieskończenie wiele. **Nie ma tam absolutnie nic, więc zostaje samo bycie. Absolut**

Michał Milczarek
jest filozofem, podróżnikiem, pisarzem. Adiunkt w Instytucie Filologii Wschodniosłowiańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor książek, m.in. *Donikąd. Podróże na skraj Rosji* (Wydawnictwo Czarne 2019).

Dzień, w którym Ana odeszła

Gruzja uchodzi za kraj toastów, chinkali i pięknych gór. Tymczasem jeśli poskrobać uroczy obraz, wychodzi wiele gorzkich prawd. Jedną z nich jest sytuacja tamtejszych kobiet – często tragiczna

TEKST: STASIA BUDZISZ

materiały prasowe fundacji Human Doc

Najważniejsze, żeby nie przynieść wstydu. I żeby ludzie źle nie myśleli, nie pokazywali palcami, nie obgadywali. Wszystko ma wyglądać jak należy: dobry dom, dobra rodzina, dobre życie. Smutek trzeba trzymać w sobie. Złość ukryć. Uśmiech przykleić. Siniaki zamalować. I nie pozwolić, by ktoś się dowiedział. Za nic.

Klasyczna rodzina

Ana wyszła za mąż, gdy miała 19 lat. Ale nie z miłości. Giorgi ją ukradł, przyprowadził do domu i pojął za żonę. Bez pytania, bez dyskusji i bez większego szumu. Taki zwyczaj, który przestępstwem stał się dopiero w 2012 r. Wtedy, w 1997 r., Gruzja cieszyła się na świecie opinią państwa upadłego, a w kraju zasadniczo każdy robił, co chciał.

„Rodzina mojego męża była zwyczajną rodziną, w której była przemoc, a i ta była zwykłą przemocą" – mówi Ana. „Już od pierwszego dnia w nowym domu stałam się jej ofiarą, ale nie zdawałam sobie z tego sprawy. Prawie każda kobieta w moim otoczeniu tak miała. To, czego ja chciałam, nie miało żadnego znaczenia. Nikt mnie nie pytał o zdanie. Ukradł mnie, więc musiałam zostać. Nawet mi się wydawało, że żyliśmy normalnie. Jak wszyscy."

Giorgi nie pozwalał Anie pracować, ale nie wydzielał jej pieniędzy i nie kontrolował wydatków. Tłumaczyła sobie, że to z miłości i troski, że sam chciał o nią zadbać. Takiego męża można tylko pozazdrościć. Przez 18 lat małżeństwa Ana nie przepracowała ani jednego dnia. Nie lubił, jak była poza domem i spotykała się z innymi ludźmi. Był w końcu jej mężem, patroni, a ona była jego własnością.

„Chciał mieć mnie tylko dla siebie i był chorobliwie zazdrosny" – mówi Ana. „Jakiekolwiek moje wyjście kończyło się awanturą i biciem. W końcu sama odsunęłam się od znajomych, bo to źle wpływało na niego i na naszą rodzinę. Nie chciałam prowokować, wiedziałam, że muszę go słuchać, bo taka jest rola żony. Kiedy mnie bił, czułam, że zawiniłam swoim zachowaniem i zasłużyłam na karę" – dodaje.

Ana wyszła za mąż, kiedy miała 19 lat. Ale nie z miłości. **Giorgi ją ukradł, przyprowadził do domu i pojął za żonę**

Podopieczna schroniska dla ofiar przemocy domowej w Megrelii z dziećmi

materiały prasowe fundacji Human Doc

W trakcie terapii grupowej dla dzieci z domów przemocowych

Rodzina męża, choć stawała w jej obronie, uważała, że żona powinna być posłuszna i robić wszystko, by nie denerwować męża. Swojej się nie żaliła. Było jej wstyd, że tak wygląda jej życie. Zwłaszcza że uchodziła za osobę silną, z którą nie mają prawa dziać się takie rzeczy. Na zewnątrz wszystko wyglądało idealnie: zgodne małżeństwo z trójką dzieci. I mąż, który cieszy się dobrą opinią. Ale w domu, zwłaszcza kiedy wypił, każde z nich szukało miejsca, w którym Giorgi ich nie dorwie. Wtedy Ana bała się naprawdę. Ale nie wiedziała, co zrobić, z kim porozmawiać, do kogo się zwrócić. Nie miała ani pracy, ani żadnego doświadczenia zawodowego. Była matką, żoną i synową. Dbała o dom, ale rzadko go opuszczała.

Zmiana

Dzień, w którym Ana odeszła, nie zdarzył się nagle. Mentalnie przygotowywała się do niego przez trzy lata. Ostatnie pięć lat małżeństwa było piekłem, bo Giorgi, kiedy tylko pojawiał się w domu po wizytach u kochanki, wpadał w szał. Bił, krzyczał, nie zważał na nic i na nikogo. Wyganiał ją z domu. Poniżał. Mówił, że nie może na nią patrzeć. Ana trwała, bo: dzieci, rodzina, sąsiedzi. Nie wiedziała, co robić, dokąd pójść, za co żyć.

Najpierw porozmawiała z przyjaciółką i rodziną męża, która była niemym świadkiem poczynań Giorgiego. Rozumieli, ale nie chcieli, by odchodziła.

„Widzieli, co się dzieje i że tak nie da się żyć" – mówi Ana. „Przecież rozwód to nie tylko wstyd, to jeszcze rozbita rodzina. Powtarzali, że jestem matką ich wnuków, więc mam prawo mieszkać z nimi. No ale co mi po takim mieszkaniu? Przecież to ich syn, który w każdej chwili będzie mógł wrócić do siebie. To ja byłam obca, nie on."

W Gruzji, zgodnie z konstytucją, syn i córka dziedziczą mienie po rodzicach na równi. Ale zgodnie ze zwyczajem syn stoi na pozycji uprzywilejowanej. Raport stworzony w 2018 r. przez Azjatycki Bank Rozwoju pokazuje, że niewiele ponad 50 proc. kobiet jest właścicielkami lub współwłaścicielkami mieszkań albo gruntów. A gospodarstwa rolne są zarejestrowane na kobiety tylko w 30 proc. Ana nie miała nic. Za to czekały ją rozmowa z bratem i rodzicami oraz rozwód. Musiała się przed nimi przyznać i poprosić o pomoc.

„Brat przyjął mnie do siebie, a rodzice to zaakceptowali. Było im oczywiście ciężko, bo to cztery dodatkowe osoby, ale bardzo nam pomogli. Większość kobiet w Gruzji nie ma wsparcia w rodzinie, bo rozwód to wstyd i hańba na honorze. I choć z roku na rok rozwódek przybywa, to nadal jest im trudno, bo byli już mężowie z reguły przestają interesować się swoimi byłymi dziećmi. Kobiety często nie mają prac albo za swoją pensję nie są w stanie utrzymać rodziny" – podkreśla.

Przemoc psychiczna, ekonomiczna czy seksualna **są najmniej uświadomionymi rodzajami przemocy w gruzińskim społeczeństwie**

materiały prasowe fundacji Human Doc

Schronisko dla ofiar przemocy domowej

Ana po raz pierwszy w życiu musiała poszukać pracy. Imała się wszystkiego. Za niewielkie pieniądze udzielała korepetycji z gruzińskiego i dorabiała w przedszkolu jako opiekunka do dzieci. Wtedy właśnie, po pół roku, trafiła na szkolenie dotyczące przemocy domowej dla nauczycieli i opiekunów. Organizowała je Fundacja HumanDoc, która w ramach współpracy rozwojowej polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych prowadziła szkolenia dla nauczycieli, lekarzy i policjantów, grup zawodowych, które zgodnie z ustawą o eliminowaniu przemocy w rodzinie są włączone w system.

„Po raz pierwszy publicznie opowiedziałam moją historię. Gdyby nie trenerka Barbara Leszczyńska, nigdy bym się na to nie zdobyła. Zapytała, czy przychodzi nam do głowy jakiś przykład, i zgłosiłam się na ochotniczkę. Ja – ofiara przemocy domowej. To było dla mnie stresujące, ale nikogo nie znałam, pewnie dlatego się przemogłam" – wspomina.

To szkolenie przyniosło Anie wiele zmian w życiu zawodowym. Organizacja Mercury z Zugdidi w zachodniej Gruzji, która z ramienia HumanDoc prowadzi schronisko dla ofiar przemocy domowej, zaproponowała jej kursy rachunkowości i komputerowy. Ana jako beneficjentka stała się liderką Klubu Kobiet, do którego raz w tygodniu zapraszała inne kobiety, ofiary przemocy domowej, na kawę i luźne rozmowy. Była przykładem osoby, której udało się stanąć na nogi. A na początku 2019 r. organizacja zdecydowała się zatrudnić Anę na stanowisko pracownicy socjalnej w Centrum Wsparcia Rodziny.

Co z tą przemocą?

W środowiskach patriarchalnych przemoc domowa często ma podłoże kulturowe. Między innymi dlatego Fundacja HumanDoc zaczęła uświadamianie tego problemu od wspomnianych grup zawodowych, które mimo obowiązków jej zgłaszania i zapobiegania nie dysponowały ani narzędziami, ani wiedzą, jak z nią postępować. W ramach szkoleń przygotowano podręczniki, które zaakceptowały gruzińskie instytucje państwowe oraz biuro rzecznika praw obywatelskich.

„W Gruzji nie wszyscy rozumieją, że przemoc może mieć różne formy" – mówi Stanisław Brudnoch, koordynator projektów współpracy rozwojowej Fundacji HumanDoc. „Dla większości najbardziej rozpoznawalną jej formą jest przemoc fizyczna. I ta jest najmniej akceptowana, ale już większy problem jest z określaniem przemocy psychicznej, ekonomicznej czy seksualnej. Te dwie ostatnie są najmniej uświadomionymi rodzajami przemocy w gruzińskim społeczeństwie [według danych ministerstwa spraw wewnętrznych Gruzji najczęściej zgłasza-

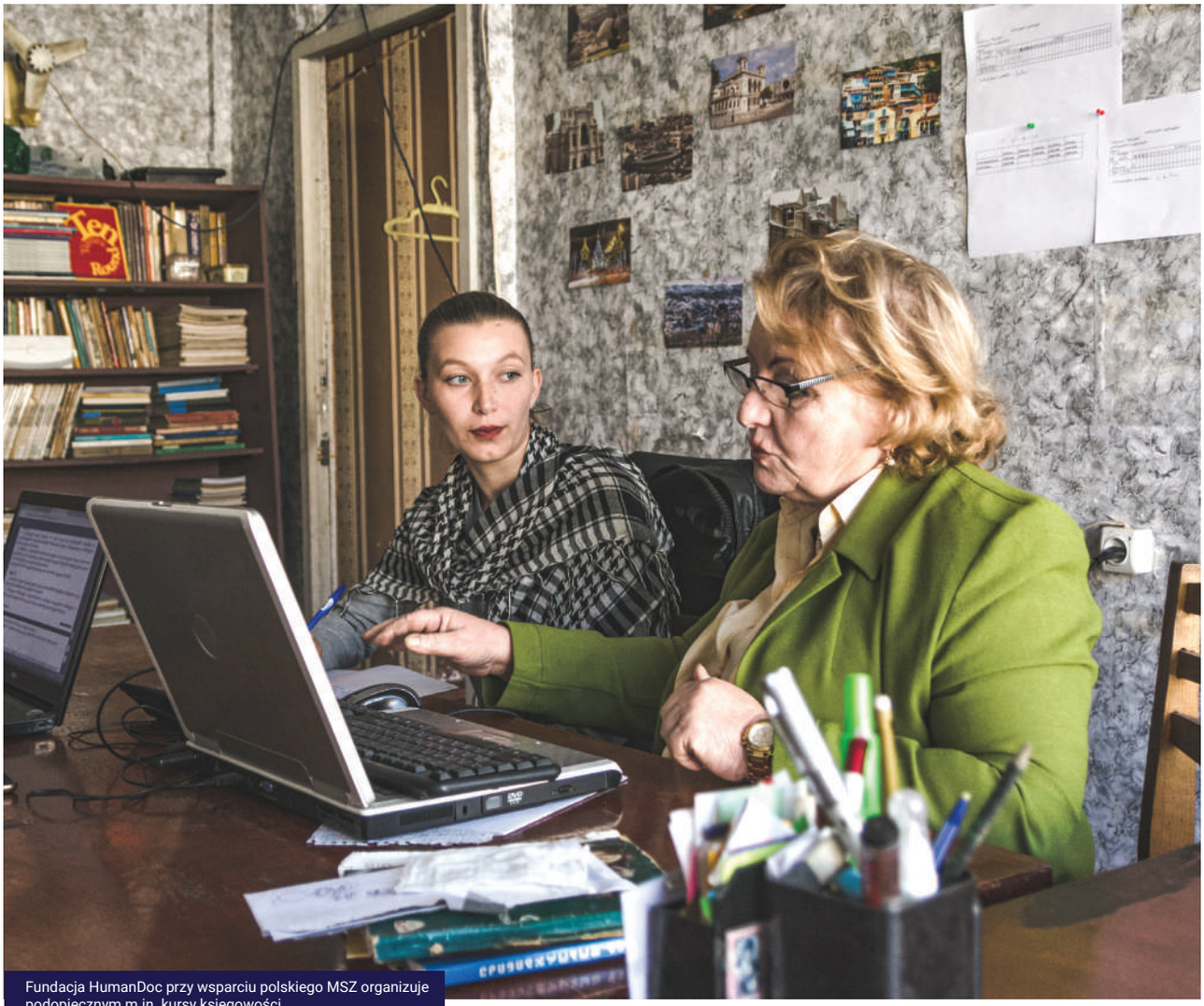

materiały prasowe fundacji Human Doc

Fundacja HumanDoc przy wsparciu polskiego MSZ organizuje podopiecznym m.in. kursy księgowości

na jest przemoc psychiczna – 75 proc., ekonomiczna – 2,5 proc., seksualna – 0,5 proc. – przyp. S.B.]. Wydzielanie i kontrolowanie wydatków przez partnera jest w Gruzji uważane za coś normalnego, wynika to m.in. z kwestii kulturowych, zgodnie z którymi kobieta jest w pewnym sensie własnością męża czy jego rodziny. A o przemocy seksualnej bardzo często po prostu wstyd mówić" – tłumaczy Brudnoch.

Co prawda głównymi ofiarami przemocy domowej są kobiety, bo stanowią aż 88 proc. ofiar, jednak z roku na rok coraz odważniej mężczyźni zgłaszają, że oni również padają ofiarą przemocy. Według danych Gruzińskiego Urzędu Statystycznego w 2017 r. 10 proc. oprawców stanowiły kobiety, a w 2018 r. ten procent wzrósł do 14.

„Przemoc domowa w Gruzji ma się świetnie" – mówi Ana. „W Centrum Wsparcia pracujemy nie tylko z kobietami, młodzieżą i dziećmi, lecz także z mężczyznami. To dla mnie bardzo ciekawe doświadczenie, właśnie ze względów kulturowych, ponieważ u nas mężczyzna nie mówi o uczuciach, to oznaka słabości. A przyznanie się do tego, że jest zależny od kobiety, może być przyczyną wykluczenia społecznego. To strach przed oceną, brakiem szacunku otoczenia. W tym wypadku kobietom jest chyba łatwiej" – dodaje.

„Praca z mężczyznami jako ofiarami i sprawcami przemocy domowej dopiero zaczyna się rozwijać" – mówi Stanisław Brudnoch. „To w Gruzji nowy temat, ale bardzo palący. Stereotypowy gruziński mężczyzna powinien być silny i pewien siebie, a tę rolę przy trudnej sytuacji ekonomicznej kraju, wysokim bezrobociu i rosnącej emigracji trudno spełnić. Z myślą o kobietach powstało pięć państwowych i trzy prowadzone przez organizacje pozarządowe ośrodki pomocy i schroniska dla kobiet z dziećmi. A dla mężczyzn, zarówno ofiar, jak i sprawców, nadal nie ma skutecznie działającej oferty pomocy. Planujemy wspierać także ich, ponieważ ta grupa również jest ofiarą systemu patriarchalnego" – zaznacza.

Z raportów Fundacji HumanDoc wynika, że od 2018 do 2019 r. przed schronisko przewinęło się 75 matek z dziećmi. A Centrum Wsparcia Rodziny udzieliło pomocy 150 osobom – parom małżeńskim, młodzieży, kobietom i mężczyznom.

materiały prasowe fundacji Human Doc

Kursy zawodowe prowadzone są indywidualnie przez trenerów i trenerki wyszkolone w pracy z osobami z traumą

Wzór dla Polski

W Gruzji na poziomie państwowym także widać zmiany. Pojęcie przemocy domowej w gruzińskim prawodawstwie pojawiło się w 2006 r. Rok 2010 przyniósł podpisanie ustawy o równości płci, ale ta, podobnie jak wprowadzone w 2014 r. tzw. prawo antydyskryminacyjne (w pewnym stopniu wymuszone przez Unię Europejską, ponieważ jego podpisanie było jednym z warunków wprowadzenia ruchu bezwizowego dla obywateli Gruzji przez UE), istnieje tylko na papierze. Nie ma narzędzi do ich egzekwowania.

Przełomem w przeciwdziałaniu przemocy domowej był rok 2012, w którym ta przestaje być wykroczeniem, a staje się przestępstwem ściganym z ramienia prawa karnego.

W maju 2016 r. Gruzja przyjęła ustawę o eliminacji przemocy w rodzinie, zgodnie z którą należy reagować, wykrywać i udzielać pomocy ofiarom, a 2017 r. przyniósł ratyfikację konwencji Rady Europy o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej oraz konstytucyjny zapis o równości płci. Poza tym w styczniu 2018 r. gruzińska policja stworzyła Departament Praw Człowieka, który m.in. monitoruje i kontroluje interwencje policji. Każdy kontroler ma dostęp do zgłaszanych spraw i ich dokumentacji.

„To, co dzieje się w obszarze walki z przemocą domową w Gruzji, uważam za sukces" – mówi Brudnoch. „Rośnie świadomość. W Zugdidi organizacja Mercury pracowała z kobietami, ale od 2016 r., przy wsparciu polskiego MSZ, zaczęliśmy działać systemowo i bardziej profesjonalnie. Oprócz wsparcia psychologicznego, prawnego i pomocy pracownika socjalnego organizujemy także kursy zawodowe dla naszych beneficjentek. Od początku naszej działalności skorzystały z nich 64 kobiety, z czego aż 85 proc. udało się zmienić pracę albo otrzymać awans w obecnej" – dodaje

Brudnoch podkreśla jednak, że nie tak łatwo do nich trafić. Adres schroniska dla kobiet jest tajemnicą, zna go policja, która dowozi ofiary po interwencji. Z kolei Centrum Wsparcia jest dostępne dla każdego.

„Muszę pochwalić Gruzję za to, że udało jej się wprowadzić skutecznie to, co nie działa w Polsce. Mianowicie zakaz zbliżania się oprawcy do ofiary. 30-dniowy zakaz może wydać policjant podczas interwencji. W samym 2018 r. wydano ich 7646. Gruzji udało się to być może dlatego, że jest zdecydowanie lepiej zinformatyzowana niż nasz kraj" – zaznacza Brudnoch.

Ana wyszła z przemocowego związku po 18 latach z pomocą rodziny, przyjaciół i wparcia ze strony specjalistów. Zapytałam ją, dlaczego tyle czekała. Po długim milczeniu odpowiedziała: „Nie wiem".

Stasia Budzisz
jest reporterką, która zajmuje się tematami związanymi z Kaukazem i Europą Wschodnią. Współpracuje z „Przekrojem" i „Nową Europą Wschodnią". Autorka książki *Pokazucha. Na gruzińskich zasadach.*

Integracja to my sami

Mówiąc o dzieciach, często różnicujemy je na dzieci „zwykłe" i „chore". Te dwa terminy prowokują ważną dyskusję na temat: „Czy w naszym kraju udała się integracja?"

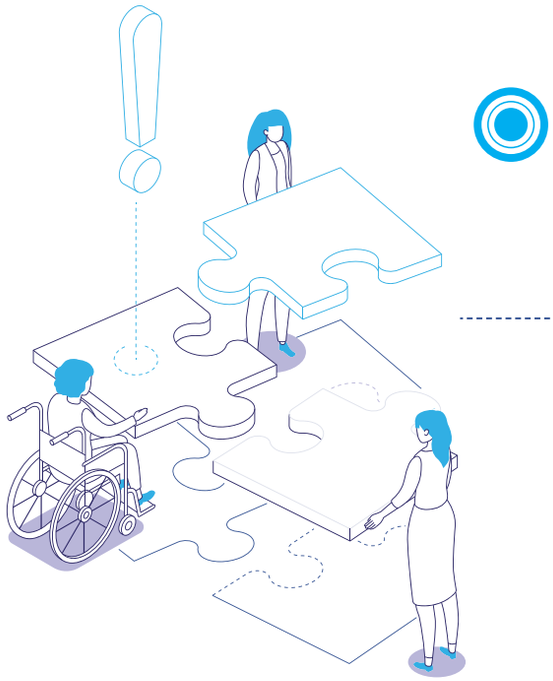

Getty Images

TEKST: MAŁGORZATA NOCUŃ

Lekarze, terapeuci podkreślają, jak ważny jest język. Powiedzieć dziecko „zwykłe" (albo jeszcze gorzej: „normalne") i „chore" to zupełny brak kultury i wyczucia. Nie mówmy także: „osoby niepełnosprawne", mówmy: „osoby z niepełnosprawnościami". Brzmi zupełnie inaczej i pokazuje, że niepełnosprawność nie powinna determinować niczyjego życia.

Niestety najczęściej słyszę w radiu i czytam w polskiej prasie o „osobach niepełnosprawnych". Język, odpowiedni program nauczania w szkołach, zrozumienie, że osoby z niepełnosprawnościami nie chcą od państwa ciągłych ulg, chcą w pełni korzystać z przestrzeni miejskiej, komunikacji, placów zabaw, obiektów sportowych. Chcą po prostu być z nami na równych prawach. Chcą, by o nich pomyśleć, planując przestrzeń miejską, program edukacji w szkole.

Swoi i inni

Od dwóch lat śledzę blog *Cała naprzód* prowadzony przez Weronikę Lasek, mamę Wiktorii, 4-letniej dziewczynki z niepełnosprawnością. Blog jest zapisem codzienności (której znaczną część zajmują fizjoterapia, wizyty u różnego rodzaju specjalistów i ćwiczenia w domu), przemyśleń Weroniki, komentarzy na temat życia z dzieckiem z niepełnosprawnością. Weronika – jak większość mam dzieci z niepełnosprawnością – musiała zrezygnować z pracy zawodowej. W Wadowicach, czyli swoim rodzinnym mieście, nie jest w stanie zapewnić córce odpowiedniej opieki, musi często wyjeżdżać na turnusy rehabilitacyjne do Warszawy.

Zaczęłam czytać wspomniany blog, ponieważ zawierał wiele cennych informacji na temat wcześniactwa – z powodów osobistych interesującego mnie problemu. Później śledziłam losy Wiktorii i Weroniki, robiłam to trochę terapeutycznie, bowiem lektura zamieszczonych tekstów daje sporo siły i pozwala ustawić priorytety w życiu.

Weronika w piękny sposób pisze o swoim dziecku, o przyjaźni z córką, dużo jest w tych tekstach optymizmu, humoru i dobra. Niedawno Wiktoria przeszła skomplikowaną operację za granicą. Na umieszczonej pod postem fotografii dziewczynka śpi podłączona do medycznej aparatury, łóżko obok zajmuje mama, trzymają się za dłonie. Pod fotografią blogerka umieściła komentarz, jest to spis pytań:

„Kiedy wiadomo, że obrana droga była słuszna?

Czy kiedykolwiek można być tego pewnym?

Jak poprowadzić życie niepełnosprawnego dziecka, by zrównoważyć jego rozwój społeczny, psychiczny, emocjonalny i fizyczny?

Kiedy i na ile pozwolić być dzieckiem, a na ile wycisnąć potencjał na maksa?

Dbać o kontakt ze zdrowymi i narazić na poczucie inności, a nie rzadko i odrzucenia, ale i nauczyć poruszania się w normalnym świecie i uodpornić na ciosy?

Czy może lepiej żyć tylko w »swoim« środowisku, tych »innych«?".

Ten podział na „swoich" i „innych" mnie zabolał, choć wiem, że tak właśnie jest, że świat w naszym kraju w ten sposób dzieli dzieci, a także dorosłych z niepełnosprawnością. Niestety rodzice i szkoła często nie uczą empatii wobec słabszego. Nie otwierają dzieci na rozumienie inności.

Dziecko z niepełnosprawnością, ale w normie intelektualnej, może uczęszczać do integracyjnego przedszkola i szkoły podstawowej. W pierwszych trzech klasach sobie poradzi, ale później, kiedy program staje się przeładowany nawet dla dzieci nieobciążonych niepełnosprawnością, zaczynają się problemy. Szkoły są niedofinansowane, brakuje odpowiednich pomocy dydaktycznych, oraz kadry: nauczycieli wspomagających, pedagogów.

Niedawno poznałam dziewczynkę, która cierpi na czterokończynowe mózgowe porażenie dziecięce. Nie chodzi samodzielnie, nie siedzi, z trudem kontroluje głowę. Ma niesprawne ręce, uczy się mówić, ale jest w normie intelektualnej. To bystre dziecko. Jej matka rozkłada ręce.

„Chyba będę musiała oddać ją do szkoły specjalnej. Nie ma placówki, która ją przyjmie i zaopiekuje się na odpowiednim

poziomie. A jak dziewczynką zaopiekuje się szkoła specjalna? Czy jej potencjał intelektualny zostanie wykorzystany? Czy ktoś odkryje jej talenty? Odpowie na jej zapotrzebowania? Nie”

W Polsce dla dzieci z niepełnosprawnością brakuje wszystkiego: placów zabaw, miejsc rozrywki, przedszkoli i szkół. Niedawno ojciec dziecka z niepełnosprawnością chciał odwiedzić słynny park rozrywki. Nie wszedł do niego, okazało się bowiem, że jego córka nie może z niego skorzystać, bo miejsce nie było dostosowane do jej potrzeb. Po co myśleć o dzieciach z niepełnosprawnością, jeśli wielki park rozrywki i tak jest zawsze zatłoczony i zarabia krocie?

Tolerancja

Magdalena Moskal, mama Emila, który jest dzieckiem z niepełnosprawnością, twierdzi, że integracja się udaje, ale w określonych miejscach. Moskal wymienia miejsca, które prowadzą terapię dla dzieci dotkniętych niepełnosprawnością i ich rodzin, przedszkola, szkoły. Czasem problem tkwi w samych rodzicach.

„To często rodzice podejmują decyzję, gdzie ich dziecko będzie uczęszczać: do szkoły zwykłej, integracyjnej czy specjalnej. Znam przypadki, kiedy dziecko posiadało orzeczenie o sprzężonej niepełnosprawności i rodzice wybierali dla niego zwykłą szkołę. Ono jednak nie było w stanie sprostać – przemęczone zasypiało na lekcjach, nie radziło sobie z nadmiarem materiału. Szkoła nie miała narzędzi i możliwości, by się nim zaopiekować. Na pewno lepszym rozwiązaniem byłaby w tym przypadku placówka integracyjna bądź specjalna, ale – i tu dotykam istoty problemu – to najpierw mama powinna uznać, że jej dziecko jest dzieckiem z niepełnosprawnością, pogodzić się z tym faktem, być może podczas terapii. To ona powinna się w pierwszej kolejności z tym dzieckiem zintegrować” – mówi Moskal.

Dziecko z niepełnosprawnością radzi sobie w przedszkolu, klasach 1-3 w szkole podstawowej, problemy zaczynają się później.

„To ogromny dylemat, co z takim dzieckiem zrobić. Uczęszczało do szkoły integracyjnej, wszyscy byli dla niego mili, malowali mu serduszka, pomagali i nagle przenosi się je do szkoły specjalnej?” – kontynuuje matka.

Moskal uważa, że przedszkola i szkoły integracyjne muszą być małe, musi w nich pracować większa liczba personelu. W Polsce takich miejsc albo brakuje, albo jeśli są, to znajdują się w rękach prywatnych i czesne stanowi spory wydatek. Jako przykład dobrze działającej placówki integracyjnej Moskal podaje przedszkole, do którego uczęszcza jej syn Emil. Jest w nim kilkoro dzieci z orzeczeniem o niepełnosprawności, odpowiednio dobrany personel (pięć nauczycielek), wrażliwy na potrzeby swoich wychowanków.

„Ale wiesz, dlaczego tak się dzieje?” – pyta Moskal. „Bo do tego przedszkola posyłają dzieci ludzie o dużej wrażliwości społecznej. Cieszą się, że będą one mogły zrozumieć, czym jest niepełnosprawność, i otworzyć się na nią.”

Tej samej „wrażliwości społecznej” zabrakło w jednej z krakowskich podstawówek. Dyrektorka chciała zrobić spektakl o tolerancji, ale któryś z rodziców powiadomił kuratorium oświaty, że w szkole, do której uczęszcza jego dziecko, wspiera się... LGBT. Spektakl się nie odbył.

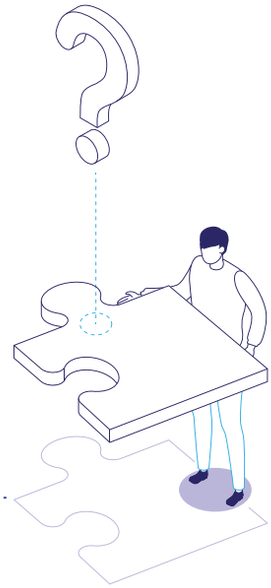

Grube linie

Szkoły integracyjne, niestety, też nie zawsze odpowiadają na potrzeby uczniów, którzy potrzebują większej uwagi pedagogów i mają większe potrzeby. Jedna z matek, z którą rozmawiałam, ma córkę w normie intelektualnej, ale z bardzo dużą wadą wzroku. Dziewczynka nosi grube okulary, niedowidzi i dodatkowo ma ograniczone pole widzenia. Jej oczy rejestrują to, co znajduje się na wprost, nie widzi przedmiotów i ludzi znajdujących się po bokach. Jeśli ktoś ją widzi, zupełnie nie zdaje sobie sprawy, że jest dzieckiem z niepełnosprawnością. Pada ten bardzo źle brzmiący argument: „wygląda normalnie”. Dodatkowo jest bardzo uzdolniona muzycznie.

„Ale niestety w szkole integracyjnej nie widzę dla niej miejsca. Nauczyciele na siłę starali się nas przekonać, że córka może korzystać z normalnych zeszytów, tymczasem ona potrzebuje papieru z bardzo szeroką linią. Po prostu nie widzi linii cieńszych. Nie radzi sobie przez to z nauką pisania. Kilka razy prosiłam, by nauczyciele zrozumieli, że wada wzroku mojej córki jest tak duża, że wymaga dodatkowych pomocy naukowych. Niestety byli na moje prośby głusi” – opowiada.

Niedawno znajoma lekarka zapytała mnie: „Kiedy przychodzi ten czas, że zaczynamy wyśmiewać się z inności, przestajemy ją rozumieć, przestajemy czuć chęć pomocy słabszym?”.

Wnuk wspomnianej lekarki bardzo dobrze odnajduje się w towarzystwie znajomego dziecka z zespołem Downa. Pomyślałam, że to my, dorośli, uczymy dzieci nietolerancji. Uczymy je wytykania inności palcami i kpienia z niej. Kinga, matka bliźniaków z mózgowym porażeniem dziecięcym, wzrusza się, kiedy jej dzieci mają kontakt z niepełnosprawną koleżanką. W tym środowisku dla wszystkich jest jasne, że dziecko może nosić ortezy i że może się ślinić. Kiedy się ślini, to po prostu wyciera mu się buzię i już. Jej dzieci nie mają z tym problemu, nie brzydzą się. Dlaczego? Bo nikt im nie powiedział, że należy się brzydzić.

Integracja to nie tylko szkoły o specjalnym profilu, miejsca przystosowane dla osób z niepełnosprawnościami – integracja to my sami.

Małgorzata Nocuń
jest dziennikarką, 25 marca nakładem Wydawnictwa Czarne ukaże się jej książka *Wczesne życie* opowiadająca o problemach wcześniaków.

Janusz Waluś, czyli w niewoli jednej decyzji

Pojechałem do Janusza Walusia, żeby opisać mordercę. Spotkałem człowieka łagodnego, oczytanego, z dużym dystansem do siebie i autoironicznym poczuciem humoru.

Z CEZARYM ŁAZAREWICZEM
ROZMAWIA MARTYNA SŁOWIK

10 kwietnia 1993 r. Chris Hani, przywódca czarnych walczących o zniesienie apartheidu, który popularnością dorównywał samemu Nelsonowi Mandeli, został zastrzelony przed swoim domem na przedmieściach Boksburga. Zabójcą był imigrant z Polski, Janusz Waluś, który został skazany na dożywotnie więzienie. Śmierć Haniego uważana jest za punkt zwrotny w historii RPA – biali i czarni zrozumieli, że nakręcanie spirali nienawiści i odwetu może doprowadzić do wojny domowej. Rok później odbyły się wolne wybory, w których Afrykański Kongres Narodowy pod przewodem Mandeli przejął władzę.

Mirosław Skowronek/Agencja Gazeta

MARTYNA SŁOWIK: Przygotowując książkę o Walusiu, kilka razy odwiedzałeś Republikę Południowej Afryki. Jaki się tam czułeś?

CEZARY ŁAZAREWICZ: To piękny, ale niebezpieczny kraj. Czułem to, gdy przejeżdżałem przez centrum Johannesburga. Wygląda to jak slums i biali tam nie wchodzą. Przy osiedlach mieszkaniowych, nawet w centrum, są druty kolczaste, płoty pod napięciem. Nie istnieje komunikacja miejska. Są tylko busiki, które nie mają stałej trasy i przystanków. Ludzie porozumiewają się w nich niezrozumiałymi dla kogoś z zewnątrz gestami rąk. Pasażer, który chce wsiąść albo dowiedzieć się, gdzie jedzie taki autobus, wykonuje gesty, a kierowca odpowiada mu podobnymi i dzięki temu ten pierwszy orientuje się, jaka będzie trasa. W autobusie siedzą tylko osoby czarne. Biali jeżdżą samochodami. Mieszkają na obrzeżach miast w strzeżonych osiedlach i spotykają się w ogromnych centrach handlowych, gdzie znajdują się kina, restauracje, luksusowe sklepy. Każdy może tam wejść, czarni też, ale to głównie enklawa białych.

Przytrafiła ci się niebezpieczna sytuacja?

Nie, ale wszyscy moi rozmówcy opowiadali mi o tym, że doświadczyli przemocy. Prawdziwą plagą są morderstwa [ok. 20 tys. rocznie – red.]. Ostrzegano mnie, że w wypadku napaści powinienem oddać bez protestów telefon komórkowy albo portfel, by nie zostać zastrzelonym.

Odczułeś jakoś napięcia rasowe?

Tak, kiedy poszedłem po przepustkę do więzienia Kgosi Mampuru II w Pretorii, gdzie siedzi Waluś. Byłem jedynym białym oczekującym na widzenie z więźniem. Poczułem jak czarnoskóry strażnik sprowadził mnie do parteru, bo podchodząc do jego stolika w hali widzeń, od razu zacząłem pytać o przepustkę. Według niego zachowałem się niestosownie, bo nie powiedziałem najpierw „dzień dobry panu".

Gdy Janusz Waluś przyleciał do RPA jako emigrant z PRL-u, w kraju wciąż obowiązywało prawo apartheidu?

Waluś wylądował w Johannesburgu w 1981 roku. Wcześniej – w 1976 roku – przyleciał jego brat. Republika Południowej Afryki była wtedy jedynym państwem na świecie, gdzie obowiązywały wprowadzone w 1949 roku przepisy segregacji rasowej. W 312 aktach prawnych szczegółowo regulowały kontakty między ludźmi. Wszyscy byli podzieleni na rasy: białą, czarną, kolorową i azjatycką. Każdy swoją miał zapisaną w urzędowych dokumentach. Państwo dbało, by rasy się nie mieszały. Osobno żyli Azjaci, kolorowi i czarni, a wszyscy byli oddzieleni strefami buforowymi od osiedli białych.

Po masakrze w Sharpeville w marcu 1960 r., gdzie policja otworzyła ogień do tłumu demonstrantów, zdelegalizowano Afrykański Kongres Narodowy, największą organizację reprezentująca czarnych. Zszedł do podziemia i powołał zbrojne oddziały Włóczni Narodu (Umkhonto we Sizwe), które walczyły z rządem, wysadzając urzędy, elektrownie, słupy wysokiego napięcia i placówki pocztowe. W 1962 roku przywódcy ANC zostali aresztowani i skazani na dożywocie. Był wśród nich Nelson Mandela.

Mandela był też pierwszą osobą na liście do zlikwidowania, którą w 1993 roku Clive Derby-Lewis, lider Partii Narodowej, pokazał Januszowi Walusiowi. Dopiero na trzecim miejscu znajdował komunista Chris Hani, uchodzący za bardziej radykalnego.

Kolejność na liście była zupełnie przypadkowa. Mandeli nie dało się dosięgnąć, był bardzo dobrze chroniony. W 1992 i 1993 r., gdy mówił o pojednaniu, czarne i radykalne przedmieścia go wygwizdywały. Był ugodowcem, a to się nie podobało. Nad tłumami panował Hani, bo to on przeszedł szlak bojowy – organizował partyzantkę, przeżył zamachy, w których miał zginąć.

Był charyzmatycznym przywódcą potrafiącym przemawiać do tłumów. Mandela był symbolem, miał światowe kontakty, ale w RPA to Hani się liczył. Poza tym Mandela do 1990 r. siedział w więzieniu. Spędził za kratkami 27 lat, a gdy wyszedł, znał niewielu ludzi.

Nota bene, podobnie będzie z Januszem Walusiem. Kiedy wyjdzie z więzienia, nie będzie już miał pojęcia ani o Południowej Afryce, ani o Polsce. Całe życie przeleciało obok niego.

Mimo to Janusz Waluś nie sprawia wrażenia osoby, która żałuje swojego czynu. Dlaczego zabił?

Z powodów politycznych, nie było w tym nic osobistego. Wierzył, że zmieni bieg historii, a RPA będzie dzięki niemu lepsze, mniej okrutne dla białego człowieka. Był przekonany, że bierze na siebie ofiarę – liczył się z tym, że go zastrzelą lub zostanie zamknięty. Wierzył, że ta ofiara nie idzie na marne, że Afrykanerzy docenią jego poświęcenie. Pomylił się. W RPA został bardziej zapomniany niż w Polsce, ale w polskich gazetach z tamtego czasu notki o nim też z roku na rok i miesiąca na miesiąc były coraz mniejsze. Dopiero po 2010 r., kiedy odrodził się w Polsce ruch nacjonalistyczny, ONR stało się silniejsze i wyszło na ulice, zaczęły płynąć do więzienia w Pretorii listy z poparciem. Odczuł wsparcie, które dało mu siłę i przekonanie, że jego wybór był racjonalny.

Myślał o sobie jako mesjaszu RPA i Afrykanerów?

Był przekonany o wyjątkowości swojej misji. Gdy południowoafrykańska dziennikarka Melinda Ferguson zapytała go, czy ma wyrzuty sumienia, zaprzeczył. Powiedział, że ma poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Waluś zawołał Haniego po nazwisku na podjeździe jego domu. Gdy ten odwrócił się w jego stronę, oddał cztery strzały. Pierwszy w korpus, drugi w głowę, później jeszcze dwa za ucho. Wszystko to z zimną krwią, bez emocji i zawahania. Dlaczego nie miał żadnych wątpliwości, strzelając z bliska do bezbronnego człowieka?

Pytałem go o to. Odpowiadał jak żołnierz: decyzja została podjęta, trzeba było wykonać, nie mogłem się przecież wycofać.

Nie żałujesz, że przedstawiłeś go w książce jako normalnego człowieka?

Poszedłem na spotkanie się z mordercą, który dokonał strasznego czynu, a z tych rozmów zaczął wyłaniać się samotny człowiek, twardy, pozbawiony pomocy, który z godnością znosi swój los i którego, po ludzku, robi ci się żal. Sprawia wrażenie łagodnego, oczytanego, z dużym dystansem do siebie i autoironicznym poczuciem humoru.

Jego normalność była dla mnie ogromnym zaskoczeniem. Nie mogłem tego odrzucić i przedstawić go inaczej. Podobnie miała Lindiwe, córka Chrisa Haniego. Po rozmowie z Walusiem odkryła, że zaczyna współczuć temu człowiekowi, który zabił jej ojca. I nawet go polubiła.

Oczywiście to, że jest sympatycznym rozmówcą, wcale nie znaczy, że usprawiedliwiam jego czyn. Zrobił straszną rzecz. Ale to, że jest zabójcą, nie znaczy, że w jego wypadku prawo RPA ma być łamane i nie może skorzystać z prawa łaski. Oczywiście wolałbym, żeby Janusz Waluś był jednoznaczną postacią – odrażającym mordercą, który budzi strach. Ale nie mogłem być nieuczciwy wobec siebie i jego i napisać nieprawdę.

Czy Waluś był rasistą zanim wyjechał do RPA?

Janusz podkreśla, że nie jest i nigdy nie był rasistą, tylko antykomunistą i że zabił Haniego z powodów antykomunistycznych, a nie rasowych.

Walusiowie mieszkają w Gaju pod Krakowem. Tam nie ma przecież żadnych problemów rasowych.

Jego rodzinie – mimo biedy, która panowała w PRL – niczego nie brakowało. Biznes jego ojca świetnie prosperował, razem wyjeżdżali na drogie wakacje. Jego pasją były wyścigi samochodowe. W którym momencie się zradykalizował?

Właśnie po wyjeździe do RPA. Witold, starszy brat, zaciągnął go na spotkanie z Davidem Irvingiem, historykiem zaliczanym do nurtu negacjonistów, który za największego polityka XX w. uważa Adolfa Hitlera, a komory gazowe w Auschwitz za wymysł propagandy antyhitlerowskiej. Janusz opowiadał mi, że od tego spotkania wszystko się zaczęło, bo tam po raz pierwszy spotkał Clive'a Derby-Lewisa, przywódcę Partii Konserwatywnej (wcześniej Partii Narodowej) – sympatycznego, starszego człowieka o wyglądzie pilota RAF-u i nienagannej angielszczyźnie królowej Elżbiety II, do którego poczuł sympatię.

Sympatia była tak duża, żeby na życzenie Derby-Lewisa zamordować obcego człowieka?

Waluś potrzebował autorytetu. W Polsce był nim ojciec, operatywny człowiek, który potrafił utrzymać całą rodzinę i zapewnić jej niebywały jak na PRL luksus. Zrozumiałem, kim dla Janusza był ojciec, gdy opowiedział mi o tym, jak w wieku 17 lat zachorował na żołądek. Trafia do szpitala, lekarze próbują go leczyć. Nic z tego nie wychodzi. Tadeusz Waluś wypisuje syna ze szpitala na własną odpowiedzialność, wyrzuca wszystkie jego lekarstwa, każe zrezygnować z diety i zaczyna leczyć po swojemu. Pozwala mu jeść wszystko, na co chłopiec ma ochotę, „tylko wolno

Cobus Bodenstein/AP/East News

Janusz Waluś składa przysięgę podczas posiedzenia Komisji Prawdy i Pojednania. Pretoria, 1997 r.

i z umiarem, popijając po posiłku gorącą herbatą bez mleka i cukru". To tak, jak byś poszła do lekarza, który neguje leczniczą wartość penicyliny. Mimo to Janusz wyzdrowiał.

Gdy ojca zabrakło, autorytetem i drogowskazem stał się dla niego Derby-Lewis, ważna postać Partii Konserwatywnej. Tłumaczył mu, na czym polega świat i życie w RPA, wciągnął w partyjną robotę. Dla Walusia to było wielkie wyróżnienie – poseł, minister, jeden z najważniejszych ideologów największej partii opozycyjnej, przyjaźni się z nim, zwykłym kierowcą tira.

Zgadzał się z poglądami Derby-Lewisa?

Do RPA już w XVII w. przybyli holenderscy chłopi, czyli Burowie i niemieccy protestanci oraz francuscy hugenoci. To oni zbudowali bogactwo tego kraju. Z autochtonami – Buszmenami, Hotentotami i ludami Bantu – nikt się wtedy nie liczył.

Clive Derby-Lewis był Anglosasem zakochanym w Afrykanerach – białych mieszkańcach RPA. Bardziej afrykanerski niż oni. Uważał, że skoro to biała mniejszość zbudowała ten kraj, to powinna mieć w nim specjalne prawa. Powtarzał to, w co Waluś uwierzył z czasem: że czarni i biali powinni żyć osobno, żeby te światy się nie przenikały, bo jeden zniszczy drugi.

W całej tej historii bardziej od wątku politycznego zaskakujący jest wymiar ludzki, a w zasadzie jego brak. Waluś w kółko powtarza to samo, tak jak by przez długie lata w więzieniu nic do niego nie dotarło. Nie widać pęknięcia i nawet cienia żalu, że zmarnował życie. Dlaczego?

To mu daje siłę, sens istnienia i poczucie wyjątkowości. Mógłby przyznać, że to, co zrobił, było bez sensu, ale przekreśliłby tym 27 lat swojego życia. Jest niewolnikiem własnych decyzji. Dzisiaj nie chce zawieść tych, którzy 11 listopada wychodzą z jego portretami na ulice Warszawy w Marszu Niepodległości. Janusz gra rolę, jakiej narodowcy od niego oczekują. A oni piszą mu w listach, że jest symbolem niezłomności białego człowieka, którego nie można zniszczyć.

Wiele osób – jego przyjaciele, konsulowie, najbliższa rodzina – nakłaniało go, żeby wykonał gest, który pozwoli mu opuścić więzienie. Janusz mógłby uderzyć się w pierś, ale co mu z tego, że wyjdzie na wolność, skoro poczuje się wtedy bezwartościowy i nie będzie mógł spojrzeć sobie w oczy?

Cezary Łazarewicz
jest reporterem. Przez wiele lat związany z „Gazetą Wyborczą", a także „Przekrojem", „Polityką", „Newsweekiem", „Wprost". Autor książek, m.in. *Nic osobistego. Sprawa Janusza Walusia* (Post Factum 2019). Laureat nagrody MediaTory oraz Nagrody Literackiej Nike 2016.

Wariactwo poprawności

Czasem lewicowy aktywista posuwa się tak daleko, że zatacza koło i z radykalnym mułłą mówią jednym głosem. W imię poprawności politycznej, która może wydawać się coraz bardziej zwyrodniała

TEKST: ZIEMOWIT SZCZEREK

ILUSTRACJE: JAKUB FERENC

Jakiś czas temu *South Park*, kreskówka, która z podobnym natężeniem jeździ zarówno po prawej, jak i lewej stronie amerykańskiej sceny politycznej, wprowadziła postać P.C. Principala. To kawał skurczybyka. Napakowany, pseudowrażliwy społecznie tyranoid, który za każde naruszenie politycznej poprawności potrafi wysłać człowieka do szpitala.

Wielu lewicowych i liberalnych publicystów, również w Polsce, wyszydzało tę postać, twierdząc, że jest niczym innym, jak fantazją prawicy na temat idei politycznej poprawności. Jej wynaturzeniem, przerysowaniem. Tym bardziej że jak wiemy z czegoś, co wielu – np. członkowie Parady Równości w Białymstoku – może nazwać życiowym doświadczeniem, napakowane tyranoidy mają raczej tendencję do bicia tych, którzy propagują polityczną poprawność, a nie ją naruszają. Szczególnie że tyranoidy sami z chęcią ją depczą.

Kaganiec na debatę

Wydaje się jednak, że serialowy P.C. Principal zwraca się gromkim głosem nie tyle do prawicy, co do zachodniej klasy średniej i politycznego centrum. I do tych, którzy przechodzą na stronę prawicowych populistów, zniechęceni polityczną poprawnością właśnie z uwagi na jej natrętne wszędobylstwo.

Kultura zbyt daleko posuniętej politycznej poprawności sięga po specyficzną, symboliczną przemoc, tu i tam zakłada kagańce. Ta kultura może zostać przedstawiona w tak prosty i ograny sposób: „Przestań mówić to, co mówisz, bo dostaniesz po łbie". A rozsądzić, czy to, co powiedziałeś, jest akceptowalne czy nie, może każdy, kto w roli sędziego zechce się postawić.

Wydaje się, że do tej pory tym liberalna debata różniła się od nieliberalnej, że ta pierwsza raczej stawiała na wyzwalanie obywatela z moralizatorskiego, ciasno opinającego go gorsetu i postulowała, że ten powodować się ma szlachetną zasadą „żyj i pozwól żyć innym". Kładła nacisk na uświadamianie i wychowywanie w tolerancji, wytwarzanie wewnętrznego szkieletu moralnego.

Ale to podejście po liberalnej stronie się już skończyło, a P.C. Principale całego świata rozpełźli się po debacie publicznej, przyklejając ludziom proste łatki: „Ty jesteś rasistą, bo obawiasz się długofalowych skutków migracji", „Ty – seksistą, bo powiedziałeś coś, co zostało odgórnie uznane za protekcjonalne", „Ty – faszystą, bo zastanawiasz się, czy lewicowa debata publiczna nie wyklucza zbyt wielu konserwatywnie nastawionych ludzi".

Lewacki ajatollah

Za tą zmianą poszedł mocny ruch ośmieszający polityczną poprawność, który, z kolei, nadużywa argumentów typu: „W imię swojej tolerancji toleruj moją nietolerancję" czy „Nie rób ze mnie faszysty, ja przecież tylko maszeruję w szeregu, krzycząc nacjonalistyczne i ksenofobiczne, nienawistne hasła".

Pojawiają się też głosy – już nie tak do końca od rzeczy – mówiące: „Jak chcecie sobie poradzić, miłośnicy politycznej poprawności, z konserwatyzmem wielu migrantów z krajów islamu, jeśli nie możecie poradzić sobie z nami, własnymi konserwatystami, o wiele, jednak, bardziej liberalnymi?".

Jaka jest reakcja tzw. strony liberalnej? Często zamiast cokolwiek skorygować, zastanowić się nad istotą problemu, wywiesza ona tymczasowo sztandar mówiący, że jedyne, czego nie można tolerować, to nietolerancji. Zaczyna się eskalacja bredzenia, tak ze strony ostro prawej, jak i ostro lewej.

I tak np. od radykalnych lewicowców usłyszeć można narrację typu: „W zasadzie te muzułmańskie burki są formą kobiecej wolności, bo chronią kobiety przed napastliwymi spojrzeniami mężczyzn". Jest to, jak się wydaje, zatoczenie koła i punkt, w którym lewicowy nadaktywista spotyka się z radykalnym mułłą i mówi z nim jednym głosem.

To w zasadzie tak jakby powiedzieć, że popularne w przedoświeceniowej Europie pasy cnoty są w gruncie rzeczy atrybutem kobiecej wolności, bo podbijający zalotnicy, widząc taki pas, ogólnie rzecz biorąc, mają tendencję do odpuszczania. Albo jakby twierdzić, że nabijanie na pal ogranicza przestępczość, wojny i masowe eksterminacje chronią planetę przed przeludnieniem, a biosferę przed zgubnym wpływem homo sapiens.

Kto od miecza, kto mieczem

Czy przypadkiem liberalno-lewicowe podejście do wolności słowa nie zaczęło w pewnym momencie ulegać zwyrodnieniom? Wiele na to wskazuje i nie powinno to zresztą dziwić. Większość – o ile nie wszystkie – ideologii dochodzi w końcu do takiego momentu.

Reformacyjne ruchy w chrześcijaństwie dobitnie przypominały Rzymowi, jak daleko odszedł od nauk cieśli z Nazaretu, każącemu miłować swoich wrogów, nadstawiać drugi policzek i dzielić się dobrami doczesnymi z ubogimi. Socjalizm w wydaniu radzieckim zwyrodniał, zanim się na dobre rozruszał, a potem pyrkał, jak niedogrzany trabant, raz jadąc w miarę równo, raz ledwie sapiąc tak, że trzeba go było pchać, a jeszcze kiedy indziej pędząc na złamanie karku i bez zabezpieczeń, zabijając pasażerów i przechodniów.

Cóż, nasza liberalna demokracja również mogła dostać zadyszki i stać się nieznośna dla użytkowników. W ostatnim sezonie *South Parku* nawet sam P.C. Principal padł ofiarą własnej odmiany politycznej poprawności. Jego partnerka Silna Kobieta stanęła do zawodów sportowych ze swoim byłym chłopakiem, brodatym, tryskającym testosteronem mięśniakiem, który zaczął przed zawodami identyfikować się jako kobieta. Brodacz zawody wygrał, Silna Kobieta oraz P.C. Principal uznali, oczywiście, wynik rywalizacji, szanując płciowy wybór przeciwniczki i przemilczając uprzejmie fakt, że jej ciało i sportowe walory zostały ukształtowane w czasie, gdy identyfikowała się jako mężczyzna.

Kultura zbyt daleko posuniętej politycznej poprawności sięga po specyficzną, symboliczną przemoc, **tu i tam zakłada kagańce**

Ale gdy zwycięzca identyfikujący się jako zwyciężczyni (bo eks Silnej Kobiety ogłosił się kobietą tylko po to, by ją upokorzyć) zaczął chodzić po South Parku i puszyć się po koguciemu swoim statusem „najsilniejszej kobiety" w mieście, a może i na świecie, P.C. Principal nie wytrzymał. Wygarnął mu prawdę na temat przyczyn jego sukcesów w fizycznym współzawodnictwie z kobietami. I za to właśnie P.C. Principal otrzymał łatkę transfoba.

Granice przekomarzania

Niedawny raport London School of Economics bazujący na sondażu agencji Opinium pokazał, że trzy czwarte Brytyjczyków uważa, iż polityczna poprawność poszła za daleko i w obecnej formie sprzeciwia się społecznemu odruchowi zdrowego rozsądku. Ponad połowa ankietowanych uważa z kolei, że przyczynia się ona do „erozji ekspresji brytyjskich wartości i tradycji" – jakie by one nie były.

Trudno bowiem zaprzeczyć, że to dzięki różnym formom politycznej poprawności – do pewnego stopnia – udało się wymazać z debaty publicznej odruchy rasistowskie, seksistowskie i sporo innych. Co jednak należy zrobić dziś, żeby te zdobycze zakonserwować, a nie oddać przy okazji kontrszarży przeciwników politycznej poprawności (a przecież to właśnie z nią mamy aktualnie do czynienia w postaci Donalda Trumpa czy europejskich populistyczno-prawicowych rządów)? Czy nie powinno się jasno wyrysować tej poprawności granic, piętnując zbyt pochopne stygmatyzowanie, o ile przyczynia się do powszechnego poczucia zniechęcenia do liberalnej demokracji?

Brytyjczycy w swoich poglądach nie są osamotnieni. Jesienią ubiegłego roku podobny sondaż przeprowadziła państwowa australijska telewizja ABC. Wyniki były podobne: większość spośród dużej próby Australijczyków również uznała, że polityczna poprawność zbytnio pogalopowała. Ita Buttrose, szefowa stacji i legenda krajowego rynku wydawniczego, od dekad łamiąca konwenanse i zrywająca konserwatywną zasłonę wokół seksualności, tak skomentowała wyniki badania: „Zgadzam się w stu procentach. W stu procentach się zgadzam, że nie rozmawiamy już ze sobą tak, jak kiedyś (...). Kiedyś ludzie przekomarzali się ze sobą w pracy, dziś wszyscy są nadwrażliwi".

Dziennikarka wsadziła kij w mrowisko, a w Australii rozgorzała debata: jedni zżymali się, że wolą obecną atmosferę niż bycie molestowanym czy poniżanym pod przykrywką „przekomarzania"; inni cieszyli się, że ktoś w końcu wskazał słonia pośrodku pokoju, którego wszyscy od dawna widzą, ale na którego każdy boi się zwrócić uwagę.

Nadwrażliwcy?

Julii Symons bliżej jest do tych pierwszych. Ta 25-letnia Australijka wygrała przed dwoma laty konkurs „The Economist", w którym poproszono w formie eseju o odpowiedź na pytanie – raz jeszcze – „Czy polityczna poprawność zaszła za daleko?". Zdaniem Symons mówienie, że polityczna poprawność sięgnęła poziomu szaleństwa, to „listek figowy dla prostych uprzedzeń". Australijka zwraca np. uwagę na coraz popularniejsze określenie *snowflake*, dosłownie – „płatek śniegu". Określa się nim osoby „zbyt wrażliwe", które „wszędzie doszukują się obrazy".

Warto jednak przypomnieć, że nie tak dawno temu, jakiś czas przed konserwatywną „rewolucją", to liberałowie i lewicowcy śmiali się z domagających się poszanowania tradycyjnych wartości, że „wszystko ich obraża".

„Dlaczego wy się z nas śmiejecie!" – skowytali wręcz ludzie pod Pałacem Prezydenckim, często faktycznie reprezentujący dość magiczny światopogląd, w czasie słynnej akcji „Gdzie jest krzyż". Nie chcieli, by widziano w nich grupkę fanatyków. I słyszeli w odpowiedzi: „A dlaczego wy po prostu nie możecie śmiać się z nas?". Odpowiadali tak często ci sami, którzy dziś wściekają się, słysząc prawicowe hasło: „Słychać wycie – znakomicie".

Gdy liberalizm staje się konserwatywny w formie, nadal jest sobą, **czy zmienia się w potwora Frankensteina?**

Poprawnościowy Frankenstein

Nie można jednak zapominać, że nie chodzi tu o zwykłą przepychankę, czyli o to, kto kogo bardziej trzyma za twarz: czy liberałowie konserwatystów, czy odwrotnie.

Ale czy gdy liberalizm staje się konserwatywny w formie, nadal jest sobą, czy zmienia się w potwora Frankensteina? Czy może mamy po prostu do czynienia z obroną wartości, tylko że z karabinem w ręce?

Zresztą, czy proste zasady, które zwykliśmy nazywać polityczną poprawnością, w ogóle mogą „pójść za daleko"? Polityczna poprawność, u swojej bazy, jest w końcu zwykłym etycznym unikaniem działań, których celem jest wykluczenie albo obraza grupy ludzi spauperyzowanych, społecznie zmarginalizowanych, prześladowanych. To, w rzeczy samej, są zwykłe zasady współżycia, którymi powinno kierować się cywilizowane społeczeństwo. W końcu polityczna poprawność w swoim podstawowym założeniu, jak twierdzi wielu jej zwolenników – w tym do pewnego stopnia również niżej podpisany – to po prostu rodzaj uprzejmości.

Rzecz w tym, że poprawność owa – tak samo jak wszystkie inne zasady i wartości – może być wykorzystana przez grupę, która czuje się powołana do jej przestrzegania. A wtedy, jak wiemy, może stać się toksyczna.

Dlatego problemem jest nie tyle sama polityczna poprawność, bo spór o jej granice nie jest niczym nowym – Henryk Sienkiewicz np. był zaszokowany, gdy odkrył, że w Wielkiej Brytanii nie można tak po prostu podejść do kobiety i w nachalny sposób ją zaczepiać, bo, po pierwsze, dostanie się po łbie od przechodniów, a po drugie, można wylądować na komisariacie. I on też uważał, jak wielu sprzeciwiających się politycznej poprawności machos, że to „koniec kultury flirtu".

Problem zaczyna się, gdy dobre zasady są nadużywane wbrew ich własnemu przeznaczeniu i gdy stają się własną karykaturą, w której duszą się nawet ci, którzy je popierają.

A jeśli tak jest, to – jak mawiał klasyk – wiedz, że coś się dzieje.

Ziemowit Szczerek
jest pisarzem, reporterem, publicystą. Autor książek, m.in. *Siódemka*, *Przyjdzie Mordor i nas zje, czyli tajna historia Słowian*, *Tatuaż z tryzubem*. Laureat Paszportu „Polityki". Niedawno ukazała się jego najnowsza książka *Via Carpathia* (Wydawnictwo Czarne 2019).

BAR
PROMO!
SCHABOWY
9,99
A·8AX

Czarny, ale nasz

Każdy ma swojego czarnoskórego. Gdy gra według naszych reguł – zje schabowego, wódki się napije i beemką odjedzie – może być. Ale to nie tolerancja. To robienie dobrze sobie i swojej polskości

TEKST: KAJA PUTO

ILUSTRACJA: MARIA REGUCKA

Rasizm na ziemie polskie w pewnym sensie importowano: wśród odkrywców i pisarzy średniowiecznych, którzy widzieli na oczy czarnoskórego, nie było zbyt wielu Polaków. Pierwszy wizerunek Afrykańczyka pojawia się dopiero na karcie Psałterza floriańskiego (ok. XIV w.). Z pierwszej polskiej encyklopedii (*Nowe Ateny* ks. Benedykta Chmielowskiego, XVIII w.) można było się z kolei dowiedzieć, że w Afryce „lud jest czarny, kosmaty, grubiański, okrutny, bestialski", a „im dalej od morza, tym dalej od Boga i rozumu".

Z dziejów rasizmu

Podobnie jak w innych krajach europejskich, czarnoskórych wyobrażano sobie jako groźnych dzikusów, a nawet nieprzypominające człowieka chimery. Zmieniło się to dopiero pod koniec XVII w., kiedy część elit zaczęła przejmować się losem czarnych niewolników, porównując ich dolę do losu chłopów zniewolonych pańszczyzną. (Tutaj plusik dla Tadeusza Kościuszki, który swój majątek w Ameryce zapisał w testamencie na poprawienie losu niewolników).

Realnych czarnoskórych w Polsce przez długi czas można było policzyć na palcach: byli to głównie służący na polskich dworach – sam Kościuszko miał takiego kamerdynera. W połowie XIX w. sensację wzbudził Ira Aldridge, aktor, który zagrał m.in. Otella w warszawskim Teatrze Wielkim („Kurier Niedzielny" opublikował z tej okazji karykaturę ukazującą aktora jako dzikusa w skąpym odzieniu). W II RP garstce czarnoskórych warszawiaków, z których najbardziej znany był kelner i weteran wojny polsko-bolszewickiej Józef Diak, „Kurier Warszawski" poświęcił cykl „Warszawa egzotyczna".

Polska stała się nieco bardziej „kolorowa" dopiero w PRL: komunistyczny kraj wspierał walki o wyzwolenie państw afrykańskich i wzmacniał z nimi relacje. Do legendy przeszedł V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów, powiew nadchodzącej odwilży, który odbył się w 1955 r. w Warszawie z udziałem gości ze 114 krajów. Polska prasa opisywała te dni słowami: „Egzotyczne instrumenty, ciemne twarze, obce, śpiewne słowa... Brazylia? Osada nad Amazonką? Nie. Marszałkowska w ierpniu". Z kolei Andrzej Drawicz wspominał: „Byliśmy przekonani, że jesteśmy najweselszą i najszczęśliwszą młodzieżą na świecie, tymczasem okazało się, że jesteśmy smutni, ponurzy, ogromnie sztywni, spięci (...). A oni tańczyli, śmiali się, całowali na ulicach".

Mokpokpo Dravi, odtwórca roli Jumbo w kultowej ekranizacji (1959) powieści Stefana Wiecheckiego *Cafe Pod Minogą*, wspomina, że na casting stawili się „wszyscy czterej Afrykanie, którzy mieszkali wtedy w Polsce". Dopiero w latach 70. do naszego kraju masowo zjeżdżać zaczęli studenci na stypendia „dla krajów uciśnionych": głównie na rolnictwo, medycynę i kierunki techniczne. Większość po studiach wróciła do domu (jak Alpha Oumar Konaré, absolwent historii UW, a później dwukrotny prezydent Mali), a część została w Polsce (jak Senegalczyk Mamadou Diouf, znany muzyk i popularyzator kultury afrykańskiej, czy Tanzańczyk Daniel Osafo Oware, słynny Murzyn z „Ole Olek!" i współpracownik Big Cyca).

Murzyn wielkomiejski

Po 1989 r. doszli do tego turyści, pracownicy najróżniejszych branż, małżonkowie poznani przez Polaków i Polki na emigracji. Do Sejmu zawitali czarni posłowie – np. John Godson i Killion Munyama. A w koronie nieistniejącego już Stadionu Dziesięciolecia handlowali obywatele Senegalu, Nigerii, Gwinei, Wybrzeża Kości Słoniowej.

W najntisach był z kolei moment, kiedy Murzyn służył za symbol Zachodu i nowoczesności – jak w teledysku „Ole Olek!" z pierwszej kampanii prezydenckiej Kwaśniewskiego czy w tzw. filmach bandyckich, gdzie przemykał przez kadr, by udowodnić wielkomiejskość Warszawy.

Ale kolejne pokolenia i tak poznają Kalego, poczciwego, ale tępego i wychwalającego kanibalizm bohatera *W pustyni i w puszczy* Henryka Sienkiewicza. Albo Bambo – niereformowalnego brudasa z wiersza Juliana Tuwima. W efekcie minister Radosław Sikorski nazywa poddańczość „murzyńskością", a prezydent Andrzej Duda „żartuje" sobie z afrykańskiego kanibalizmu. Nie wspominam już nawet o tym, jak mieszkańcy Afryki pokazywani są w propagandzie TVP.

Kolejne pokolenia i tak poznają tępego i wychwalającego kanibalizm **Kalego Sienkiewicza czy niereformowalnego brudasa Bambo Tuwima**

Oczywiście nie każdy rodzic, który czyta swojemu dziecku Sienkiewicza, i nie każdy prezydent z nieskomplikowanym poczuciem humoru jest zwolennikiem faszyzmu. Uprzedzenia stanowią podglebie dla nienawiści na tle rasowym, ale nie są z nią tożsame. Taki „miękki" rasizm wynika zazwyczaj z braku umiejętności krytycznego myślenia i z niewiedzy. Łatwiej jest go reprodukować, kiedy obcych zna się wyłącznie z własnych wyobrażeń. W tym miejscu – gwoli przypomnienia, do czego mogą prowadzić uprzedzenia – warto wspomnieć tragedię Maxwella Itoyi, Nigeryjczyka, który został w 2010 r. śmiertelnie postrzelony przez polskiego policjanta ścigającego nielegalnych handlarzy na stadionie. Sprawa została umorzona, a w jej aktach można przeczytać wyjaśnienia policjantów: handlarze „zachowywali się, jakby byli na polowaniu".

Nieznośna poprawność

Kiedy przygotowywałam dla „Dwutygodnika" reportaż o imigrantach w PRL, ciemnoskórzy rozmówcy opowiadali mi, że dawniej wzbudzali na ulicach większe zainteresowanie niż dziś, choć rzadziej wiązało się to z przemocą. Ludzie gapili się na nich, pokazywali palcem, dzieci ciągnęły za rękaw matki: „Patrz, Murzyn". Dziś, kiedy widok czarnych osób na ulicach polskich miast nie jest aż takim wydarzeniem, większość ludzi zachowuje się neutralnie. Doszła do tego jednak polaryzacja: „patrioci" reagują z zapalczywszą niż kiedyś agresją, z kolei osoby mocno identyfikujące się z liberalizmem – nienaturalną życzliwością.

Te refleksje odzwierciedlają badania Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Nie dotyczą one wyłącznie osób ciemnoskórych, lecz podejścia Polaków do uchodźców. Przebadano trzy gminy: Podkowę Leśną (podwarszawską sypialnię, w której ośrodek dla uchodźców znajduje się na uboczu), Grupę (wieś, w której ośrodek jest w centrum) oraz Słupsk (gdzie nie ma go wcale). Okazało się, że najgorzej o uchodźcach myślą – rzecz jasna – słupszczanie, najlepiej – podkowianie, a mieszkańcy Grupy podchodzą do nich neutralnie.

Zamieszkana przez zamożną średnią klasę Podkowa jest *refugees welcome* dla dobrego samopoczucia, choć nie podejmuje z uchodźcami niemal żadnej interakcji. Grupa natomiast nie podchodzi do nich entuzjastycznie, ale nawet jeśli narzeka, to jak na sąsiada, który już mocno spowszedniał. O Grupie – tam mieszkają akurat głównie Czeczeni – też kiedyś pisałam reportaż i jej mieszkańcy mówili mi coś w stylu: „ciapaci, ale nasi".

To niby nie jest najgorsze podejście na świecie. Moi afrykańscy rozmówcy wspominali często, że w sumie to wolą tę naszą podejrzliwość, która po dwóch kieliszkach potrafi przerodzić się w dozgonną przyjaźń, niż powszechniejszą na Zachodzie poprawność polityczną, która przejawia się w obowiązkowej uprzejmości, ale trudno stwierdzić, co kto sobie tak naprawdę myśli. W sumie to rozumiem – sama lubię Europę Wschodnią za to podejście.

Dobre, bo polskie

Podejściu „Murzyn, ale nasz" towarzyszy często – szczególnie na łamach prawicowych portali – duma z ciemnoskórego powstańca warszawskiego Augusta Agbola O'Browna czy wielkopolskiego – Sama Sandiego, sympatia dla piłkarza Emmanuela Olisadebe lub szacunek dla konserwatywnego posła Godsona, który z prawicowymi portalami mówił jednym głosem. Udowadnia się w ten sposób, że Polacy wcale nie są rasistami, skoro potrafią szanować „takich" czarnych.

Ale strategię „naszości" stosują też osoby o poglądach lewicowych czy liberalnych. Przypominają o wielokulturowej historii Polski, by pokazać, że Polak katolik to niejedyny pełnoprawny mieszkaniec naszego kraju, a tym bardziej planety Ziemia. Tego rodzaju intencje kierowały zapewne Stefanem Wiecheckim, kiedy umieszczał w *Cafe Pod Minogą* czarnego warszawskiego cwaniaka mówiącego gwarą z okolic Kercelaka. Tak myślał zapewne i Tuwim, którego wierszyk dziś brzmi rasistowsko, ale przebijają przez niego tolerancyjne intencje. A także autor przaśnego hitu Big Cyca, „Makumby", który, jak twierdził jeden z moich rozmówców, przysłużył się tym utworem walce z rasizmem i przysporzył czarnoskórym sympatii Polaków.

Fajny, bo nasz. Filozof Emmanuel Levinas pisał, że inności nie da się poznać, można ją za to sprowadzić do „tego samego". Czarny, ale wódki się napił, schabowego zjadł, a potem jeszcze wsiadł za kółko beemki. To nie ma nic wspólnego z akceptacją odmienności. To zadowolenie z tego, że ktoś zechciał się upodobnić do nas. A to znaczy, że my też jesteśmy chociaż trochę fajni.

Moi afrykańscy rozmówcy mówili, że wolą naszą podejrzliwość, która po dwóch kieliszkach potrafi przerodzić się w dozgonną przyjaźń, **niż powszechniejszą na Zachodzie wymuszoną poprawność polityczną**

Każdy ma swojego Olisadebego

Nie jest to oczywiście typowo polski fenomen. Tego rodzaju mechanizm funkcjonuje i funkcjonował wszędzie, nawet w otwarcie rasistowskich reżimach. W Stanach czasów segregacji rasowej republikanie mieli „swoich czarnych", którzy nie popierali emancypacyjnych ruchów. Nawet naziści mieli „swoich Żydów".

W szerszej perspektywie jest to ten sam odruch, którego nie udało się wyplenić z najbardziej demokratycznych krajów: ufamy rodzinie bardziej niż społeczeństwu, w pracy opieramy się na znajomościach, a w mediach najchętniej czytamy o swoim kraju. Opozycja my–oni leży u źródeł każdej politycznej tożsamości (choć nie w każdej powiązana jest z pochodzeniem etnicznym). Tak czy inaczej realizowana plemienność leży widocznie w naturze człowieka.

Po to jednak chyba tworzymy cywilizację, by kierować się w życiu czymś więcej niż instynktem. I nie rejterować ze spotkania z innością.

Korzystałam z publikacji *Afryka w Warszawie. Dzieje afrykańskiej diaspory* (red. Paweł Średziński i Mamadou Diouf) oraz materiałów do wystawy *Afro PRL. Wizerunek Afrykanów w polskiej fotografii prasowej 1955–1989*, która odbyła się w 2018 r. w warszawskim Domu Spotkań z Historią.

Kaja Puto
jest dziennikarką, zajmuje się tematyką Europy Wschodniej oraz migracji. Związana z „Krytyką Polityczną", stowarzyszeniem reporterów Rekolektyw i stowarzyszeniem n-ost.

Murzyn

Jan Brzechwa

W Głownie na rynku stał czarny Murzyn
W czerwonym fraku, w cylindrze dużym,
A miał do tego żółtą krawatkę
I pantalony obcisłe, w kratkę.

Nikt takich czarnych nie widział tu lic,
Szli tedy ludzie ze wszystkich ulic,
Bowiem dziwiło ich niewymownie,
Że nagle Murzyn zjawił się w Głownie.

Nawet aptekę zamknął aptekarz
Krzycząc na żonę: „Chodź! Czemu zwlekasz?"
I biegła młodzież z harcerskich drużyn,
Żeby zobaczyć, co to za Murzyn.

Trzej kolejarze wyszli z gospody,
Bo jeszcze takiej nie znali mody,
I rzekł z nich jeden, najbardziej krępy:
„Pewno przyjechał cyrk na występy."

Syn milicjanta przez okno darł się,
Że tacy chyba żyją na Marsie.
Wstyd było ojcu, że się tak syn drze
Widząc Murzyna w dużym cylindrze.

A to się wszystko stało dlatego,
Że Murzyn niegdyś był mym kolegą
I ustaliłem z nim nieodzownie,
Że się spotkamy za pięć lat w Głownie.

Pięć lat minęło. Murzyn z daleka
Przybył i na mnie na rynku czeka,
A ja pociągiem jadę z Lublina,
Żeby powitać w Głownie Murzyna.

Anatol Chomicz/FORUM

Daleko od szosy – daleko od szansy

W Polsce dużo mówimy o systemie szkolnictwa. Ciągle jednak nie rozumiemy, jak istotna jest taka polityka edukacyjna, która w końcu wyrówna szanse uczniów – niezależnie od tego, czy pochodzą z Warszawy, czy z podkarpackiej wsi

TEKST: REMIGIUSZ OKRASKA

Dość powszechnie panuje przekonanie, że w miastach szkoły są lepsze, a na wsiach – gorsze. Że im większa miejscowość, tym większa szansa na prestiżową szkołę, więc uczniowie, jeśli tylko mają możliwość, wyjeżdżają uczyć się do większych miast. Są przekonani, że pozostanie w lokalnej placówce skazuje ich na życiowe niepowodzenie.

Ale przyczyny zapaści edukacyjnej polskiej prowincji to coś więcej niż mrzonki o karierze w wielkim mieście i chęć wyrwania się do świata. Kiepska kondycja szkolnictwa w małych miejscowościach jest przede wszystkim problemem systemowym i na jej klęskę złożyło się przynajmniej kilka czynników. Większość to skutek takiego zarządzania edukacją, który uczniów z prowincji traktuje po macoszemu, a faworyzuje tych z dużych miast, już i tak cieszących się łatwym dostępem do edukacji.

Od początku III RP do roku 2012 zamknięto co trzecią szkołę w Polsce – **z około 19,5 tys. placówek ich liczba spadła do niespełna 13 tys.**

Akcja likwidacja

Po pierwsze, szkół na wsiach jest za mało. Za mało, bo swego czasu ogromną ich liczbę zlikwidowano. „Wiele negatywnych procesów zachodzących w szkołach oraz społecznościach lokalnych wynika z przerzedzenia sieci szkolnej" – pisał przed kilkoma laty badacz nierówności edukacyjnych dr Przemysław Sadura. I dodawał, że choć w miastach sytuacja już się ustabilizowała, to poza nimi szkoły nadal są systemowo likwidowane. „Ma to bardzo negatywne konsekwencje dla dzieci i młodzieży" – komentował socjolog.

„Przerzedzenie sieci szkolnej" – to brzmi dość niewinnie. Ale w liczbach bezwzględnych już niekoniecznie. Od początku III RP do roku 2012 zamknięto co trzecią szkołę w Polsce – z około 19,5 tys. placówek ich liczba spadła do niespełna 13 tys. Większość, bo ponad 4,4 tys. szkół podstawowych zlikwidowano podczas wdrażania reformy gimnazjalnej w latach 1999-2004.

Trzeba tu zaznaczyć, że znacznie chętniej likwidowano placówki na obszarach wiejskich niż w miastach. Jak wyliczyli naukowcy Artur Bajerski i Agnieszka Błaszczyk, w okresie 1990-2012 liczba szkół podstawowych w miastach zmalała o 14 proc., ale na wsi ubyło ich o ponad 40 proc. Z kolei Karol Trammer obliczył to samo, ale dla krótszego okresu. W tym przypadku proporcje wyglądają jeszcze gorzej: „Ogółem 86 proc. zlikwidowanych szkół podstawowych w latach 2007-2012 to szkoły z gmin wiejskich oraz miejsko-wiejskich". To nie wszystko. Jak podaje Instytut Badań Edukacyjnych (IBE), w latach 2007-2012 kolejne 400 szkół ograniczyło skalę działalności, z czego w ponad połowie z nich pozostały tylko klasy I-III.

Następne lata przyniosły kontynuację tego procesu, choć już na mniejszą skalę. Efekt tego wszystkiego? W Polsce jest ponad 500 gmin, w których funkcjonują nie więcej niż dwie szkoły podstawowe.

Wiejscy nauczyciele na śmieciówkach

Oprócz wspomnianych likwidacji dodatkowo ponad 500 szkół przekształcono w niepubliczne, znowu głównie w małych miastach i we wsiach. Samorządy lokalne przekazały prowadzenie tych placówek stowarzyszeniom i fundacjom, by nie ponosić kosztów ich utrzymania. Często była to jedyna alternatywa dla likwidacji. Tyle że oznaczała m.in. gorsze warunki zatrudnienia nauczycieli, bo w takich szkołach nie obowiązywały niektóre zapisy Karty Nauczyciela.

Zatrudniani w placówkach publicznych wiejscy nauczyciele mogą dzięki Karcie cieszyć się względnie dobrymi warunkami pracy. Ich koledzy i koleżanki ze szkół niepublicznych mają o wiele gorzej. W efekcie w tych placówkach kadra pedagogiczna to często osoby zatrudnione na podstawie umów śmieciowych, tylko dorabiające w takim miejscu, niezwiązane ze szkołą i uczniami. Albo, przeciwnie, osoby zmuszone sytuacją ekonomiczną do podejmowania się ogromnej ilości obowiązków kosztem jakości kształcenia.

Raport NIK przed kilkoma laty wykazał: „Likwidacja szkół skutkowała częściową utratą miejsc pracy. (...) Nauczyciele przechodzący do nowo powstałych szkół [niepublicznych – red.] otrzymywali wynagrodzenie średnio o 40 proc. niższe od przeciętnego wynagrodzenia nauczycieli szkół gminnych przy jednocześnie zwiększonym o 28 proc. wymiarze godzin dydaktycznych".

Trudno oczekiwać, że pedagodzy gorzej opłacani i bardziej zapracowani zapewnią taki sam poziom nauczania. Dopiero od 1 września 2018 r. decyzja rządu wprowadziła obowiązek zatrudniania nauczycieli wyłącznie na podstawie umowy o pracę.

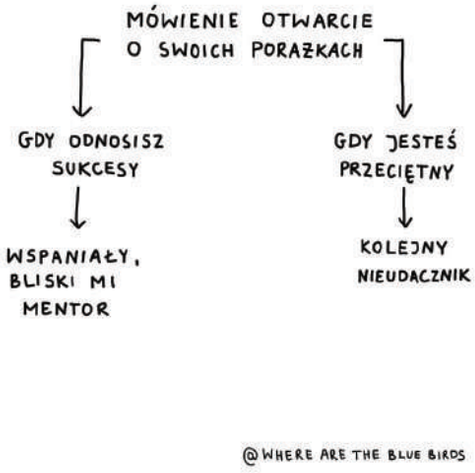

Demografia czy alibi?

Najczęściej przywoływaną przyczyną trendu zamykania szkół jest zapaść demograficzna. Argumentuje się, że przyrost naturalny był kiedyś znacznie wyższy, a co za tym idzie – liczne były kolejne roczniki uczniów. Brzmi to zdroworozsądkowo: skoro jest mniej uczniów, to potrzeba mniej szkół. Ale w wielu przypadkach tylko pozornie. Wystarczy wspomnieć, że ogromna fala likwidacji placówek w III RP ruszyła, gdy oddziały liczące nawet 40 uczniów i uczennic nie były niczym wyjątkowym, a w każdym z roczników otwierano klasy od „a" do „g", do „h", czasem więcej.

W takich realiach funkcje pedagogiczne i wychowawcze często realizowano połowicznie lub nie realizowano ich wcale. Niż demograficzny można było zatem wykorzystać inaczej. Zmniejszając liczbę dzieci w klasach i dając tym samym nauczycielom możliwość bardziej indywidualnego podejścia do uczniów, ich predyspozycji i deficytów edukacyjnych. To dałoby także znacznie lepsze warunki do rozpoznania przez pedagoga problemów wychowawczych czy socjalnych swoich podopiecznych.

A takie podejście potrzebne jest szczególnie w szkołach prowincjonalnych. Ich uczniowie pochodzą często ze środowisk uboższych, z mniejszym kapitałem kulturowym, nierzadko dotkniętych rozmaitymi problemami i deficytami. Pozaszkolna oferta edukacyjna i kulturalna jest tam znacznie gorsza niż w dużych miastach. I to w szkołach prowincjonalnych więcej jest dzieci z domów, gdzie z braku umiejętności czy możliwości nie prowadzi się edukacji nieformalnej, nie posiada dużych księgozbiorów, a rodzice, często bez wyższego wykształcenia, dysponują małymi lub żadnymi środkami na korepetycje i zajęcia dodatkowe.

Jeden z raportów Instytutu Badań Edukacyjnych wskazuje, że największy odsetek uczniów nieuczestniczących w żadnych nieodpłatnych zajęciach dodatkowych – 60 i więcej procent ogółu – pochodzi z trzech województw, które zarazem są regionami o mniejszym występowaniu dużych i zamożnych miejscowości: podkarpackiego, warmińsko-mazurskiego i lubuskiego. W raporcie czytamy: „Województwo warmińsko-mazurskie, charakteryzujące się wysokim udziałem dzieci nieuczestniczących w zajęciach dodatkowych, najrzadziej wskazało jako przyczynę brak takiej potrzeby, natomiast relatywnie często wskazując na brak takich zajęć w miejscu zamieszkania czy też przyczyny materialne".

Co to oznacza? Że w środowiskach wiejskich i małomiasteczkowych porządna szkoła mogłaby, a nawet powinna pełnić rolę ważniejszą niż w dużych ośrodkach. W przeciwnym razie nierówności regionalne i indywidualne nie są przezwyciężane czy łagodzone, lecz wręcz przeciwnie – ulegają pogłębieniu. Dzieci z prowincji już na starcie przegrywają z rówieśnikami z dużych miejscowości. „Należy pamiętać, że gdy mówimy o gorszym dostępie do edukacji na wsi, mówimy o problemie, który dotyczy 1/3 gospodarstw domowych. Równocześnie, gdy mówi się o bardzo dobrym dostępie do edukacji w miastach największych, będzie to dotyczyło 14 proc. gospodarstw" – podkreślają autorzy raportu IBE z 2015 r.

M. Lasyk/REPORTER

W 2012 r. uczniowie Technikum Żywienia i Gospodarstwa Domowego w Zatorze protestowali przeciwko likwidacji szkoły. Z końcem roku szkolnego placówka została jednak zamknięta.

W okresie 1990-2012 liczba szkół podstawowych w miastach zmalała o 14 proc., **ale na wsi ubyło ich ponad 40 proc.**

Kasa się nie zgadza

Dlaczego samorządy lokalne likwidują szkoły? Bo mogą i muszą. Mogą, bo to one są organami prowadzącymi placówki. Teoretycznie edukacja znajduje się w pieczy państwa, ale decentralizacja sprawiła, że o być albo nie być placówki decyduje samorząd. Te zaś likwidują szkoły z prostej przyczyny. Bo muszą: „Utrzymanie jednego ucznia to ponad 30 tys. zł rocznie. Natomiast z subwencji oświatowej dostajemy 7 tys. zł" – mówiła „Dziennikowi Gazecie Prawnej" Jolanta Mysłowska, dyrektor Zespołu Szkolno-Przedszkolnego w Krzczonowie.

Zasadę, że pieniądze idą za uczniem, „przyklepała" reforma edukacji z roku 1999. Miało to wymóc oszczędności i racjonalne gospodarowanie środkami oraz premiować szkoły dobrze zarządzane i atrakcyjne. Tyle że w przypadku tak niskiej subwencji poskutkowało zarówno wspomnianą falą likwidacji szkół, jak i kolejnym wzrostem nierówności szans. Ubogie gminy musiały zamknąć wiele placówek, a dzieci „upchnąć" w pozostałych szkołach-molochach. Anna Kołomycew z Uniwersytetu Rzeszowskiego stwierdza: „polityka oświatowa stanowi szczególne obciążenie dla budżetów gmin wiejskich i miejsko-wiejskich, w których wydatki oświatowe stanowią średnio 42 proc. ogółu wydatków bieżących, ale zdarzają się gminy, w których sięgają nawet 60 proc.".

Gminy zamożniejsze stać na to, żeby pokrywać wspomnianą różnicę między subwencją państwową a kosztami edukacji ucznia. Te uboższe to zazwyczaj gminy prowincjonalne, wiejskie i małomiasteczkowe, z mniej zamożną ludnością i niższymi wpływami z podatków indywidualnych i od przedsiębiorstw. Czyli na lepsze szkoły oraz ich gęstą sieć mogą liczyć ci, którzy już i tak mają więcej możliwości i szans. Słabych osłabia się jeszcze bardziej.

Szkoła za horyzontem

Kolejnym likwidacjom placówek oświatowych towarzyszyły zapewnienia, że do tych, które przetrwały i przyjęły dzieci z zamykanych szkół, zostanie zapewniony dowóz uczniów. Podobnie było przy tworzeniu gimnazjów.

Stało się natomiast tak, że gimnazjaliści z miejscowości oddalonych od swoich szkół, owszem, mieli zapewniony dojazd, ale zabierał im on nieproporcjonalnie dużo czasu. „Czas docierania tych dzieci do szkół wydłużył się, muszą też czekać na rozpoczęcie lekcji, aż wszyscy uczniowie zostaną dowiezieni. Podobnie opóźniony jest ich powrót do domu" – pisała prof. Marta Zahorska. Problem ten znowu dotyczy głównie prowincji. Raport GUS pokazuje, że w roku 2013/2014 aż 28 proc. uczniów szkół podstawowych na wsi i jedynie 5 proc. uczniów mieszkających w miastach musiało dojeżdżać na lekcje. W przypadku gimnazjów było to odpowiednio 46 i 11 proc. uczniów.

Federacja Inicjatyw Oświatowych alarmowała w roku 2011: „Pomimo że w większości przypadków odległość wsi do większej szkoły nie jest bardzo duża (kilka kilometrów), to droga dojazdu autobusu jest dużo dłuższa z powodu konieczności objechania wielu wsi – czas dojazdu to nawet godzina. W okresie zimowym przejazdy lokalnymi drogami nie odbywają się punktualnie – dzieci marzną na przystankach. Ze względu na organizację dowozu dzieci często docierają do szkoły dużo za wcześnie, na przykład o godz. 6.30, i czekają na rozpoczęcie lekcji w świetlicy". Karol Trammer dodawał: „Dowozowi do szkół przyjrzała się również Najwyższa Izba Kontroli – w 2009 r. podczas kontroli w gminach wiejskich Warmii i Mazur wykryto przypadki transportu szkolnego zorganizowanego tak, że uczniowie najmłodszych klas szkoły podstawowej przebywali poza domem ponad osiem godzin, choć ich lekcje trwały cztery godziny. Niektórzy uczniowie klas nauczania początkowego oczekiwali na odwiezienie do domów ponad trzy godziny po zakończeniu lekcji".

W jeszcze gorszej sytuacji są uczniowie szkół średnich. O ile dwa pierwsze szczeble edukacji szkolnej mają zapewniony dowóz pojazdami organizowanymi przez gminy, o tyle licealiści i ich rodzice są pozostawieni samym sobie. Wszystko to w kraju, w którym problem wykluczenia komunikacyjnego na prowincji jest w ostatnich latach głośny i szeroko opisany. Bo z wielu miejscowości „Polski B" całkowicie lub niemal zupełnie zniknął kolejowy i autobusowy transport zbiorowy.

W praktyce wszystko to oznacza, że dzieci ze wsi i małych miasteczek są w zasadzie skazane na szkołę najbliższą, niezależnie od jej poziomu czy preferencji uczniów. Z raportu IBE wynika, że „im większe miasto, tym bardziej można mówić o faktycznym podejmowaniu decyzji dotyczących wyboru placówki – odsetek przypadków, kiedy wybierano spośród kilku alternatyw (zazwyczaj 2-3), jest wyższy dla większych miast, niższy dla mniejszych, a najniższy na wsi. W przypadku gimnazjum nad wyborem szkoły zastanawiało się 8 proc. gimnazjalistów mieszkających na wsi i aż jedna trzecia gimnazjalistów pochodzących z wielkich miast".

Michał Kość/Agencja Wschód/Reporter

Szkoła nie dla dorosłych

Likwidacja szkół w małych, zwykle mniej zamożnych miejscowościach, dotyka nie tylko dzieci i młodzieży. Raport IBE z 2014 r. podkreślał: „W wielu wsiach, których dotykają zmiany w sieci, szkoła jest jedyną świecką placówką publiczną, jedynym istniejącym jeszcze miejscem reprezentującym państwo. Ma swoje tradycje, stanowi symbol dawnych nadziei na lokalny rozwój. Nawet jeśli nadzieje te pozostały płonne, tj. przez lata rozwój nie nastąpił, utrata tego ostatniego symbolu postrzegana jest jako moment definitywnego upadku wsi".

Cytowani już Bajerski i Błaszczyk dodają: „O ile w miastach zamknięcie szkoły nie wpływa znacząco na życie ich mieszkańców, o tyle na wsi jest zazwyczaj istotnym wydarzeniem dla lokalnej społeczności, któremu przypisuje się szereg negatywnych konsekwencji". Szkoły na wsi pełnią nierzadko funkcję placówek integracyjno-kulturalnych – to w nich organizowane są imprezy okolicznościowe czy wydarzenia społeczne. „Małe szkoły na obszarach wiejskich są postrzegane jako centrum życia wsi (...), świadczą o rozwoju danej miejscowości i wpływają na jej rangę i rozwój" – podsumowuje Kołomycew.

Zamykanie szkół we wsiach i niewielkich miastach oznacza, że znikają w nich jedyne lub jedne z niewielu budynków publicznych. Z kolei placówkom, które pozostały przy życiu, lecz „dogęszczono" je uczniami z likwidowanych szkół, trudniej pełnić inne funkcje dla lokalnej społeczności i pogodzić je z większą skalą wysiłków edukacyjnych.

Narewka, woj. podlaskie. Opuszczona i niszczejąca szkoła podstawowa

Trzeba inaczej

Niedawny spór między zwolennikami i przeciwnikami gimnazjów tylko w niewielkim stopniu dotyczył omawianej tu sprawy. Czasami przeciwnicy gimnazjów przekonywali, że lepiej jest, aby dzieci pozostawały dłużej w szkole, do której mają bliżej. Zwolennicy zlikwidowanego szczebla argumentowali, że szkoły podstawowe nierzadko blokują rozwój uczniów, bo państwa polskiego nie stać na porządne wyposażenie wszystkich podstawówek.

Jedni i drudzy omijają sedno problemu, jakim jest to, że w wielu miejscach „Polski B" nie ma dobrego dostępu do porządnej jakości szkół. Tymczasem zależność nie tylko rozwoju kraju, ale także indywidualnego sukcesu od jakości kształcenia to fakt potwierdzony badaniami społecznymi. Lepsze wykształcenie oznacza zazwyczaj bardziej prestiżową pracę, wyższe zarobki, niższe bezrobocie itp.

Za najlepszy system edukacyjny na świecie uważany jest model szkolnictwa funkcjonujący w Finlandii. Wymienia się wiele jego cech specyficznych i zalet, wskazując jako wzór do naśladowania. Ale jedną z jego kluczowych i zarazem rzadko w Polsce dostrzeganych cech jest to, co jego badaczka i admiratorka prof. Pirjo Linnakylä opisuje tak: „W Finlandii nieistotne jest, w jakim miejscu uczeń żyje oraz do jakiej szkoły pójdzie. Możliwości kształcenia są w praktyce takie same w całym kraju, niezależnie od tego, czy uczeń ten mieszka na dalekiej Północy – w najdalszych obszarach regionu Lapland, czy w stołecznym obszarze Helsinek". Póki co Polska zmierza do czegoś dokładnie odwrotnego. I zapomina, że dopóki nasz system edukacji nie będzie na tyle dobry, by wyrównać szanse uczniów – tych pochodzących z prowincji i tych z dużych aglomeracji – przepaść między miastem i wsią będzie się tylko pogłębiała.

Remigiusz Okraska
jest socjologiem i publicystą.
Redaktor naczelny kwartalnika „Nowy Obywatel".

Jak uratowałam przemysł farmaceutyczny

Polskie szkolnictwo wydawało mi się od początku do końca sztampowe. Aż trafiłam na uczelnię francuską. Z czasem zobaczyłam jednak też plusy systemu polskiego. A gdy na studia pojechałam do Tajlandii – Polskę uznałam za oazę wolności

TEKST: MAGDALENA CHODOWNIK

ILUSTRACJE: ARKADIUSZ KANTOR

Liceum w podmilanowskim Pruszkowie kończyłam z przeświadczeniem, że moja życiowa droga zawodowa zacznie się od farmacji i na niej się skończy. Dziś cieszę się, że w swym nastoletnim zrywie nieodpowiedzialności postanowiłam jednak nie podchodzić do decyzji życiowych śmiertelnie poważnie, a raczej dać upust fantazji.

Odstraszająca woń lawendy

Do dziś pamiętam swój pierwszy eksperyment w laboratorium Akademii Medycznej w Warszawie, spotkanie dla zainteresowanych studiami. Robiliśmy tabletki o nie-pamiętam-jakim-działaniu, chyba przeciwbólowe. Mieszało się jakieś proszkopudry, wytłaczało, a na końcu badało ich parametry. Okazało się, że te przygotowane przeze mnie (i szczęśliwie niepołknięte przez nikogo) czas rozpuszczania miały tak długi, że lek dotarłby ze swoim działaniem do organizmu może kilka lat po zażyciu.

Odesłano mnie więc do innego zadania – miałam przygotować krem do twarzy na noc o zapachu lawendy. W malutkiej misce mieszałam składniki, ostatni dolewany miał być zapach. Za lawendowy flakon złapałam jednak tak ochoczo, że cała jego zawartość rozlała się i po stole, i po mnie. Okazało się, że wcale nie musiałam nakładać kremu, by przez kilkanaście dni czuć na sobie intensywną lawendową woń. Przedawkowanie lawendy spowodowało awersję do kwiatu na długie lata.

Do egzaminów na farmację nie podeszłam. Zamiast tego pewnego pięknego majowego dnia, podczas matury, między jednym testem a drugim, zdecydowałam o przeprowadzce do Paryża. I – ku zaskoczeniu wszystkich, w tym mnie samej – o studiach na wydziale teatrologii. Najprawdopodobniej ocaliłam w ten sposób przemysł farmaceutyczny przed katastrofą.

Francja za równowartość malucha

Teatr od lat był moją pasją, chciałam zostać krytyczką, ale rozsądek podpowiadał: „z tego się nie da wyżyć". Tyle że w moim przypadku rozsądek nigdy nie miał nadmiernej siły przebicia.

Po egzaminach maturalnych, jakże dalekich od piątkowych, spakowałam walizkę i wyjechałam do Francji. Miałam ledwo osiemnaście lat. Pieniądze na wyjazd do państwa, w którym nigdy wcześniej nie byłam, zdobyłam ze zdewaluowanej książeczki oszczędnościowej, na którą dawno temu dziadek wpłacił równowartość malucha czy jakiegoś innego fiata. Po zlikwidowaniu lokaty, która miała zabezpieczać moją przyszłość, okazało się, że stać mnie na walizkę, kilka formalności związanych z tłumaczeniem podstawowych dokumentów i jednorazową przejażdżkę autobusem na trasie Warszawa-Paryż. Na powrotny zabrakło.

W mekce komunistów

W Paryżu zatrudniłam się jako opiekunka do dziecka (najprostsza praca, jaką można dostać bez znajomości języka). Przez chwilę uczyłam nawet polskiego, ale niestety uczeń zrezygnował z moich usług dość szybko. Uznał, że byłam mało profesjonalna, bo nie mogłam powstrzymać się od

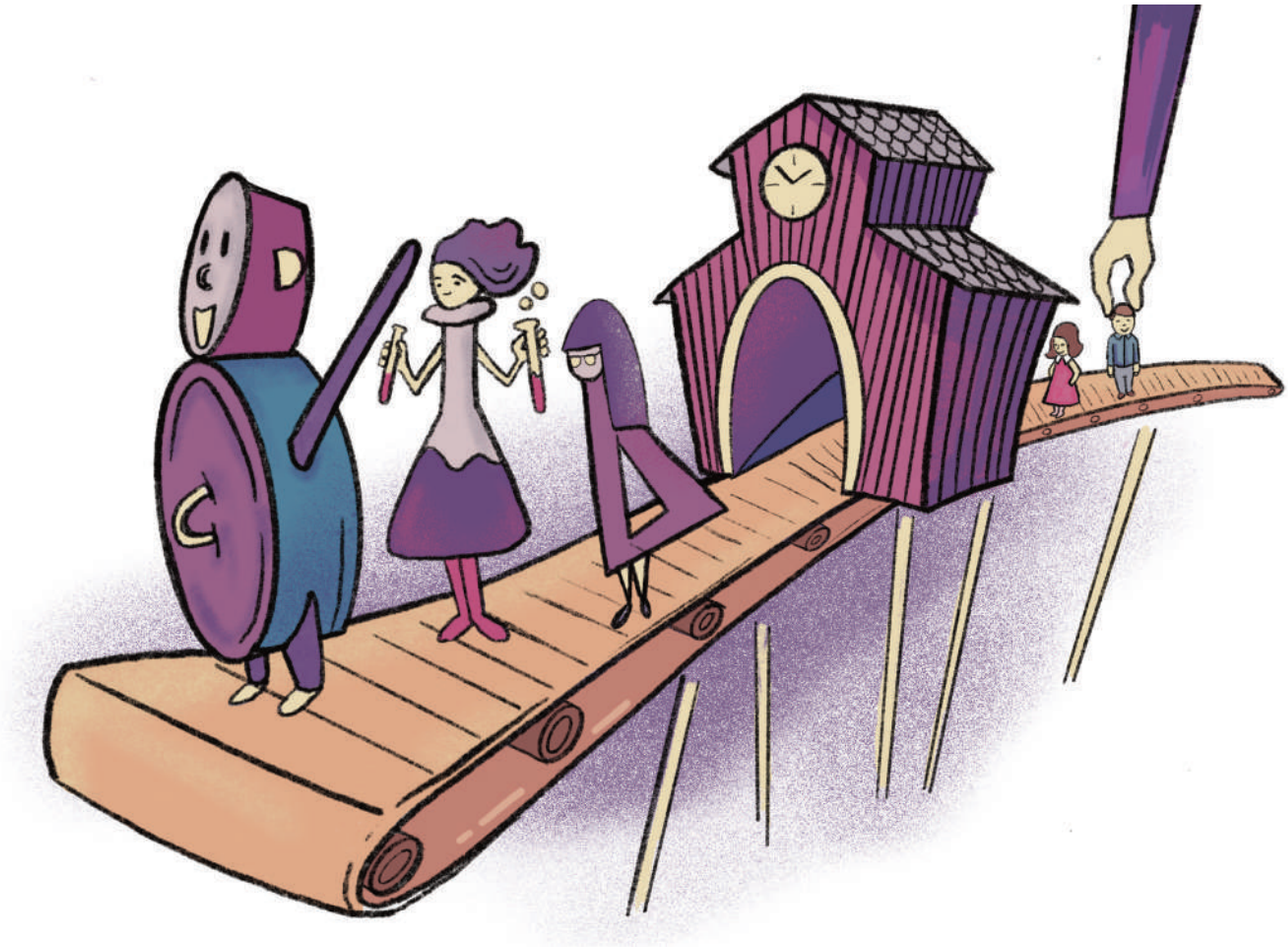

śmiechu przy błędach, które popełniał – np. notorycznie zamiast „chłopak" mówił „chłopek" (choć to i tak nic w porównaniu z koleżanką z Polski, która nazywała nieopatrznie „kalafior" – „kaloryferem", a „ogrodniczki" – „dziwkami").

Po roku nauki francuskiego zdałam potrzebne certyfikaty językowe i trafiłam pod strzechy uniwersytetu Paris 8 (we Francji nazwy uczelni w danym mieście oznacza się kolejnymi liczbami) – mekki komunistów, socjalistów i multikulti. Był tam cały świat. Część jego obywateli rzeczywiście się uczyła, a część pojawiała się od wielkiego święta, jedynie by podbić umożliwiającą legalny pobyt we Francji legitymację. Na uniwersyteckich korytarzach słuchałam młodych opozycjonistów z Iranu, opowieści o uchodźcach, wojnach, miłościach, religiach. Taki od samego początku był Uniwersytet Paris 8, który powstał w odpowiedzi na wydarzenia z francuskiego maja 1968 roku.

Zaangażowanie uczelni i studentów w sprawy polityczno-społeczne kraju i świata było ogromne, historia uczelni zobowiązywała. Prawie każdy tam o coś walczył – o prawa dla Mapuczy, o zablokowanie zmian w prawie dotyczącym edukacji wyższej (które w końcu spowodowało blokadę uniwersytetu, bo wykładowcy także przyłączali się do strajków), o systemowy recykling. Zawsze było gwarnie, ale nie zapomnę, jak pewnego dnia biegłam spóźniona na zajęcia, gdy ujrzałam krzątające się po uniwersytecie tłumy. Przechodził właśnie strajk ludzi „bez papierów", a Paris 8 otworzył dla protestujących (czasem bezdomnych) swoje drzwi. Spali wszędzie – na korytarzach, w klasach, a my, między ich chrapaniem, się uczyliśmy.

Wyprowadzili się po kilku tygodniach.

Uniwersytet poza murami

Na wydziale sztuk performatywnych zgłębiałam i teorię teatru, i historię, i grałam na scenie, i ustawiałam sceniczne światła, i wgłębiałam się w działanie administracji. Zachwycała mnie wszechstronność, z jaką traktowano temat.

Każdy sam miał możliwość wybierania przedmiotów – od historii teatru japońskiego przez teatr indyjski po brytyjski. A wybór był ogromny. Przyjemnie było uczyć się dokładnie tego, czego się chciało. Mało tego: każdy z przedmiotów wykładany był przez wysokiej rangi praktyków i specjalistów, kathakali uczyła hinduska tancerka, teatru No japoński aktor i tak dalej.

Życie studenckie na Paris 8 płynęło przyjemnie. W Polsce zdecydowanie nadużywałam prawa do wagarowania, a teraz z ochotą stawiałam się na wszystkich zajęciach. Do większości wykładowców i profesorów mówiliśmy per ty, prowadziliśmy z nimi nieskończenie długie debaty (o wszystkim) i wspólne projekty poza murami uniwersytetu. Powiedzieć wykładowcy, że się myli i wypowiedzieć swoje zdanie? „Pierre, to zupełnie nie tak, jak mówisz"? Żaden problem. Przynieść w ramach usprawiedliwienia nieobecności swoje zdjęcie z protestu czy ważnej konferencji? Też żaden. Napisać wykładowcy, że zaangażowałam się w projekt UNICEF-u na rzecz szczepionek w Afryce, więc będę przychodzić w tym semestrze na co drugie zajęcia? Żaden problem. Dostałam tylko mail: „Magda, tylko napisz mi z tego jakiś raport. Powodzenia!".

Polskie konwenanse

Równolegle rozpoczęłam studia filozoficzne na paryskiej filii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (wykładowcy przyjeżdżali do nas z Lublina). Było to dla mnie doświadczenie edukacyjnej dwubiegunowości: raz panowała bardzo luźna atmosfera francuskiego wydziału artystycznego, raz tradycyjna polska hierarchia przesiąknięta logiką i metodologią. Na zmianę.

W przeciwieństwie do uczelni francuskiej na polskiej panowały utarte konwenanse: czy to w relacjach student-wykładowca, czy w podejściu do programu nauczania. Dostawaliśmy spis zajęć, lektur, tematów i była to jedyna możliwa ścieżka ku dyplomowi.

Ale o ile francuskie podejście bardzo odpowiadało mojemu charakterowi, o tyle w polskim systemie czułam się jednak jak w domu, znałam go już z wcześniejszych lat. Wiedziałam, gdzie są granice, których przekraczać nie wolno. Gdzie z „ciekawej tematu" stanę się „niegrzeczną" czy „pyskatą". Gdzie głośne rozważanie nad tematem stanie się artystycznym bełkotem.

Wiedziałam, że nie mogę pozwolić sobie na taką swobodę, na którą pozwalałam sobie na Paris 8. Ale widziałam w tym też pewną metodę. Zaimportowany nad Sekwanę system polski pozwalał utrzymać systematyczny rygor pracy i nauki, co przy egzaminach bardzo sobie chwaliłam. A zdawanie co pół roku podwójnych sesji, w dwóch różnych językach, z dwóch różnych dziedzin, przy niekiedy nakładających się na siebie terminach wymagało dobrej koordynacji i, niekiedy, sprytu.

Różnice programowe wydziałów filozoficznych polskich i francuskich nie pozwoliły uniwersytetowi z Polski osiąść tam na stałe, tj. znaleźć lokalnego partnera, przy którym można było stworzyć oddział lubelski. KUL funkcjonował więc w Paryżu jako osobny byt – oderwany od francuskiego systemu edukacji wyższej.

Inna logika

Potrzebowałam kilku lat studiów, żeby podjąć decyzję, co tak naprawdę chciałabym w życiu robić. Kiedy w końcu postanowiłam, że będzie to dziennikarstwo, zdecydowałam się na wyprowadzkę do Tajlandii i rozpoczęcie tam nauki na Wydziale Komunikacji Masowej i Dziennikarstwa Uniwersytetu Ramkhamhaeng w Bangkoku. I o ile wcześniej polskie szkolnictwo wydawało mi się pełne konwenansów, o tyle w zderzeniu z zasadami panującymi na tajlandzkich uniwer-

Napisać wykładowcy, że zaangażowałam się w projekt UNICEF-u na rzecz szczepionek w Afryce, więc **będę przychodzić w tym semestrze na co drugie zajęcia? Żaden problem**

sytetach okazało się zupełnie swobodne. Tajlandzkie społeczeństwo i utrzymywane w nim relacje opierają się na systemie klasowym, ten nie omija uczelni.

W Tajlandii w szkołach i na uniwersytetach jedynym słusznym głosem jest głos wykładowców. Nawet zadawanie wykładającym pytań jest nierzadko odbierane jako podważanie ich kompetencji. Według jakiej logiki? Skoro zadaje się pytania, to znaczy że się nie zrozumiało, a jeśli się nie zrozumiało, to być może wykładowca źle tłumaczy, a to oczywiście może być uznane za obraźliwe... W dobrym tonie nie jest również sprzeciwianie się, używanie słowa „nie" czy wchodzenie w dyskusje – słowem wszystko poza przytakiwaniem.

Może nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego ani niepokojącego gdyby nie fakt, że niektórym wykładowcom po prostu brakuje kompetencji i chęci. Oraz może odrobinę też to, że do sali wykładowej trafiłam z zupełnie innymi zwyczajami.

Biały znaczy mądry

Pierwszym tematem wykładów było tajlandzkie prawo prasowe. Nauczał go prawnik ze Stanów Zjednoczonych, który mieszkał w Azji już kilka lat. Zajęcia inauguracyjne rozpoczął od porównania konstytucji Tajlandii i USA. Zamiast jednak przytoczyć choćby fragment z którejś z ustaw zasadniczych, stanął na środku sali, wzniósł ręce ku niebu jak samozwańczy prorok, w jednej trzymając kartkę papieru (konstytucja USA), a w drugiej wielostronicową książkę (konstytucję Tajlandii). Na tej podstawie, to jest objętości, zawyrokował: my, Amerykanie, mamy pełną wolność, a wy, Tajlandczycy, same zakazy.

Wydało mi się to dość nietypowym sposobem analizowania praw obywateli, więc spytałam, przed czym, w jaki sposób i na ile chroni ludzi jedna kartka papieru? Nie żeby Tajlandia była krajem pełnym swobód obywatelskich, co to to nie.

Nie odpowiedział na moje pytanie.

Z czasem było tylko gorzej. Okazało się, że wykładowca z USA wybitnie lubował się w naśmiewaniu z Azjatów (prócz Tajów w klasie była też Birmanka i kilku Chińczyków), a mnie to wybitnie drażniło. Wypominał im kasowe, ale nie-zbyt-mądre telenowele (jakby to Stany nie były pionierami takowych), mówił o amerykańskiej wolności prasy od samych początków jej powstania (co było nieprawdą) i tak dalej. Azjaci siedzieli zasłuchani, notując każde słowo, a ja nie mogłam powstrzymać się od komentarzy i sprostowań, aż w końcu, przy którejś konfrontacji, poprosiłam, by wykładowca powiedział więcej o swoich kwalifikacjach. Nie rozumiałam, czemu popełnia tak wiele błędów, często podstawowych. Okazało się, że owszem jest prawnikiem, ale od amerykańskiego prawa rodzinnego...

Niestety, w Tajlandii nie zawsze przykłada się wagę do wiedzy. Ważne są dyplomy i miejsce w społeczeństwie – status, praca i rodzina. Biały człowiek dobrze sprawdza się w roli wykładowcy, dlatego że tacy obcokrajowcy z marszu przynależą w oczach Tajlandczyków do klasy wyższej. Ja na przykład, kiedy zapisywałam się na studia, nie musiałam dowozić certyfikatów językowych czy większości innych dokumentów, bo przecież przyjeżdżałam z Europy, więc z założenia byłam obyta i wszystko umiałam. Do tego studia są tam zwyczajnie drogie i nie każdy może sobie na nie pozwolić. To sposób na konserwowanie od pokoleń podziału na elity, które stać na wykształcenie, oraz na resztę społeczeństwa. Rząd wychodzi z założenia, że tym ostatnim wiedza i tak nie jest potrzebna – w innym razie może jeszcze chcieliby np. wziąć nawet udział w życiu politycznym.

Rebelia

Konfrontacji z wykładowcą-prawnikiem rodzinnym nie było końca. Niestety, wchodzenie z nim w dyskusję spowodowało, że reszta studentów obraziła się na mnie za nieobyczajne zachowanie. W ten sposób mijały kolejne tygodnie, aż zaczęła zbliżać się sesja. Wykładowca postanowił, że nie zrobi nam egzaminu, a zamiast tego każdy będzie musiał przygotować prezentację poświęconą jakiemuś paragrafowi. Przydzielił tematy, bo jak zasugerował – Azjatom trzeba zawsze powiedzieć co i jak konkretnie, gdyż sami nie wymyślą. Mnie natomiast powiedział, że mogę przygotować dowolne zagadnienie z zajęć.

Kiedy przyszło do wygłaszania referatów i przerzucania slajdów, słuchałam kolegów z roku i cierpliwie odkładałam swoją prezentację na sam koniec. W ten sposób raz jeszcze przebrnęliśmy przez omawiane paragrafy prawa prasowego, aż nadszedł czas na moje wystąpienie – stanęłam na środku klasy, podpięłam komputer pod rzutnik, włączyłam, a na ścianie pojawił się tytuł: *Historia cenzury w Stanach Zjednoczonych*. Wykładowca poczerwieniał na twarzy, ale chcąc zachować jej resztki, powiedział, że na pewno świetnie się przygotowałam, że jest już późno i że możemy już kończyć. Obiecał mi najwyższą ocenę. Stałam w milczeniu kilka chwil, aż stało się niemożliwe: koledzy i koleżanki z roku wstali i wspólnie powiedzieli: „Nie, my chcemy tego posłuchać".

Szczęśliwie nie wszyscy wykładowcy znaleźli się na naszym wydziale przez przypadek. Uniwersytet ściągnął też kilku świetnych specjalistów i praktyków do spraw mediów. Mimo jednak obranego kierunku jestem przekonana, że najwięcej nauczyłam się tam o samej Tajlandii, jej kulturze i historii współczesnej.

Do dziś uważam sprowokowanie tamtych Azjatów do wypowiedzenia słowa „nie" za mój największy sukces podczas wszystkich studiów we wszystkich krajach. I to, że owy duch rebelii został z nimi do końca nauki.

Magdalena Chodownik
jest dziennikarką i reporterką.
Stała współpracowniczka „Holistica".

Uwierzyć w szczepionki

Wielu dziennikarzy lansuje słynne podejście „z drugiej strony jednak...". Sęk w tym, że w ruchu antyszczepionkowym nie było i nie ma żadnej „drugiej strony"

Z PROF. SETHEM MNOOKINEM
ROZMAWIA JAKUB JANISZEWSKI

Andrew Wakefield, gastroenterolog z londyńskiego Royal Free Hospital, 26 lutego 1998 r. zwołał konferencję prasową. Miała promować jego publikację z „The Lancet", ale w rzeczywistości była ostrzeżeniem. Według Wakefielda MMR – stosowana od dziesięcioleci szczepionka chroniąca przed odrą, świnką i różyczką – prowokowała u dzieci zapalenia jelit, a w konsekwencji prowadziła do autyzmu. Symbolicznie można te datę potraktować jako swoisty punkt zero współczesnych ruchów antyszczepionkowych.

Po jakimś czasie śledztwo dziennikarskie „The Sunday Times" wykazało jednak liczne nieprawidłowości w osławionej publikacji z „The Lancet". Kilkanaście lat po konferencji prasowej Wakefielda brytyjska Naczelna Izba Lekarska pozbawiła go prawa do wykonywania zawodu, zarzucając mu działanie na szkodę pacjentów. Andrew Wakefield był skończony. Dla wszystkich z wyjątkiem działaczy ruchu antyszczepionkowego. W ich oczach pozostał idolem i autorytetem.

Seth Mnookin, amerykański dziennikarz i wykładowca Massachusetts Institute of Technology, w swojej książce *Wirus paniki. Historia kontrowersji wokół szczepionek i autyzmu* umieszcza te dwa wydarzenia – i czas, który je dzielił – w szerokim kontekście. Pisze nie tylko o sukcesach ruchu antyszczepionkowego, ale także o porażkach masowych szczepień. Choć bowiem okazały się one fenomenalnie skuteczną metodą walki z szeregiem chorób zakaźnych, nie zawsze przeprowadzano je z należytą pieczołowitością i ostrożnością. Przede wszystkim jednak Mnookin stara się odtworzyć drogę, którą za sprawą mediów przeszła wypuszczona na światło dzienne przez Andrew Wakefielda bzdura głosząca, że szczepionki powodują autyzm.

JAKUB JANISZEWSKI: Chciałbym zacząć od wątku, który nie daje mi spokoju. Dlaczego Andrew Wakefield – czarny charakter twojej książki – grzebał w twoim pochodzeniu i czynił uwagi na temat żydowskich korzeni?

SETH MNOOKIN: Nie mam zielonego pojęcia. On w ogóle jest dziwnym człowiekiem, trudno mi zrozumieć jego motywacje tak w tej, jak i w innych sprawach. Chyba właśnie to zdziwienie sprawiło, że zdecydowałem się jego uwagi o moim żydostwie umieścić w książce.

A ja myślałem, że sugerujesz w ten sposób istnienie związku między ruchami antyszczepionkowymi a innymi, dość specyficznymi, nacechowanymi nieufnością postawami – w tym antysemityzmem.

To ciekawe, ale nie myślałem wtedy o tym. Chodzi ci o nieufność wyrażoną w przekonaniu, że istnieją jakieś wszechobecne struktury władzy, którym należy się przeciwstawiać? Rzeczywiście, myślę, że w ruchach antyszczepionkowych jest element populistyczny, a dla wszelkich populizmów bardzo charakterystyczny jest antyintelektualizm, niechęć wobec elit, ekspertów, autorytetów. Kiedy dziewięć lat temu Andrew Wakefield ostatecznie stracił prawo wykonywania zawodu, a jego publikacje – w tym kluczową z „The Lancet" z 1998 r. – usunięto, pojawiła się nadzieja, że skończy się całe to zmieszanie. W końcu upadł mit założycielski, badanie Wakefielda okazało się fałszywką, a on sam szarlatanem. Ale wkrótce ruch antyszczepionkowy zaczął się odradzać. I to zmartwychwstanie z pewnością zawdzięcza-

Luke MacGregor/REUTERS

Doktor Andrew Wakefield po odebraniu mu prawa do wykonywania zawodu

my właśnie populizmowi politycznemu, który rezonuje szeroko w amerykańskim społeczeństwie.

Czy da się w takim razie połączyć ruchy antyszczepionkowe z określonymi poglądami politycznymi? Czy można powiedzieć, że amerykańscy antyszczepionkowcy to np. zwolennicy prawicowej Tea Party albo radykalna lewica, np. wyborcy Zielonych?

Raczej nie. Musimy pamiętać, że ruch antyszczepionkowy, którego personifikacją była osoba Andrew Wakefielda, jest starszy niż Tea Party. Wiele innych ruchów populistycznych rzeczywiście da się zmapować politycznie – np. negowanie zmian klimatycznych jest bardziej charakterystyczne dla skrajnej prawicy. Jednak antyszczepionkowców ten podział nie dotyczy, rekrutują się z obu stron. To dość wyjątkowe. Bo poza tym są dość typowi ze swoją niechęcią wobec autorytetów, nieufnością wobec władz. To, co ich odróżnia, to właśnie ta mieszanka lewicowych i prawicowych poglądów politycznych.

Twoja książka została opublikowana kawał czasu temu, bo w 2011 r. W Polsce wyszła po ośmiu latach, więc wypada ją obudować pewnymi przypisami. Czy ruch antyszczepionkowy ma się dzisiaj lepiej niż wtedy, kiedy pisałeś *Wirusa paniki*?

Widzę jedną zasadniczą różnicę między Ameryką roku 2011 a współczesną: wtedy istniał już silny ruch antyszczepionkowy, natomiast nie było żadnego ruchu proszczepionkowego. Dzisiaj już jest. Pojawił się po części z powodu ognisk chorób zakaźnych, które nie zaistniałyby, gdyby ludzie szczepili swoje dzieci. A także, po części, za sprawą większej aktywności specjalistów od ochrony zdrowia. W konsekwencji Kalifornia ograniczyła prawo rodziców do odmowy szczepień. Większą inicjatywę wykazują też ci, którzy szczepią swoje dzieci i chcą wiedzieć, jaki jest poziom wyszczepienia w szkołach, w których ich potomstwo się uczy.

Amerykański ruch antyszczepionkowy jest szczególny. Z jednej strony mamy szkolne klasy, gdzie połowa dzieciaków nie została zaszczepiona, a z drugiej – mało istotnych zmian statystycznych pomiędzy 2010, 2012 albo 2019. To różnica skali: fakt, że na poziomie krajowym nic szczególnie istotnego się nie dzieje, nie oznacza jeszcze, że podobnie uspokajający obraz uzyskujemy w lokalnych wspólnotach, sąsiedztwach. Na tym polega trudność we właściwym opisaniu i zrozumieniu sytuacji.

Część celebrytów tego ruchu jednak się od niego odżegnała. Poświęciłeś cały rozdział Jenny McCarthy – niespełnionej aktorce, niegdysiejszej gwiazdce telewizyjnej, która parę lat

temu popularyzowała unikanie szczepionek i była niesłychanie skuteczna w monetyzowaniu swojej niechęci. Dzisiaj McCarthy twierdzi, że nigdy nie ostrzegała przed szczepionkami, zalecała tylko ostrożność.

Tak, ale wtedy też tak mówiła: że nie jest przeciwko szczepieniom, tylko za bezpiecznymi szczepieniami. Tyle tylko, że jak się uważnie posłuchało tego, co ona rozumie przez „bezpieczne szczepienia", tak naprawdę oznaczało „zero szczepień". Jenny McCarthy przestała się bawić w orędowniczkę ruchu antyszczepionkowego, gdy zrozumiała, że może oberwać rykoszetem i to w sposób dalece wykraczający poza krytykę jej poglądów. Na horyzoncie zaczęła majaczyć groźba strat finansowych, bo coraz więcej osób zaczęło się angażować w walkę z antyszczepionkowcami.

Cała historia ze szczepieniami wywołującymi autyzm jest według mnie podobna do zjawiska AIDS-negacjonizmu. Tam też był słynny lekarz – Peter Duesberg, profesor onkogenetyki, który twierdził, że HIV to nieszkodliwy wirus, a AIDS wywołują narkotyki i „styl życia", np. zbyt wielu partnerów seksualnych i zbyt częsta ekspozycja na obcą florę bakteryjną. I też byli ludzie, którzy odmawiali leczenia, bo ślepo mu wierzyli.

Wszystkie ruchy negacjonistyczne są do siebie bardzo podobne. Nie bez powodu w książce znajdują się cytaty z badaczy ruchów konspiracjonistycznych i to sprzed półwiecza. Idealnie oddają ducha współczesnego ruchu antyszczepionkowego. Obalanie czegoś, w co ludzie głęboko wierzą, jest bardzo trudne, wręcz niemożliwe. Na początku mojej książki odnoszę się do ruchu urodzeniowców, czyli grupy Amerykanów przekonanych o tym, że świadectwo urodzenia Baracka Obamy jest fałszywe, a w rzeczywistości urodził się w Kenii. To komiczne, pasuje do marginesu politycznego, ale teraz, wraz z dojściem do władzy Donalda Trumpa, który mocno wspierał ten sposób myślenia, margines przeniósł się do centrum, a to, co wydawało się obłąkaną bzdurą, zmieniło się w polityczną strategię. Przerażające.

Czytając twoją książkę, nie mogłem zrozumieć, dlaczego przedstawiciele mediów dawali tak chętnie głos antyszczepionkowcom. To też skojarzyło mi się z latami 90. Może Oprah Winfrey nie bez powodu jest dzisiaj tak otwarta na ruchy antyszczepionkowe: pamięta lata 80. i czasy, gdy Reagan nie chciał wymówić słowa AIDS, a fundusze na badania nad lekami były obcięte, bo wszystko poszło na zbrojenia.

Tak, ale w przypadku AIDS-negacjonizmu musimy pamiętać, że pierwsze ofiary AIDS były zarazem grupą stygmatyzowaną. Pierwsze przypadki AIDS to czasy zinstytucjonalizowanej homofobii. Nijak ma się to do ruchu antyszczepionkowego. To raczej szczepionki jako skuteczna metoda zabiegania zakażeniom padły ofiarą własnego sukcesu. Ludzie zapomnieli o polio, śwince, odrze i w efekcie zaczęli uznawać te procedury za niekonieczne, a zagrożenie, przed którymi chroniły – za nieistniejące.

Równocześnie uwagę opinii publicznej przykuł autyzm. Słuchając mediów, można było odnieść wrażenie, że autyzm to nowa epidemia. I tu z kolei przekaz środowisk medycznych był taki: nie znamy przyczyny. Doszło więc do skrzyżowania przeciwstawnych treści: o skuteczności szczepionek, które miały chronić przed zapomnianymi, pozornie nierzeczywistymi chorobami przekonywali ludzie, którzy nie mieli nic do zaproponowania w kwestii autyzmu. A autyzm w oczach rodziców jawił się jako absolutne zagrożenie. To połączenie dawało szerokie pole do snucia spekulacji o niekompetencji środowisk medycznych i chciwości koncernów farmaceutycznych.

Niektóre tezy, które do niedawna były marginesem, wraz z dojściem do władzy Trumpa przeniosły się do centrum, **a to, co wydawało się obłąkaną bzdurą, zmieniło się w polityczną strategię**

Chodziło mi raczej o przekaz z lat 90., gdy aktywiści z czasów AIDS [AIDS dzisiaj nie istnieje jako problem zdrowia publicznego, dzisiejszym problemem jest epidemia HIV, nie AIDS – red.] podkreślali, że lekarze powinni bardziej słuchać pacjentów, uwzględniać ich perspektywę. Że trzeba być bardziej otwartym na to, co mówią ofiary chorób, a nie traktować ich z pozycji mądrego pana w białym kitlu. Czy tu nie leży podobieństwo między ówczesnymi ruchami pacjenckimi a ruchami antyszczepionkowymi?

Masz rację. Tamci aktywiści nie mylili się, środowiska medyczne naprawdę ich wówczas ignorowały. I naprawdę to właśnie oni, dzięki swojemu zaangażowaniu, uczynili AIDS i HIV z kłopotu zdrowotnego zmarginalizowanych grup społecznych szeroki problem zdrowia publicznego. To zaangażowanie ocaliło mnóstwo istnień ludzkich, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

Oczywiście, ruch antyszczepionkowy gra na tych sentymentach. Odwołuje się też do innych, równie dramatycznych, choć dawniejszych skojarzeń. Na przykład związanych z eksperymentem Tuskegee. Amerykańskie służby zdrowia publicznego eksperymentowały na własnych obywatelach, obserwując przez

Brendan Hoffman/Getty Images

Jim Carrey trzyma syna Jenny McCarthy (z lewej) podczas marszu na rzecz zdrowych szczepionek, 2008 r.

East News

Grupa Afroamerykanów otrzymuje dożylne leki w klinice wenerycznej w Georgii. W latach 30. XX w. przeprowadzono niesławne badanie Tuskegee – na czarnych farmerach sprawdzano, jak rozwija się nieleczona kiła. Skutkiem były liczne zgony

kilkadziesiąt lat rozwój nieleczonej kiły u czarnoskórych farmerów, celowo zakażonych. Takich przykładów było zresztą więcej, także w innych krajach.

Nic więc dziwnego, że te ostrzeżenia – „nie możesz ufać władzy, nie możesz ufać rządowi" – pojawiają się w narracji antyszczepionkowców. I rezonują w uszach szerokiego odbiorcy, bo – jak słusznie zauważyłeś – kojarzą się z innymi, doskonale znanymi i opisanymi historiami. A jeśli do tego dodamy firmy farmaceutyczne, uzyskujemy paranoiczny obraz. W samym kryzysie opioidowym obserwowanym dzisiaj w Stanach Zjednoczonych nie brakuje przecież dowodów na to, że wiele z tych przedsiębiorstw ma w nosie zdrowie klientów. Liczy się zysk. Pokazuje to, dlaczego tak wielu ludzi wykazało się otwartością na głoszone przez antyszczepionkowców treści.

Na przykład David Kirby, dziennikarz, którego karierę opisujesz. Może gdyby nie jego zaangażowanie w ruch obywatelski na rzecz walki z AIDS – był przecież jednym z rzeczników amfAR-u, bardzo wpływowej i zasłużonej organizacji pozarządowej – nie wykazałby się taką otwartością wobec ludzi z ruchu antyszczepionkowego, nie pisałby książek jednoznacznie przyznających im rację.

Paralele nasuwają się same.

Dla współczesnego ruchu antyszczepionkowego postawa mediów jest absolutnie kluczowa. A w szczególności rodzaj podejścia lansowany przez wielu dziennikarzy: „z drugiej strony

Szczepionki padły ofiarą własnego sukcesu. Ludzie zapomnieli o polio, śwince, odrze i w efekcie **zaczęli uznawać zagrożenie, przed którymi chroniły szczepionki – za nieistniejące**

jednak...". Sęk w tym, że w ruchu antyszczepionkowym nie było i nie ma żadnej „drugiej strony". Był zbiór przypuszczeń, zarzutów, zestaw wierzeń. I zero dowodów. To wpadło w tryby amerykańskiego dziennikarstwa z jego kultem „obiektywizmu", który doprowadzony do absurdu każe ci przedstawiać strony każdego sporu z jednakową powagą. OK, możesz być obiektywny, możesz wysłuchać obu stron, ale możesz też – nie naruszając żadnych reguł dziennikarskich – zaznaczyć po czyjej stronie są racjonalne argumenty. I tego właśnie zabrakło. Zamiast tego pojawiło się wrażenie, że są dwie strony sporu, między którymi toczy się poważna, uczciwa dyskusja na argumenty.

Ten sposób mówienia i pisania sprawił, że ruch antyszczepionkowy z marginalnego stał się masowym. A żadna równouprawniona, poważna debata naukowa się tu nie toczyła, nic takiego nigdy nie miało miejsca.

Tak, ale chyba zgodzisz się ze stwierdzeniem, że władza niekoniecznie zawsze ma rację. Nawet jeśli jest to „tylko" władza paru panów w białych kitlach. Trudno mieć pretensje do dziennikarzy, że są nieufni.

Oczywiście, że muszą być nieufni, to część ich zawodu – patrzeć z dystansem na poczynania rządzących. Ale dobry dziennikarz mówi potem: „muszę się temu przyjrzeć" i bierze się do roboty.

A jak było w przypadku doniesień Wakefielda? Ktoś się nie przyłożył czy naprawdę potrzebowaliśmy wielu lat, zanim śledztwo dziennikarskie wykazało, jak wielkim oszustwem była publikacja w „The Lancet"?

Prześledzenie takich błędów, jak ten, który popełnił „The Lancet", jest zawsze bardzo trudne, bo reporter nie odtworzy w swojej redakcji badań medycznych. Ale zawsze można zachować ostrożność. Powiedzieć: „nie musimy tym grzać". I tam było parę czerwonych lampek, które jakoś się nie zapaliły.

Materiał Wakefielda był opisem zaledwie 12 przypadków. Każdy reporter zajmujący się na poważnie nauką wie, że z tak małych prób nie wyciąga się żadnych wniosków. Co najwyżej formułuje się hipotezę badawczą i podejmuje dalszą pracę. Poza tym szczepionka MMR, którą Wakefield wziął na cel, była podawana dzieciom przez dziesięciolecia i jakoś wcześniej nie obserwowano masowego zwiększenia częstotliwości występowania opisywanych przez niego objawów. A sam Wakefield w swoim materiale nie przedstawił żadnego patomechanizmu, który miałby za nimi stać, nie miał żadnej hipotezy badawczej, która łączyła zapalenia jelit i szczepienia.

Mało tego: wszystkie opisane przez Wakefielda dzieci podesłał mu prawnik, który szykował pozew przeciwko firmie farmaceutycznej produkującej szczepionki, i to on zapłacił Wakefieldowi prawie pół miliona funtów łapówki za tę publikację. I nawet jeśli zweryfikowanie tego wymagało wytężonej pracy dziennikarskiej, to i tak można było zadać masę pytań, szukać kontekstu. Zamiast tego następnego dnia po konferencji prasowej Wakefielda wszyscy napisali, że oto pewien gastroenterolog twierdzi, że rodzice nie powinni szczepić swoich dzieci.

Myślisz, że on sam wierzył w to, co mówił? Czy po prostu wziął tę kasę i wszystkich zrobił w konia?

Fajnie byłoby dać mu serum prawdy i się dowiedzieć. Ale mówiąc poważnie: to nie jest głupi facet. I naprawdę zachodzę w głowę, by zrozumieć, jak można patrzeć na wyniki, które on uzyskał, i wyciągać z nich wnioski, które wyciągał. Nie rozumiem tego, nawet gdy przypominam sobie wszystkie sytuacje z mojego życia, w których bardzo chciałem w coś wierzyć, choć cała rzeczywistość wokół mówiła mi, by zachować zdrowy rozsądek. Gość jest zagadką.

A antyszczepionkowcy nawróceni? Tacy, którzy zrozumieli, że to był błąd? Pojawiają się tacy?

Tak, ale nie na masową skalę. Im głębiej się ktoś zaangażował w ten ruch, im bardziej uwierzył, tym trudniej będzie mu się cofnąć i przyznać, że się pomylił. To bardzo, bardzo trudne. Zwłaszcza gdy pomyłka dotyczy sprawy tak fundamentalnej, jak dobro twoich dzieci.

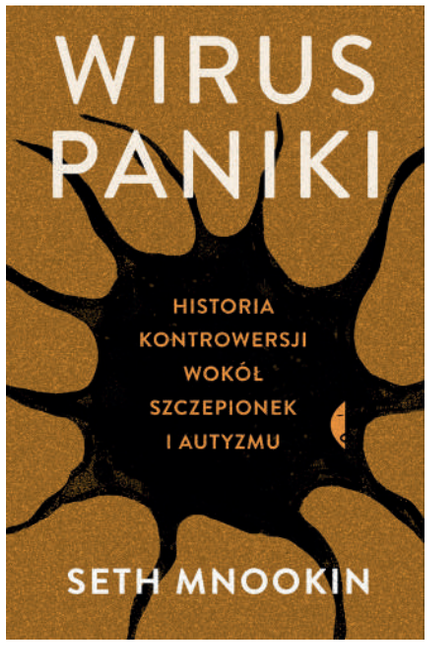

Seth Mnookin
jest profesorem Massachusetts Institute of Technology i dziennikarzem. W swoich książkach zajmuje się dziennikarskimi niepowodzeniami, błędami i ich konsekwencjami dla debaty publicznej. Niedawno w Polsce ukazała się jego książka *Wirus paniki. Historia kontrowersji wokół szczepionek i autyzmu* (tłum. Hanna Pustuła-Lewicka, Wydawnictwo Czarne 2019).

Tom Morello w 2017 r. podczas występu z formacją Prophets of Rage, którą stworzyli instrumentaliści Rage Against The Machine. Grupa rozpadła się, gdy jesienią 2019 r. muzycy RATM po raz kolejny ogłosili swój powrót

Ollie Millington/WireImage/Getty Images

Czy najntisowy rock znowu zbuntuje świat?

Wraca Rage Against The Machine. Czy zespół o globalnej sławie może pomóc naprawić świat? A może chodzi tylko o zarobek i wyprawienie dzisiejszych „Holistic.news". 40- latków w nostalgiczną podróż do lat 90.?

TEKST: JACEK ŚWIĄDER

Rage Against The Machine nie mogłoby zaistnieć bez MTV. Zespołowi udało się zastosować starą taktykę: przechwycili media, by wygłosić własny komunikat. W telewizji, stworzonej by dostarczać przyjemność i namawiać do konsumpcji, pokazywali hipokryzję polityków, brutalność policji, chciwość korporacji i bezradność zwykłych ludzi. Magnesem była muzyka: alternatywny rock połączył się z hip-hopem, skoczne rytmy funku z punkową energią, no i rapowanym wokalem.

My, nastolatki w turboliberalnej Polsce lat 90., mieliśmy MTV. Rage Against The Machine złapało nas za gardło i naprostowało. Zrozumieliśmy, że istnieje alternatywa dla polskiej odmiany wolnego rynku: można ją nazwać lewicową wrażliwością albo ideami wolności, równości i braterstwa, można – skrajnym lewactwem. Działała na nas ekspresja wokalisty Zacka de la Rochy, kalifornijskiego proroka w szerokich spodniach, z dredami à la Bob Marley. Działał image RATM, w którym mieściły się rzadko obecne w polskich mediach czarno-czerwone sztandary anarchistów, wizerunki Che oraz zapatystowskie czerwone gwiazdy.

Nie byliśmy jedyni. Kazik Staszewski, od lat zwolennik prawicy, przyznaje się do fascynacji brzmieniem Rage Against The Machine. W jednym ze swoich utworów skopiował nawet rozpoczęcie piosenki *Killing In The Name*. W wideoklipie do tego utworu RATM była scena, która mocno na nas działała: koncert, drobny de la Rocha blokuje potężnie zbudowanego ochroniarza, a za jego plecami fan wykonuje akrobatyczny skok w tłum. Populizm koncertowy? „*Fuck you, I won't do what you tell me*", powtarzał wokalista w tym utworze. A w innym: „*They say jump, you say how high*". Grunt to bunt.

Załóżcie własny zespół

Dziś trudno uwierzyć w to, że w 2019 r. te symbole i słowa mogą kogoś porwać. Próbę czasu przetrwał może tylko późny wideoklip *Renegades of Funk*, gdzie nagrania policyjnych aktów przemocy mieszają się ze scenami breakdance'u – uczestnictwo w demonstracji daje poczucie haju dorównujące ekstazie wynikającej z tańca. W sumie wydawało się jednak, że gitarzysta Tom Morello miał rację, gdy w maju mówił fanom, że nie ma co czekać na Rage Against The Machine. Uwagi, że sytuacja polityczna sprzyja powrotowi zespołu, kwitował radą: „Załóżcie własny zespół". Mimo to wrócili, zagrają wiosną co najmniej pięć koncertów. Poinformowali o tym na nowiutkich kontach na Twitterze i Instagramie.

Tylko kto miałby tam czekać na ich przekaz? Nie wierzę, że wywodzący się ze sceny punkowej de la Rocha bardzo się zmienił. O przebicie się do szerokich mas będzie znacznie trudniej niż ćwierć wieku temu. Nie ma już tamtego MTV, nie ma strumienia wideoklipów, czekania na ulubione utwory i łapania się po drodze na coś obcego i dziwnego. Jest internet, gdzie w każdym momencie można obejrzeć dowolny wideoklip. W 2020 r. de la Rocha skończy 50 lat, a i my wcale nie będziemy obchodzić osiemnastki.

Dla kogo w takim razie ma być ten zespół? Dla pokolenia Grety Thunberg? Dla dzieciaków organizujących młodzieżowe strajki klimatyczne? A co je obchodzą jakieś kalifornijskie dziadki. No chyba że... jednak udało im się coś osiągnąć.

Rejdże z Wall Street

W styczniu 2000 r. Rage Against The Machine zamknęli nowojorską giełdę. To był dzień, kiedy kręcili wideoklip do utworu *Sleep Now in the Fire*. Nowy Jork nie daje pozwoleń na filmowanie na Wall Street w dni powszednie, więc sprytny reżyser uzyskał zgodę na kręcenie na schodach pobliskiego ratusza. Statystów podzielił na „dobrych fanów" i „złe garniturki". O dziwo jednak muzyka przyciągnęła prawdziwych japiszonów, którzy zaczęli skandować: „*Suits for Rage!*". Policja nakazała grać cicho, reżyser obiecał co trzeba i uczynił odwrotnie. Wreszcie mundurowi aresztowali go i przerwali koncert. Około 200 osób pod dowództwem muzyków rzuciło się do budynku giełdy, ale poległo w starciu z metalowymi żaluzjami. Tak Rage Against The Machine zamknęło drzwi giełdy, czym pochwaliło się w wideoklipie. Handel nie został jednak przerwany ani na chwilę.

Pojmanym reżyserem był Michael Moore, lewacki krytyk establishmentowej Ameryki i troll wagi ciężkiej, późniejszy twórca dokumentu *Zabawy z bronią* o masakrze w szkole w Columbine i dostępności broni w Stanach. Cztery lata po tych zdarzeniach Moore zostanie laureatem Złotej Palmy w Cannes za film *Fahrenheit 9.11*. Rejdżom nie pójdzie tak dobrze jak Moore'owi i giełdzie. I znacznie, znacznie gorzej niż bohaterowi widocznego w klipie plakatu: „Donald J. Trump for president".

Lucas Jackson/REUTERS

W jakim ubóstwie?

Sama piosenka *Sleep Now in the Fire* to Rage Against The Machine w całej okazałości. Traktuje o bezeceństwach Amerykanów: od wytępienia Indian, przez niewolnictwo, po zrzucenie bomby atomowej na cywilów w Hiroszimie i używanie napalmu do walki z komunizmem, czyli z wietnamskimi chłopami. W teledysku sceny z „zamknięcia giełdy" Moore przeplótł z parodią teleturnieju w stylu *Milionerów*. Padają tam pytania typu: „Ilu Amerykanów żyje w ubóstwie?" Do wyboru są zawsze dwie odpowiedzi, np.: „A) 35 milionów; B) W jakim ubóstwie?". Aktorzy odpowiadają też na pytania o liczbę osób nieobjętych opieką zdrowotną czy o różnice w płacach kobiet i mężczyzn.

Mimo pogardy, w jakiej zespół miał wielki biznes, ta sama piosenka została później sprzedana do gry wideo *Skate 2* i do hollywoodzkiego filmu *Aniołki Charliego: Zawrotna szybkość*. To na pewno nie było przechwytywanie mediów. Zespół już wtedy nie istniał, de la Rocha odszedł pod koniec 2000 r. po starciu o to, czy wydawać album *Renegades* z przeróbkami cudzych piosenek. Po odejściu wokalisty pozostali natychmiast dali zielone światło.

„Zabrakło nam dojrzałości emocjonalnej" – tłumaczył po latach Morello. „Mieliśmy wizję polityczną, koncerty nigdy nie ucierpiały, ale nasze pomysły na to, czym Rejdże mieliby być, były sprzeczne. Nie umieliśmy się ze sobą porozumieć, a niewy-

Mimo pogardy, w jakiej zespół miał wielki biznes, **piosenka *Sleep Now in the Fire* została później sprzedana do gry wideo *Skate 2* i filmu *Aniołki Charliego***

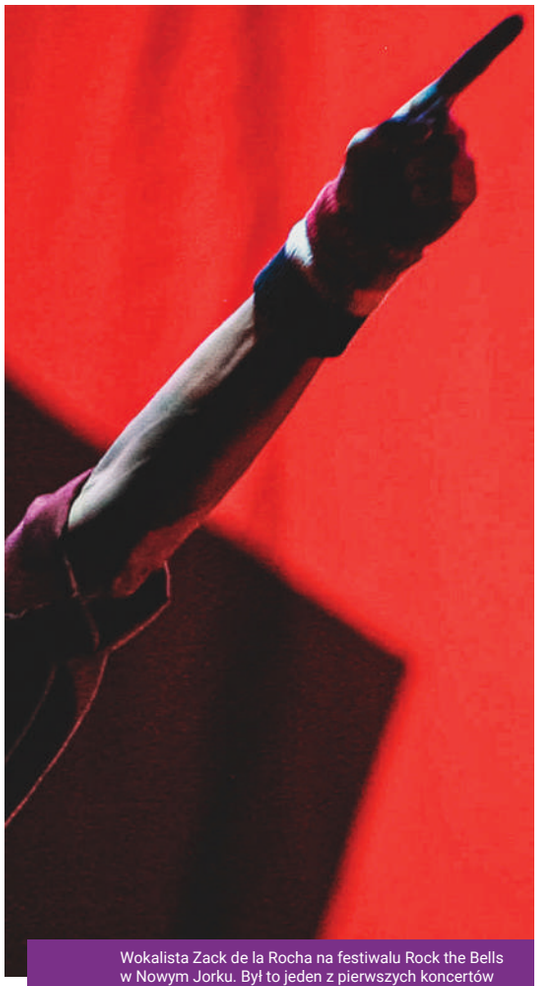

Wokalista Zack de la Rocha na festiwalu Rock the Bells w Nowym Jorku. Był to jeden z pierwszych koncertów RATM po ich reaktywacji wiosną 2007 r.

rażone wprost uczucia utrudniały nam nagrywanie. To i tak cud, że wydaliśmy cztery płyty".

Kup pan nostalgię

Już przed odejściem z zespołu de la Rocha zapowiedział solowy album. Do dzisiaj go nie wydał i z całego zespołu to o nim było dotąd najciszej. Instrumentaliści (Tom Morello, Brad Wilk i Tim Commerford) po rozpadzie RATM natychmiast stworzyli nową grupę z Chrisem Cornellem z Soundgarden. Audioslave nagrał trzy płyty i trwał do 2007 r., a jego rozpad chyba wszystkim przyniósł ulgę.

I wtedy RATM wróciło. Pierwotnie chodziło o koncert na kalifornijskim festiwalu Coachella (to jak dotąd również główny punkt projektu RATM AD 2020), ale rzecz przeciągnęła się do pięciu lat nieregularnych występów. Za największy sukces tamtego okresu odpowiadają fani. W 2009 r. w Boże Narodzenie skrzyknęli się na Facebooku (wzorem idoli znowu przejmując środki produkcji!), by wypchnąć na szczyt brytyjskiej listy sprzedaży stare dobre *Killing In The Name*.

Tegoroczne ogłoszenie o powrocie RATM oznacza koniec Prophets of Rage. Powstały w 2016 r. twór ożenił instrumentalistów RATM z legendami zaangażowanego hip-hopu z Cypress Hill i Public Enemy. Zespół okazał się lepszy na papierze niż na scenie, nie pomogło nawet zaangażowanie Moore'a jako reżysera teledysku. Ogłoszenie powrotu Rejdżów sprawiło, że Prophets od razu się rozeszli. Osobno Rage Against The Machine nie znaleźli zatem sposobu na przetworzenie powszechnych złych emocji na bunt i polityczną zmianę. Najwyraźniej doszli do wniosku, że aby wróciła dawna energia, muszą znowu razem stanąć na scenie.

A może chodzi tylko o monetyzację nostalgii? Ostatnio oglądaliśmy w kinach remaki *Króla Lwa* czy *Pięknej i Bestii*, sequel *Jurassic Parku*, reboot *Terminatora*, a w telewizji – nową serię *Miasteczka Twin Peaks*. Powstaje nawet przeróbka koszykarskiego *Kosmicznego meczu*, w którym Michaela Jordana zastąpi LeBron James.

W przemyśle muzycznym też wciąż się kotłuje. Już w 2005 r. bez zmarłego wokalisty Layne'a Staleya wrócił do grania sławny w latach 90. zespół Alice In Chains, a w 2006 r., w mocno osłabionym składzie, The Smashing Pumpkins. Członkowie Soundgarden – mimo śmierci Chrisa Cornella dwa lata temu – zapowiadają wydanie kolejnej płyty z piosenkami przezeń śpiewanymi. Najlepiej wypadła reaktywacja pokłóconych Faith No More (jedna płyta od powrotu w 2009 r.).

Przyszła pora sprawdzić, czy od czasów pierwszego RATM **system zaszczepił się przeciw takim narwańcom jak oni**

Muzyka, polityka i kasa

Z tej fali nostalgii Rage Against The Machine wyróżnia przenikająca cały ich dorobek polityczność. To z pewnością kwestia pochodzenia de la Rochy, syna imigranta z Meksyku do Stanów, ale też jego wrażliwości na niesprawiedliwość. Wokalista RATM od lat upomina się o prawa mniejszości etnicznych w USA, wspiera zapatystów. Pamięta też o więźniach politycznych, takich jak Mumia Abu-Jamal (członek Czarnych Panter skazany w 1982 r. na śmierć za zabicie policjanta; wyrok w 2011 r. zamieniono na dożywocie). W jego sprawie de la Rocha występował nawet na forum ONZ – przeciwko Stanom Zjednoczonym.

Najwyraźniej przyszła pora sprawdzić, czy od czasów pierwszego RATM system zaszczepił się przeciw takim narwańcom jak oni. Już w pierwszym klipie *Freedom* mówili o Leonardzie Peltierze, rdzennym Amerykaninie oskarżonym o zabicie dwóch agentów FBI. Do najbardziej politycznych teledysków RATM należy *Bombtrack* poświęcony peruwiańskiej organizacji terrorystycznej Świetlisty Szlak i jej uwięzionemu liderowi „Gonzalowi" Guzmánowi. Później piosenka znalazła się na ścieżce dźwiękowej *Urodzonych morderców* Olivera Stone'a. Nawet wydany na kasecie VHS, a później na DVD koncert RATM *The Battle of Mexico City* stał się okazją do zagrywki niemuzycznej – rozmowy de la Rochy z Noamem Chomskym o polityce amerykańskiego rządu i umowie handlowej NAFTA.

W tej chwili bardziej aktualny wydaje się jednak inny wywiad przeprowadzony przez de la Rochę. Jego bohaterem jest subcomandante Marcos, lider zapatystów z meksykańskiego stanu Chiapas. Zamaskowany Marcos apeluje o stworzenie niezależnej sieci informacji. „Współczesne media prezentują wykreowany, wirtualny świat. Ten świat istnieje tylko dla VIP-ów, czyli gwiazd filmowych i polityków. Media informują o ich ślubach, rozwodach, o tym, że ci ludzie jedzą i że się rozbierają" – tłumaczył Marcos gdzieś na przełomie tysiącleci. „Zwykli lu-

Lindsay Brice/Getty Images

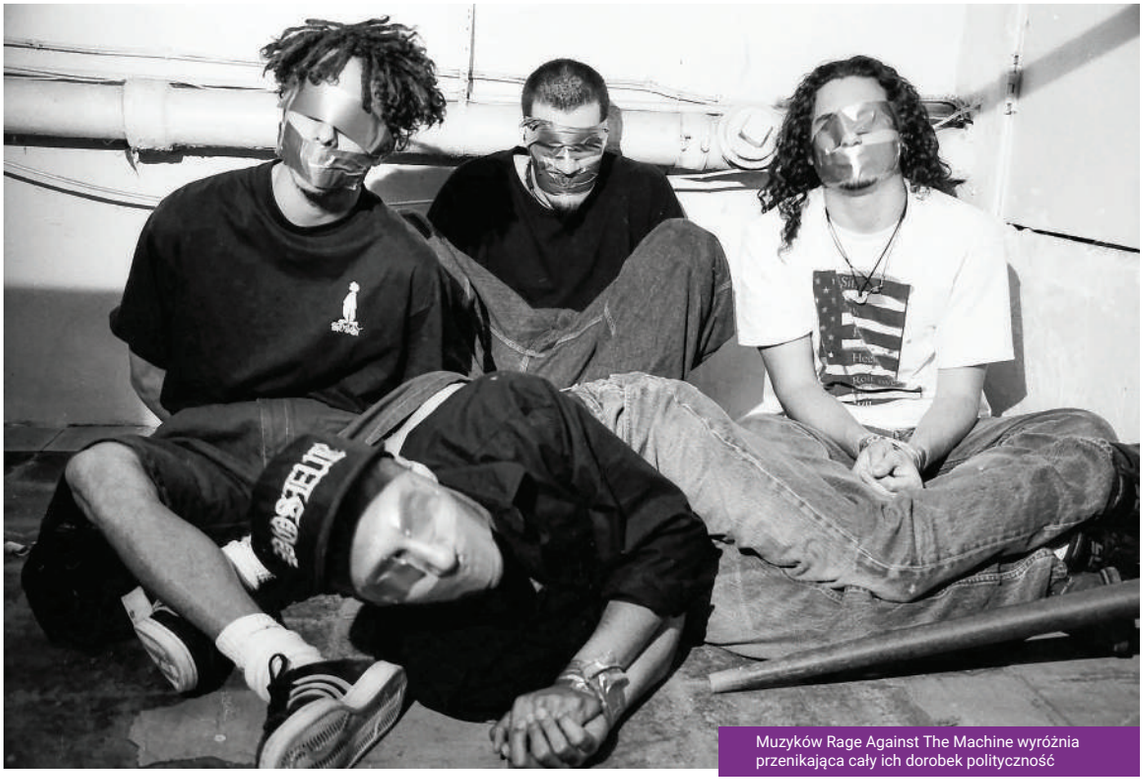

Muzyków Rage Against The Machine wyróżnia przenikająca cały ich dorobek polityczność

dzie mają szansę na obecność w mediach tylko wtedy, gdy kogoś zabiją albo gdy sami umrą".

Komendant upominał się o historie prostych ludzi, prosił, by opowiadać o tym, co ich trapi, o ich poczuciu krzywdy. Zdawał sobie sprawę, że zostawienie ich samym sobie prędzej czy później się zemści. Rolę niezależnych mediów w epoce liberalnej globalizacji porównywał do bohaterów powieści *451 stopni Fahrenheita* Raya Bradbury'ego. W epoce palenia książek ocalili oni literaturę, ucząc się jej na pamięć – jedna osoba nosiła w głowie jedną książkę.

Greta Thunberg spotyka Zacka

Czy wśród tych nowych fanów zespołu znajdą się ludzie młodsi o pokolenie od Rejdżów? Zasadą działania dzisiejszych dostarczycieli kultury (YouTube, Facebook, Spotify) jest to, że proponują nam „jeszcze więcej tego, co już znamy". Strumień informacji jest sprofilowany pod każdego odbiorcę tak, by przedstawić mu artystów czy piosenki podobne do tego, czego dany odbiorca często słucha. Być może współczesne dzieciaki nie natkną się w sieci na Rage Against The Machine, tak jak nie zetknęły się z ich muzyką do tej pory. Nie warto jednak martwić się na zapas. Ludzie „urodzeni w internecie" mają swoje sposoby.

Poza tym zespół mimo lewicowego nastawienia z pewnością zagra na festiwalach muzycznych we wszystkich zakątkach globu. Karnet na taką imprezę to popularny gwiazdkowy czy urodzinowy prezent dla nastolatka. Wprawdzie współczesne festiwale sprzedają raczej styl życia, niż budują hierarchię tego, co danego lata jest w muzyce najważniejsze czy najświeższe, ale to właśnie stanowi szansę dla RATM. Zespół może wcisnąć się klinem między popularnych, młodszych o pokolenie artystów – wyróżnić się na ich tle nie tylko przekazem, ale też dziką koncertową energią, która była znakiem firmowym RATM w latach 90. Jeśli tylko będą w stanie ją z siebie wykrzesać.

Niektóre ich piosenki brzydko się zestarzały, inne robią dziś piorunujące wrażenie. Nie tylko to się jednak liczy. Kiedy oglądam stary wywiad de la Rochy z Chomskym, widzę tę iskrę, którą ma w sobie Greta Thunberg. Zack chce, żeby mądrzy ludzie powiedzieli mu prawdę o świecie, podzielili się wiedzą. Chce być świadomy i coś z tym zrobić. Thunberg poszłaby jeszcze dalej, powiedziałaby Chomsky'emu: „No dobrze, to teraz coś z tym zróbmy, spróbujmy to naprawić, ty też rusz się zza biurka". Greta i Zack mogą się spotkać.

Kiedy oglądam stary wywiad Zacka de la Rochy z Noamem Chomskym, **widzę tę iskrę, którą ma w sobie Greta Thunberg**

Jacek Świąder
jest dziennikarzem muzycznym. Prowadzi bloga Ktoś ruszał moje płyty. Publikował m.in. w „Lampie", „Gazecie Wyborczej", „Gazecie Magnetofonowej" i Culture.pl.

Wejdź na stronę:

www.pmm.org.pl

i zobacz jak **możesz pomóc**.

Ofiarami konfliktu są cywile, głównie kobiety i dzieci.
Polska Misja Medyczna niesie pomoc na miejscu razem z syryjskimi lekarzami.

Polska Misja Medyczna

BUDUJEMY POMOC